

MARCIN MAJCHRZAK

GLÓD



MARCIN MAJCHRZAK

GLÓD

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2021

Dom Horroru
Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Copyright © Marcin Majchrzak, Głód, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Barbara Mikulska

Projekt okładki: Maciej Kamuda Art
Skład i łamanie: Sandra Gatt Osińska

Wydanie I
ISBN: 978-83-66518-67-4

www.domhorroru.pl
facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru

CZĘŚĆ PIERWSZA
PODRÓŻ

ROZDZIAŁ I

Kto to widział, żeby pierwszy śnieg spadał dopiero w lutym? Trochę późno, zdawałoby się, jak na manifestację zimy.

A może wcale nie późno? Może to taki nowy standard, że w świecie przeorany globalnym ociepleniem śnieg spada dopiero w lutym? Pamiętałem czasy, gdy w Wigilię chodziło się na sanki, a z białego puchu lepiło bałwany, ale ostatnio coraz częściej te wspomnienia wydawały mi się dziwnie zakłamane. Jakby w ogóle nie należały do mnie, jakby były zaledwie przypadkowo zarejestrowanym fragmentem jakiegoś starego filmu.

Czyżby na tym właśnie polegały pierwsze oznaki starzenia się, że usilnie próbujesz porównywać własne reminiscencje do prawideł współczesności i nie znajdujesz zbyt wielu punktów wspólnych? Słowo daję, że w tej nowej rzeczywistości momentami czułem się bardziej jak gość niż jak pełnoprawny uczestnik wydarzeń.

Śnieg przykrył rozdrapane trzewia tego świata chłodną kołdrą, spod której nie wystawały już żadne okropieństwa, żadne rozkute bruki, dziury w asfalcie, żadne paczki po chrupkach, porozrzucane papiery i psie odchody. Stare pety, puszki i butelki w spokoju mogły gnić sobie pod warstwą puchu, a ja nie musiałem ich oglądać.

Dobrze dla mnie, bo przez całe życie mieniłem się człowiekiem estetycznie wrażliwym. Dlatego poszedłem na studia na ASP i nawet udało mi się je skończyć, choć z perspektywy czasu nie wydawało się to już takim poważnym osiągnięciem. Nie wspominając o praktycznych aspektach całej sprawy. Praktyczne aspekty całej sprawy były zaś takie, że człowiek musi jeść.

Po skończeniu studiów przez cztery miesiące szukałem pracy. Rozsyłałem wszędzie CV, ale efektem były jedynie narastająca frustracja i skrzynka mailowa powoli zapychająca się spamem. A potem, gdy już okazało się, że jedzenie jednak nie pojawia się samoistnie w lodówce, a czynsz to coś więcej niż rodzaj kabla do *plejstejszyn*, wylądowałem tam, gdzie duża część reszty absolwentów – w pośredniaku.

Było mi wstyd, nie powiem. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Nie taką wizję życia przedstawiały nam te nadęte pizdy w liceum, straszące łopata i fabrykami, przed którymi uchronić nas miała jedynie dobrze zdana matura i magisterka na dokładkę. Zapieprzaliśmy więc, a przynajmniej ja zapieprzałem, a potem coś pomieszało mi się w głowie. Stwierdziłem, że pójdę na malarstwo, bo nic innego w życiu nie dawało mi takiej frajdy. W amerykańskich filmach mówili, żeby zawsze iść za głosem serca, a wtedy wszystko będzie dobrze i cały świat będzie się do nas uśmiechał, rzucając płatki róż pod nogi.

Kłamali. Może gdybym miał w życiu kogoś, kto w porę trzepnąłby mnie w łeb i powiedział, że malarstwo to nie jest najlepszy wybór kariery, jak się nie ma tatusia w zarządzie spółki państwowej i matki w dobrej kancelarii – to bym się opamiętał. Ale to jak w tym słynnym powiedzeniu o biedzie:

Czemuś biedny? Boś głupi. A czemuś głupi? Boś biedny.

Dlatego rodzice też, na dobrą sprawę, nie mogli świecić dla mnie przykładem i w skomplikowanych meandrach wyboru ścieżki kariery orientowali się jeszcze gorzej ode mnie, czyli wcale. Uosabiali sobą to, przed czym ostrzegały nas nauczycielki ze szkoły średniej. O jakichkolwiek studiach wiedzieli co najwyżej tyle, że istnieją, więc nie mogę mieć im niczego za złe. Bieda rodzi biedę. Dlatego wracamy do pośredniaka.

Tam zaoferowali mi do tej pory stanowiska w sortowni śmieci i na produkcji plastikowych butelek. Chyba już się pochwaliłem, że jestem estetycznie wrażliwy, więc dwa razy pokazałem urzędasom środkowy palec. Oni w zamian pokazali mi dokumenty, z których wynikało, że jak po raz kolejny odrzucę ofertę pracy, to mi każą spierdalać i pożegnać się z pięcioma stówami miesięcznie, dzięki którym mnie i moją dziewczynę stać było jeszcze na żarcie z półki z przecenami. Rozumiecie powagę sytuacji, prawda? Gdy więc pojawiła się kolejna opcja na robotę – staż na magazynie za minimalną krajową – przyjąłem z pocałowaniem rączki.

Od tamtej pory przerzucam butelki z wódką w kartonowych pudłach. Dwadzieścia cztery pudła na paletę, dziewięćdziesiąt sześć na godzinę, siedemset sześćdziesiąt osiem na dzień. Dzięki temu dorobiłem się nie byle jakich bicepsów i pierwszych oznak zwyrodnienia kręgosłupa. No ale, jak już wspomniałem, człowiek musi jeść.

* * *

Stałem na przystanku, masowałem obolałe plecy i gapiłem się na powoli rosnący na asfalcie biały dywan. Po wyjściu z roboty marzyłem już tylko o dwóch rzeczach: o prysznicu i o łóżku.

W końcu podjechał żółty autobus z naklejonym zielonym jamnikiem, a ja wszedłem do środka, chuchając na dłonie. Rozgościłem się na miejscu zaraz za przegubem. I znów przez lasy, pola, kręte wiejskie drogi, potem małe miasteczka, blokowiska opuszczone przez Boga i ludzi. Żółty bus na każdym wirażu skrzeczał jak stare łóżko, jak zarzynane zwierzę. Na kanapie z tyłu trzech facetów walczyło o butelkę taniej wódki, przekrzykując się wzajemnie. Wyrywali ją sobie z rąk brudnymi pazurami.

Śląsk.

Śląsk to stan umysłu. Jestem przekonany, że gdzieś tutaj, głęboko pod

powierzchnią, znajduje się wielkie czarne serce. To serce pompuje równie czarną krew, która obmywa całą krainę, dostaje się podziemnymi arteriami w każdy najdrobniejszy zakątek ziemi, pulsuje plugawym rytmem, wtlacza mroczną energię w ciała mieszkańców. Od tej brudnej posoki niektórzy zdążyli już zatracić ludzkie cechy, bardziej przypominają teraz drążące podziemne korytarze koboldy. Na przestrzeni wieków Ślązacy byli posiadani i wykorzystywani przez trzy nacje, wrywani z rąk do rąk jak ta butelka wódki na tyłach autobusu. Potwornie skrzywdzony naród i potwornie skrzywdzone miejsce.

Nie da się go pomylić z żadnym innym. Obserwowałem przez okno mijane bloki i niskie ceglane domy, osiedla familoków poprzecinane wąskimi uliczkami. Gdzieniegdzie na rogu pojawiał się mały sklep. „U Bożenki” albo „U Jadzi”, bez różnicy, wszystkie wyglądały tak samo ze swoimi zakratowanymi oknami, przewróconym śmietnikiem i stałym gronem pochylonych nad puszkami bywalców.

Ekipa z tyłu autobusu upiła się już dokumentnie, absolutnie i doszczętnie. Wnioskując po dobiegających stamtąd zapachach, potrafiłem stwierdzić, że przynajmniej jeden z nich ulżył sobie w spodnie. Na szczęście wytoczyli się na kolejnym przystanku, zdjęci resztkami poczucia godności lub może raczej kolejnym napadem pijackiej sraczki.

Na ich miejsce wskoczyła grupa rozwrzeszczanych dzieciaków z energetykami w dłoniach. Każdy z nich w drugiej ręce trzymał telefon; gromadnie puszczali sobie patostreamerów z YouTube'a i jakieś idiotyczne piosenki o narkotykach i nie sprzedawaniu ziomek na komisariacie. Kurwy i chuje latały teraz nawet częściej i gęściej niż przed chwilą, tyle tylko że tym razem dobiegały z małych głośniczków i kwitowane były za każdym razem wybuchami śmiechu. Smród wódki i szczyn zastąpił kwaśny odór nastoletniego potu, przyprawiony cukierkowym zapachem rozlanych na podłogę energetyków.

Droga była pełna dziur, autobus wił się więc po niej niczym gigantyczny stalowy wąż, omijając co większe otwory w asfalcie. Po kilku minutach zostawiliśmy za sobą małe miasteczka, wyjechaliśmy w pusty teren, na którym tylko od czasu do czasu kierowca zatrzymywał się przy pozbawionym wiaty przystanku. Niekiedy nawet nie miałem pewności, że w istocie jest to przystanek. Dopiero po dokładniejszej inspekcji dało się zauważyć wystającą z ziemi, uciętą rurkę, która kiedyś mogła być stojącym tu znakiem z rozkładem jazdy, dawno temu zamienionym na kilka miedziaków w miejscowym skupie złomu.

Na każdym z tych postojów do autobusu wsiadały kolejne osoby. Z reguły pojedynczo, jakby były ostatnimi przedstawicielami ludzkiego gatunku w swoich małych, zabitych dechami wioskach.

Wkrótce potem okolica znów zmieniła się na nieco bardziej

zurbanizowaną, a na horyzoncie zamajaczył także i mój przystanek. Wygrzebałem się ze swojego siedzenia – jakaś stojąca obok stara kobieta nie omieszkała zwyzywać mnie pod nosem – i ruszyłem do domu lub może raczej miejsca, które nazywałem domem z racji braku lepszych określeń w ubogim słowniku.

– Cześć – rzuciłem jeszcze na progu, zanim na dobre udało mi się pozbyć niewygodnego roboczego obuwia z twardymi noskami.

– Jak w pracy?

Magda siedziała przed komputerem, przeglądała jedną z miliona stron z internetowymi memami; *scroll, scroll, scroll*.

– Chujowo, a jak miało być?

– Chcesz coś do żarcia?

– No.

– To sobie zrób.

Kochana dziewczyna.

Przez chwilę przyglądałem się jej plecom, zasłaniającym większość ekranu laptopa. Stałem w przedpokoju, pokryty zasychającą skorupą brudu i pyłu, gapiąc się na plecy Magdy niczym najbardziej obrzydliwy czubek i zboczeniec. Musiała coś wyczuć – nie tak trudno znowu zorientować się, że ktoś wierci nam spojrzaniem dziurę – odwróciła się więc i zapytała:

– Co? Coś nie tak? Coś się stało?

– Nic, tak tylko... Odpoczywam – wyjęczałem i skierowałem kroki do łazienki, gdzie zrzuciłem z siebie przepocone robocze ubranie, które powoli zaczynało cuchnąć popsutym mięsem.

Pod prysznicem zwałem sobie dwa razy, za każdym razem myśląc o dziewczynach innych niż ta, która siedziała za ścianą. Nie muszę chyba elaborować na temat tego, że układa nam się ostatnio raczej kiepsko, prawda?

Wiem, że ją zawiodłem. Gdy poznaliśmy się dwa lata temu, nie wracałem do domu w roboczych ciuchach i nie śmierdziałem kurzem i wódką, a przynajmniej nie codziennie. Wpadało trochę kasy od rodziców, trochę ze stypendium, jeszcze trochę za fuchy na boku. Wówczas jeszcze nie mieszkaliśmy razem, a gdy nie przebywa się z kimś nieustannie w jednym niewielkim pomieszczeniu, to nieco łatwiej zachować pozory. Pozory, że jest się fajnym, luźnym gościem, któremu wszystko przychodzi z łatwością.

Ostatnie miesiące wszystko boleśnie zweryfikowały. *Mnie* zweryfikowały. Już nie byłem taki wyluzowany, przeciwnie, ostatnio chodziłem spięty, obolały i słaniający się jak stary dziad. Kto nie przerzucił w ciągu dnia pięciu ton towaru, ten nigdy nie zrozumie, o czym mowa, więc nie ma nawet sensu tłumaczyć.

Magda miała prawo czuć się zawiedziona tą niezbyt dobrą

inwestycją, dlatego w ogóle jej się nie dziwiłem, że ostatnio całe dni spędza wgapiiona w monitor, jedynie z rzadka zaszczycając mnie zdaniem składającym się z więcej niż trzech wyrazów. Jakby od razu związała się z robotem-profesjonalistą, to wyszłoby na to samo, a nie musiałyby się szczytać o pieniądze.

Wiem, że gdybym zdobył trochę kasy, wszystko wyglądałoby inaczej. Mówią, że pieniądze szczęścia nie dają, a miłość nie wybiera i takie tam pierdolety, ale po paru miesiącach miłość przestaje być tak szaleńczo głupia i zaczyna wymagać, tym bardziej gdy prostokątne pudełko z dostępem do Internetu co rusz pokazuje nam jako punkt odniesienia szczęśliwych ludzi pijących kolorowe drinki na jachtach.

Ja zresztą też zacząłem zauważać, że Magda się zmienia. Przed chwilą, gdy wgapiłem jej się w plecy, podświadomie dokonywałem pomiarów. Trochę jej się przez ostatnie miesiące urosło. Kiedyś była szczuplejsza, bardziej gibka, bardziej opalona. Teraz, gdy patrzyłem na jej blade, obciążone zbędnymi kilogramami ciało, nie mogłem powstrzymać nasuwających się skojarzeń z jakimś morskim stworzeniem. Manatem, morświnem czy inną białuchą. Proces transformacji już się rozpoczął, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Teraz będzie coraz gorzej. Czasem, gdy przypadkowo udało mi się zobaczyć Magdę nago, z przerażenia natychmiast odwracałem wzrok, jakby widok jej sylwetki miał wypalić mi dziury w mózgu lub zamienić w kamień jak po spojrzeniu na grecką Meduzę.

Po wyjściu spod prysznic skierowałem się od razu do łóżka. Dochodziła osiemnasta, za oknem dawno już zrobiło się ciemno. Byłem głodny, ale nie dość głodny, by nadwyręzać plecy kolejnymi minutami stania w kuchni. Słuchałem spod kołdry, jak Magda klika w klawiaturę: *click, clack, click, scroll, scroll*.

Mantra internetowego uzależnienia. Słuchając jej, odpłynąłem w niebyt. Kilka godzin później przebudziłem się na moment, czując ruch na materacu. Magda weszła do łóżka z drugiej strony. Nie odezwała się, po prostu odwróciła do mnie plecami i zasnęła.

* * *

Jeszcze przed świtem obudziłem się z takim bólem kręgosłupa, że byłbym się pewnie rozplakał, gdyby nie fakt, że wypadła akurat piątek i perspektywa wolnego od noszenia butelek z wódką weekendu nieco poprawiła mi humor.

Rano zawsze miałem problemy z jedzeniem – od razu chciało mi się rzygać, gdy tylko przełknąłem cokolwiek innego niż łyk kawy – ale wmusiłem w siebie dwie kanapki z szynką, żeby nie zemdleć w robocie lub po prostu nie zdechnąć na palcu, nawet jeśli ostatnia opcja wydawała mi się momentami wyjątkowo kusząca. Gdy wychodziłem,

Magda jeszcze spała. Obudzi się pewnie około dziesiątej i pójdzie na parę godzin do roboty w lokalnej kawiarni, gdzie na napiwkach niejednokrotnie wyciągała więcej, niż ja przy przerzucaniu ważących tony kartonów. Pieprzyć takie życie.

Śnieg zdążył już stopnieć, ukazując w pełnej krasie szpetotę krajobrazu, który nieodłącznie kojarzył mi się z ekshumowanymi zwłokami. Ubrany w robocze ciuchy wsiadłem do autobusu, czując na sobie krytyczne spojrzenia nastolatków, słysząc ich urwane śmiechy. Brzydzili się mną. Brzydzili się mną, bo moje ubrania śmierdziały jeszcze wczorajszą zmianą, ale nie tylko dlatego. Brzydzili się mną również dla zasady, jako kimś z niższej warstwy społecznej, potencjalnym kretyńcem i menelem. Miałem ochotę złapać ich za te wypięknione mordy; za te elegancko ułożone fryzury; za te pierdolone ubranka z napisem *Supreme*, kupione za wypłatę tatusia, po czym wykrzyzczyć im wszystkim w twarz: „Jestem magistrem malarstwa, wy ludzkie śmiecie!”, a potem dodać: „Wy też tak skończycie, wyżelowane pizdy, więc nie ma się z czego śmiać”. Jednocześnie wiedziałem, że wcale tak nie skończą, a przynajmniej nie większość z nich. Jeśli ich rodziców było stać na *Supreme* albo *Vetements*, to nie musieli obawiać się kariery na produkcji.

Zakład, w którym pracowałem – broniłem się rękami i nogami przed pomysłem o nim, jako o *moim zakładzie pracy* – stał na uboczu, nieopodal rzeki, w specjalnej strefie wydzielonej na mapie miasta; robotniczym getcie, ogrodzonym z każdej strony wysokim płotem. Był gigantyczną stalową halą, w której zimą temperatura spadała do ledwie kilku stopni Celsjusza powyżej zera. Podejrzewałem, że latem sprawa ma się dokładnie na odwrót i hala zamienia się w szklarnię. Ogrzewania ani klimatyzacji nie zamontowano, najwyraźniej wychodząc założenia, że byłby to zbędny luksus, być może pierwszy kamień milowy na drodze do potraktowania pracowników jak ludzi, czego zarząd starał się unikać jak diabeł wody święconej.

Nieco na lewo od wejścia na teren przedsiębiorstwa, w betonowej zatoczce, gdzie składowano śmieci i specjalne wózki do ich wywozu, postawiono także wiatę dla palaczy. Kilkanaście osób cisnęło się tam, przytulało do siebie jak pingwiny podczas zamieci. Wysuplałem z paczki przedostatniego papierosa i dołączyłem do grupy. Praca zaczynała się za piętnaście minut, miałem więc jeszcze trochę czasu na odbicie karty i stawienie się przy linii produkcyjnej.

Dzisiaj dominującym tematem był nadchodzący weekend – jak co piątek – i wynik jakiegoś meczu, który obchodził mnie mniej niż... mógłbym powiedzieć, że zeszłoroczny śnieg, ale w zeszłym roku też zbyt mało padało. W tłumie zauważyłem Joannę, jedną z liderek. Na moje nieszczęście ona też mnie dostrzegła.

Joanna to jedna z tych osób, które darzyłem nieskończoną niechęcią, a wbrew pozorom wcale nie ma takich ludzi wielu. Była niską blondynką z krótko obciętymi włosami, która całe życie spędziła w zakładzie, dorabiając się stanowiska liniowej. Nie grzeszyła intelektem, ale gdy chodziło o złośliwość, nieustępliwość i ślepe nienawiść do wszystkiego, co wymykało się jej zrozumieniu, Joanna wiodła absolutny prym. Kojarzyła mi się z wypuszczonym z klatki pitbullem, głodzionym, bitym i przygotowywanym do walki przez sadystycznego opiekuna; lepiej: sama była tym opiekunem, szturchającym psa długim kijem, gdy ten chociaż na chwilę spuścił łeb i zamknął oczy.

Naszą trwającą dwa tygodnie relację przepełniła obustronna niechęć tak skrajna, że aż niemal nie do wyobrażenia. Kojarzycie to zdjęcie, na którym Joseph Goebbels wpatruje się w obiektyw trzymany przez żydowskiego fotografa, Alfreda Eisenstaedta? Gdyby ktoś sfotografował sposób, w jaki Joanna patrzyła na mnie – a ja na nią – wyglądałoby to niemal identycznie. Nieustannie czekała na okazję, by się mnie pozbyć lub chociaż upokorzyć, ja zaś permanentnie szukałem możliwości zrobienia jej na złość.

Nasze charaktery jak gdyby stworzono do wzajemnej nienawiści. Ja byłem indywidualistą, ona pragnęła podporządkowania sobie każdej żyjącej istoty. Miała nade mną przewagę wynikającą ze stanowiska i uwielbiała to zaznaczać przy dowolnej nadarzającej się okazji. Gdy przerywałem na chwilę pracę, bo pot zalewał mi oczy, a płuca nie wyrabiały już ze śmiertcionośnym tempem przerzucania butelek, Joanna natychmiast pojawiała się obok, krzycząc: „szybciej, szybciej!” i nie miałem innego wyjścia jak podwoić wysiłki.

– Chodź no tu na chwilę. – Joanna pokazała palcem, aby nie było żadnej wątpliwości, że chodzi o mnie.

Posłusznie podszedłem, zaciskając pięści w kieszeniach. Pewnego dnia, marzyłem, urwę jej głowę. Urwę jej łeb i nasram do środka.

– Dzisiaj robisz na oblepiarce – nakazała, a ja posłusznie kiwnąłem głową. Było mi wszystko jedno. Zamiana jednego piekła na drugie nie miała znaczenia; jedyna różnica dotyczyła tego, które partie mięśni będą boleć bardziej po zaangażowaniu ich w tę nieludzką robotę.

Odbiliśmy zakładowe karty, a przed pracą poszedłem się jeszcze wysrać, bo jak co rano zjadał mnie stres, od którego jelita przewracały się na nice. Gdy wszedłem do kabiny, zorientowałem się, że nie jestem w toalecie sam. Ktoś był obok. Usłyszałem charakterystyczny dźwięk przeszukiwania kieszeni i sam nie wiem, dlaczego wspiałem się na brudny sracz, by zobaczyć, kto zajmuje przyległąabinę.

Z góry dostrzegłem Majkela, bo taką miał ksywkę, nachylającego się nad deską, na której rozsypał sobie kreskę białego proszku. Majkel miał prezencję faceta żywcem wyjętego z filmu o gangsterach. Łysy, niskie

czoło, tatuaż z tribalem za uchem. Nie chciałem z tym typem spotkać się wieczorem w ciemnej uliczce.

Niemniej jego widok tak mnie zaskoczył, że straciłem równowagę, zakołysałem się niebezpiecznie.

Majkel od razu zauważył, że jest obserwowany. Poderwał się, złapał mnie za rękę, którą przerzuciłem przez ścianę działową.

– Co ty robisz, gościu? – zapytał grzecznie. – Wypierdolić ci w ten głupi łeb?

– Nie no, spoko, sorry, nie chciałem. Nic nikomu nie powiem – zacząłem się tłumaczyć.

– No ja myślę. Chcesz szczura? – Pokazał na kreskę. Nastrój zmienił mu się momentalnie w ciągu sekundy.

– Nie, dzięki.

– Co? Nie chcesz? Pizda jesteś?

– Chyba tak – przyznałem. – Nie biorę.

Nie była to do końca prawda. Na studiach wciągałem tyle białych kresek, że do dzisiaj moje zatoki sporadycznie wybuchają bólem i tryskały krwią.

– Już nie biorę – poprawiłem się.

– Chuj, jak tam chcesz. Ale jak mnie sprzedasz, to będziesz klepany.

– Spoko, nic nie powiem – przysiągłem, stojąc na sraczu.

Potem poczekałem, aż Majkel wyjdzie, zrobiłem swoje, umyłem ręce nad umywalką, w której na zmianę leciała lodowata woda i wrzątek, i w sam raz zdążyłem na rozpoczęcie pracy.

Wewnątrz, to jest na hali, jak zwykle śmierdziało alkoholem i potem. Posłusznie ustawiłem się w linii prowadzącej do oblepiarki, czyli maszyny drukującej etykiety na butelki. Zadaniem pracującej tu ekipy było jak najszybsze porywanie wydrukowanych etykiet i naklejanie ich na pędzące po taśmie butle. Wydawało się, że to robota lepsza niż dźwiganie kartonów na palety.

Wydawało się.

Po godzinie moje dłonie były w całości pokryte pęcherzami, skaleczeniami i klejem, a utrzymywanie zawrotnego tempa sprawiało, że ścięgnięta i kości palców pulsowały bólem. Po kolejnych trzech godzinach praktycznie nie wiedziałem już, gdzie jestem. Gdy ogłoszono przerwę obiadową, nie byłem w stanie wyciągnąć z plecaka zupy w plastikowym pojemniku, nie mówiąc już o utrzymaniu w dłoni dołączonej do niej łyżki, więc darowałem sobie posiłek.

Zastanawiałem się, jakim cudem ludzie są w stanie wytrzymać to tempo, odpowiedź przyszła jednak sama: nie są. Gdy po przerwie ponownie podjąłem pracę i rozejrzałem się po sali, okazało się, że pracują tu dziś zupełnie inni ludzie niż jeszcze wczoraj. Dopiero teraz mnie oświeciło. W tym piekle rotacja była tak duża, że praktycznie

codziennie pojawiała się nowe ludzkie mięso. W poprzednim tygodniu nie zwróciłem na to uwagi, bo niemal nieustannie byłem zbyt wykończony robotą na paletach, żeby rozglądać się po hali. Teraz, gdy pracowałem, stojąc w miejscu, dotarło do mnie, że nie poznaję większości z tych ludzi. A więc tak to działa. Niekończący się dopływ świeżej krwi. Ciekawe, czy nie zostałem przypadkiem rekordzistą, jeśli chodzi o staż pracy wynoszący w moim przypadku dwa tygodnie.

Zamyśliłem się, nie skoordynowałem ruchów. To wystarczyło.

Butelki posypały się, jedna za drugą, jak domino. Najpierw każda z nich położyła się na linii, a potem, wiedzione siłą odśrodkową, zaczęły wypadać z taśmy jak szklane pociski. Jedna, druga, trzecia, dziesiąta; zanim znalazłem przycisk zatrzymujący maszynę, na podłodze leżało już ponad tuzin flaszek. Dodatkowo, gdy linia nagle stanęła, fizyka znów zadziałała, posyłając w powietrze te butelki, które jeszcze znajdowały się w obrębie pasów.

Smród wódki był obezwładniający.

Joanna dobiegła do mnie szybciej, niż zdążyłbym chociażby schylić się po kawałek szkła.

– Co ty robisz? To jest żalosne, po prostu porażka. Co jeden z urzędu pracy to głupszy.

– Ja... – zacząłem się tłumaczyć, ale nie było mi dane powiedzieć niczego więcej.

Liderka wyczuła krew.

– Wszystko to pozbierasz i wyrzucisz! Potrącimy ci z pensji za każdą z tych butelek – ostrzegła, choć wiedziałem, że blefuje.

– Wyrzucę.

– No to do roboty. Gdzie masz miotłę? Już! Podłoga ma błyszczeć.

– Już się błyszczy – rzuciłem od niechcienia, patrząc na kałużę wódki.

– Co powiedziałeś?

– Już się błyszczy – powtórzyłem, sam nie wiedząc dlaczego.

Coraz więcej osób gapiło się na nas. Gdzieś z drugiej linii, która na moment przerwała pracę, dobiegł mnie czyjś głos:

– Te, magister, a wiesz, jak się robi miotłą?

Zaraz za nim poszła fala śmiechów.

Liderka stała zdenerwowana; nie, nie była zdenerwowana, była po prostu wkurwiona. Jednym okiem łypała na mnie groźnie, drugim wertowała listę z obowiązkami do wykonania na dziś. Liczyła szkody. Wiedziała już, że utrata tuzina butelek i zatrzymanie pracy choć na moment będzie oznaczało spadek w statystykach.

Właściwie to zaczęło mnie to nawet bawić. Zignorowałem uwagę o magistrze i poszedłem szukać miotły, powoli, żeby zrobić Joannie na złość.

– Szybciej! – rzuciła za moimi plecami, a ja ruszyłem truchtem do

schowka.

Oblepiarka ruszyła pół godziny później.

Pod koniec zmiany, gdy pakowałem swoje rzeczy i odbijałem kartę na czytniku, zagadał do mnie uśmiechnięty facet w koszuli i krawacie, który pośród ubrudzonych, pokrytych kurzem i pyłem robotników, wyglądał jakby urwał się z zupełnie innej bajki.

– Pan Tomasz B[...]? – zapytał, zasłaniając się kwestionariuszem.

– Tak – potwierdziłem, wiedząc już, co się kroi.

– Usiądźmy może tutaj. – Wskazał stół w kantine, znajdujący się za szybą z pleksiglasu.

Podążyłem za nim do jadalni. Trzeba było mu przyznać, że nie owijał sprawy w bawełnę:

– No niestety, ale chyba się rozstaniemy. Nie musi pan przychodzić do pracy w poniedziałek.

– Nie muszę, czy nie mogę? – zapytałem, szczerząc się głupkowato.

– Nie powinien pan. Zdecydowaliśmy się rozwiązać umowę.

– Kto zdecydował? – pytałem jedynie po to, żeby przeciągnąć tę rozmowę. Byłem pewien, że się z tego nie wykaraskam. Zresztą w ogóle mi nie zależało. Oczami wyobraźni widziałem już, jak ściągam z siebie robocze ciuchy i wrzucam je do kosza.

– Dział *haer*.

– Dział *haer* może mnie pocałować w dupę.

Sam siebie zaskoczyłem. Na dobrą sprawę nie miałem pojęcia, dlaczego akurat to powiedziałem.

– No skoro tak, to może pan zostawić identyfikator.

– Mogę czy muszę?

– Musi pan.

– Ojej. No dobra.

Wyciągnąłem identyfikator i podsunąłem facetowi w koszuli – tylko po to, żeby zaraz zabrać go z powrotem i wyrzucić za siebie.

– Nie musi się pan zachowywać jak dziecko. – Mężczyzna uśmiechnął się zażenowany.

Ja też byłem zażenowany i sam nie wiem, czy bardziej swoim zachowaniem, czy tą rozmową i całą sytuacją, w której się znalazłem.

– Nie muszę, czy nie mogę? – Po raz kolejny zagrałem tą samą kartą, ale pracownik z działu *haer* już się nie odezwał.

Siedział tylko i wpatrywał się we mnie z ironicznym uśmiechem.

– Coś wam powiem – zacząłem. – Jesteście gnidy, a nie ludzie. Codziennie rotacja, codziennie drenowanie pracowników ponad siły, żeby karmić bożka pieniądza. Gdyby ten kutas na samej górze, jakkolwiek się nazywa, nie był idiotą, to by wiedział, że taka organizacja pracy się nie sprawdza. W tym zasranym kraju nikt nie potrafi myśleć. Jakbyście w tym całym *haer* wiedzieli, czym tak naprawdę się

zajmujecie, to traktowalibyście ludzi lepiej.

– Skończył pan?

– Skończył. Wy też się skończycie, prędzej czy później – powiedziałem, wstając od stołu.

Opuściłem kantynę, porywając ze sobą jedynie plecak i butelkę wody, beczelnie ukradzioną na oczach krawaciarza.

Odpaliłem ostatniego papierosa w drodze do bramy, nie zważając na porozwieszane wszędzie zakazy palenia. Z budki dla palaczy, którą teraz miałem za plecami, dobiegł mnie głos tego samego faceta, który wcześniej próbował mnie sprowokować na hali:

– Te, magister! Wyjebali cię? Miotłą nie umiałeś machać? Co teraz będziesz robił?

Nie odwracając się nawet, odkrzyknąłem:

– Idę do twojej starej, będę ją ruchał za pieniądze!

Wyszedłem przed bramę; przystanek znajdował się jakieś dwieście metrów dalej. Ruszyłem do domu. Powłóczyłem nogami, zastanawiając się, co powiem Magdzie. Lepiej: co Magda powie mi, gdy już ją zapoznam z faktem utraty pracy.

Może gdybym nie był tak zamyślony, usłyszałbym, że ktoś biegnie za mną. Może zdążyłbym się odwrócić, ale nie zdążyłem.

Cios nadszedł od tyłu i trochę z boku, trafiając mnie prosto w łuk brwiowy. Momentalnie poczułem, że krew zalewa mi twarz. Facet za mną nie czekał, aż się ocknę. Kilka kolejnych ciosów spadło na nos i szczękę, a gdy upadłem, do kolekcji doszedł szereg kopnięć po żebrach. Butem z metalowym noskiem. Bolało jak jasna cholera, ale jedyne, co mogłem zrobić, to przybrać pozycję embrionalną. Głowę schowałem między ramionami. Tamtemu już jednak znudziło się walenie we mnie jak w worek treningowy, a może po prostu wiedział, że jeszcze kilka kopnięć i będzie musiał się tłumaczyć z zabójstwa. Dla mnie było bez różnicy, po prostu leżałem na asfalcie, wyobrażając sobie, że tak naprawdę leżę w łóżku. Szereg ciosów bolał, ale przyjemnie odwracał uwagę od przemęczonego kręgosłupa, który momentalnie boleć przestał.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia, magister? Coś o mojej matce?

– Nie... – wysapałem. – Ale mam o psie.

– Jakim psie?

– Tym, co rucha twoją matkę, jak mnie nie ma.

Bardziej usłyszałem niż zobaczyłem, że facet bierze kolejny zamach do kopnięcia, ale w porę dobiegło kilku pracowników, którzy powstrzymali go przed zakatrupieniem mnie na chodniku.

– Zostaw go, bo go zabijesz! – wrzasnął ktoś, może nawet parę osób.

Jeden z nich splunął, a ślina spadła mi na plecy. Całe towarzystwo rozeszło się, a ja leżałem jeszcze przez moment, myśląc jedynie, że jest mi wygodnie, że w końcu mogę odpocząć.

Zebrałam się kilkanaście minut później. Żebra bolały i już zaczęły pojawiać się pierwsze siniaki, rozbita warga wciąż delikatnie krwawiła, ale poza tym czułem się doskonale. Byłem człowiekiem kompletnym – brudny strój robota, smród wódki, zakrwawiony pysk; brakowało jeszcze, abym sfajdał się w spodnie.

Tym razem ludzie w autobusie unikali moich spojrzeń. Żaden nastolatek się nie roześmiał, a nawet jeśli, to wyjątkowo dyskretnie. Do domu wróciłem godzinę później niż zwykle, gdy więc otworzyłem drzwi, Magda miała gotowy pretekst do kłótni.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała z pokoju, nie odwracając się. Głos pełen napięcia i pasywnej agresji.

Odwróciła się dopiero wówczas, gdy usłyszała, że jestem zasapany jak parowóz. Wzrok najpierw przyklepiła do mojej zakrwawionej twarzy, a potem do kolejnych plam czerwieni, które rozlały się na ciuchach.

– Biłeś się z kimś... – bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Mnie bili.

– Czemu?

Patrzyliśmy na siebie jak dwie obce osoby. Przestrzeń między nami powoli wypełniała się gęstniejącym powietrzem. Wzruszyłem ramionami.

– Nie spodobał im się mój dowcip.

– Dowcip?!

– Kawał o psie.

– Psie?

– Tak.

Absurd, do diabła, absurd. Marzyłem, aby Magda podeszła bliżej i pomogła mi zdjąć brudne ubranie, ale ona po prostu patrzyła na mnie, jakbym był gościem w jej domu, kurierem, listonoszem, świadkiem Jehowy nierozważnie wpuszczonym za próg.

Zacząłem więc rozbierać się bez pomocy, chociaż żebra tłukły się nieznośnym tępym bólem. Ubranie włożyłem do czarnego worka na śmieci i wyrzuciłem przed drzwi, żeby nie psuło swoim smrodem powietrza w mieszkaniu. Potem je wywalę.

Wziąłem długą kąpiel, podczas której dokładnie obejrzałem się z każdej strony, ścierając brud i krew szorstką gąbką. Wiedziałem już, że dzisiejsza noc będzie bolesna na bardzo wiele sposobów, niezależnie od tego, na którym boku się położę.

Magda już na mnie czekała przed drzwiami do łazienki, przybrała na twarz swoją minę pod tytułem „lepiej mi się wytłumacz”, ale ja nie miałem ochoty na podchody. Rzuciłem po prostu:

– Wywalili mnie z roboty.

Gdybym mógł wrócić do tamtego momentu, pewnie inaczej bym to rozegrał. Nie strzelasz z największego kalibru do wkurwionych

dziewczyn, no chyba że jesteś idiotą. Najwyraźniej byłem idiotą.

Magdę zamurowało.

– Za co...? – wyrzuciła z siebie, a ja, słusznie chyba, podejrzewałem, że wcale nie chodzi jej o powód mojego wylania. To pytanie domyślnie miało być dłuższe, miało kończyć się słowami „...będziemy teraz żyć?”.

– Nie wiem – odpowiedziałem profilaktycznie.

Zresztą, co za różnica. Już od tygodni, jeśli nie miesięcy, spodziewałem się, że ta relacja zmierza ku końcowi. Znaków było aż nadto i nawet gdybym nie był szczególnie spostrzegawczy, nie mógłbym ich przegapić.

Dziś już nie pamiętam, co dokładnie odpowiedziała mi Magda. Wydaje mi się, że w jej słowach nie było żadnej złości, żadnego *kobiecego wyrachowania*. Zamieniliśmy jeszcze kilka zdań, z których każde zawierało w sobie słowo „koniec”.

Koniec to koniec. Rozstania się zdarzają. Uzgodniliśmy, że będziemy mieszkać razem, dopóki jedno z nas nie znajdzie sobie innego lokum, choć, prawdę mówiąc, to z mojej strony nie było żadnego uzgadniania. Po prostu potakiwałem Magdzie, która zarzucała mnie milionami słów, podczas gdy ja stałem półnagi, przepasany jedynie ręcznikiem, ociekający wodą, która zbierała się w kałużę u moich stóp. Wówczas jeszcze przez moment miałem nadzieję, że to wszystko się odwróci, że ostatecznie nie będzie żadnego rozstania, że to zwykła kłótnia, jakich w związkach przecież wiele. Dopiero wieczorem, gdy trafiłem do pustego łóżka, świadomość ta spadła na mnie jak młot. *Rozstanie*.

Niby taka pierdoła, a jednak życie przewrócone do góry nogami. Magdzie pogratulować można było wyczucia czasu. Nie wątpię, że zbierała się do tego od tygodni, ale żeby tak zaraz dorzucać kolejną kiepską wiadomość do informacji o zwolnieniu? I tak sobie myślałem przez parę pierwszych godzin, a potem doszedłem do wniosku, że nie można jej winić. Każdy ma granice wytrzymałości. Jedna cegiełka więcej i człowiek ma dość, rozpada mu się cały schemat rzeczywistości, musi coś zrobić, żeby nie oszaleć. Musi powiedzieć: stop.

Z początku chciałem od razu zacząć szukać nowej pracy, zacząć jeszcze w nocy, ale przypomniałem sobie o swojej skrzynce nadawczej na *Gmailu*, gdzie dalej wisiało ponad dwieście wysłanych wiadomości bez odpowiedzi. Czy kolejnych dziesięć miałyby coś zmienić? Może tak, może nie. Dość szybko przestałem o tym myśleć i po prostu zasnąłem, żegnany bólem pleców, twarzy, żeber, a także tym najdotkliwszym – bólem serca, które czuło się niesprawiedliwie potraktowane.

* * *

Rano zrozumiałem, że nie ma już tu dla mnie miejsca. Nie w tym mieszkaniu i nie w tym towarzystwie. Na widok pustych ścian poczułem

bolesne, niemal fizyczne ukłucie zawodu, gdy jednak zdałem sobie sprawę z tego, że prędzej czy później Magda wróci, uczucie zawodu zamieniło się w bezbrzeżną panikę. To jeden z tych życiowych absurdów, który wymyka się podstawowym kategoriom rozumowania. Brak Magdy był okropny, ale jej obecność – jeszcze gorsza. Dlatego spakowałem podstawowe rzeczy w podręczną walizkę i wyszedłem z domu, popełniając wcześniej krótki list.

Zostawiam swoje rzeczy, bo nie mam ich póki co gdzie zabrać. Jak znajdę jakieś lokum, to wyślę Ci adres do przesyłki. T.

Pomyślałem, że to powinno załatwić sprawę.

Na zewnątrz przywitał mnie odzierający z ciepła mróz, któremu nie potrafiły zaradzić nawet grube warstwy ubrań. Śnieg znów padał, a ja zacząłem zastanawiać się, czy w tym roku nie jest on dla mnie przypadkiem prywatnym zwiastunem nieszczęść.

Długo wędrowałem po chodnikach miasta, nie mogąc wybrać żadnego sensownego celu podróży. Dopiero wówczas, gdy bijące od ziemi zimno dało mi się we znaki – nie ma co ukrywać, że na nowe buty nie było mnie obecnie stać – przestałem myśleć w kategoriach włóczęgi, a zacząłem myśleć w kategoriach poszukiwania.

Pomyślałem o hotelu, wszak to chyba najbardziej typowe, najbardziej filmowe, najbardziej spodziewane rozwiązanie. Bezrobotny, poniekąd wyrzucony z domu facet znajduje sobie pokój w hotelu, a wkrótce potem kolejną chujową robotę, jak u Bukowskiego. Brakowałoby tylko butelek wódki toczących się po podłodze, ale dwa tygodnie pracy w rozlewni alkoholu skutecznie wyleczyły mnie z nałogu, z jakim wcześniej nie radziła sobie żadna terapia. Po czymś takim byłem w stanie uwierzyć, że na depresję faktycznie pomaga bieganie i makaron.

Broniłem się jednak długo przed przyznaniem do tego, że nawet splukany amerykański menel ma nieco lepsze możliwości bytowe niż wylany z pracy Polak, na koncie którego nieśmiało majaczy trzycyfrowa kwota. To zbyt mało, żeby ulokować się na parę dni w hotelu, nawet w takim najtańszym. Niestety, ale czekało mnie przeproszenie się ze starymi i powrót do rodzinnego gniazda w roli syna marnotrawnego, dwudziestokilkulatka, któremu zamarzyło się dorosłe życie, ale poległ na pierwszym prawdziwym egzaminie z dojrzałości.

Świadomość, że czekają mnie najpewniej długie miesiące użerania się ze starzejącymi się, coraz mniej rozumiejącymi rzeczywistość rodzicami, bolała nawet bardziej niż rozstanie z Magdą. To był mój osobisty regres, krok w tył, który zamienił się w paskudny upadek. Znów byłem dzieckiem, które nie potrafiło poradzić sobie z najprostszą, wydawałoby się, czynnością pod słońcem – przetrwaniem. Żenujące.

Gdy już zaczęło się ściemniać, wyruszyłem na dworzec kolejowy. Na tym etapie niedługa podróż nie przypominała już niewinnego spacerku;

po całym dniu dreptania w śniegu czułem się wyniszczony fizycznie i psychicznie. Marzyła mi się gorąca zupa lub chociaż kubek taniej lury udającej herbatę. A więc to tak wygląda bezdomność. Błyskawicznie mnie dopadła, pomyślałem, oczami wyobraźni widząc siebie w towarzystwie podstarzałych meneli, moich braci w niedoli.

Szybko się ściemniło i wkrótce szedłem w mroku, który rozmazywał kontury świata wokół. Wymęczenie i ciemność zamieniły zwykłą przechadzkę w oniryczną podróż po krainie rodem z mrocznej baśni. Czułem się jak ta dziewczynka z zapalkami, głodna i wymarznęta, ledwo widząca na odległość dłoni.

Wrażenie to umacniały światła latarni, które w padającym śniegu traciły ostrość, zamieniały się w bezkształtne kule, wodzące na pokuszenie jak błędne ogniki. Po dotarciu na dworzec byłem wykończony. Zwałem się na ławkę, westchnąłem jak stary człowiek, rzuciłem okiem na rozkład jazdy. Najbliższy pociąg do mojej rodzinnej miejscowości odjeżdżał nieco po godzinie piątej. Zegarek pokazywał wpół do ósmej. Wieczorem. Niech to szlag. Cały dzień zmarnowałem na szlajanie się po mieście, a teraz czekał mnie jeszcze nocleg na dworcu. Naprawdę doskonale wpasowywałem się w stereotyp bezrobotnego bezdomnego.

Odsapnąłem trochę i zabrałem się za szukanie czegoś do żarcia. Pod jedną ze ścian stał automat z gorącymi napojami. Wybrałem zupełną pomidorową, zastanawiając się, ile szczerów utopiło się już w pojemniku na wodę wewnątrz maszyny, wrzuciłem pieniądze i nie stało się absolutnie nic. Automat porwał moje dwa złote, zżarł je bezczelnie, mechaniczny gnojek, nie dając niczego w zamian.

Rozejrzałem się jeszcze raz; może gdzieś postawili budkę z żarciem. Faktycznie, po drugiej stronie dworca stała buda z kebabem. Podszedłem tam i zamówiłem najtańszą opcję w bułce, którą zjadłem ze smakiem pomimo faktu, że załatywało od niej zjełczałym tłuszczem. Głód jest najlepszą przyprawą. Powinno się o tym pamiętać, szczególnie dziś, gdy relatywnie ciężko jest umrzeć z głodu na ulicy.

Chciałem wrócić na ławkę, ale tę już zajęła jakaś para z dziećmi, które teraz biegały dookoła i wydzierały się wniebogłosy. Ruszyłem więc głębiej w dworzec, w kierunku peronów. Wybrałem sobie przyjemną, w cudzysłowie oczywiście, zatoczkę, gdzie nikt nie zachodził. Obok była kawiarenka internetowa i przez moment rozważałem kupienie sobie kilku godzin ciepła wewnątrz, ale myśl o komputerach sprowadziła ze sobą obraz klikającej w klawiaturę Magdy i od razu mi się odechciało.

Padłem więc na posadzkę, torbę postawiłem obok i rozpocząłem oczekiwanie na godzinę piątą rano. Szybko poszło, nie ma co. Byłem wtedy, a przynajmniej czułem się, bardzo stereotypową postacią. Wszystko to pasowało, zupełnie jak odrysowane od najdokładniejszego

wzorca. Utrata pracy, utrata dziewczyny, utrata domu, zimno, śnieg, dworzec kolejowy. Kolejnym elementem układanki byłby ochroniarz w odblaskowej kamizelce, który powinien pojawić się znikąd i pomachać mi pałą przed oczami, a potem poinformować, że mam wypierdalać na mróz, choć przecież wcale nie wyglądałem aż tak tragicznie, by odstraszać ludzi.

Dziś każdy dworzec kolejowy jest dworcem z przypadku, galerią z pociągami w tle, klatką na gołębie zamkniętą na komunikację miejską, bo przecież musiały się zmieścić haendemy, kropy, zary, pizzahuty, starbaksy, makdonaldy, bez których człowiek współczesny pozostawał osamotnioną wyspą na oceanie życia. Bezdomnych wyrzucono na mróz, by swoimi zarośniętymi mordami nie odstraszaali innych ludzi, nie przypominali im, że istnieje jeszcze coś poza uśmiechniętymi modelkami na plakatach z przeceną. Bezdomność kiepsko się sprzedaje. Proza życia w swoim najsmutniejszym wydaniu nijak nie zachęca do wydawania pieniędzy na ubrania z modnych sieciówek, szyte, notabene, za miskę ryżu, za dwa dolary dziennie, za miejsce do spania, gdzieś w kraju bez nazwy.

Żaden ochroniarz się nie pojawił, pojawił się jednak ktoś inny. Gdybym wtedy wiedział, jak się to wszystko potoczy, w tym właśnie momencie porwałbym swoją walizkę i czym prędzej ruszył przed siebie, gdziekolwiek, byle dalej, ale skąd mogłem wiedzieć? Wiele razy już przecież pokazałem, że potrafię wpadać w tarapaty.

Najpierw usłyszałem głucho tupnięcia, zbliżające się do mnie szybkie kroki, a potem zza rogu wyłoniła się dziewczyna. Nie zauważyła mnie nawet, po prostu padła na podłogę, podkurczyła kolana i objęła je rękoma. Tkwiłem nieruchomo, zaskoczony tą nagłą zmianą w krajobrazie, tym bezprecedensowym wejściem w moją dworcową prywatność.

Dziewczyna miała blond włosy i równo ściętą grzywkę, opadającą trochę za nisko, bo aż na sam nos. To, w połączeniu z niesamowicie bladą, alabastrową wręcz skórą, nadawało jej wygląd porcelanowej lalki. Oniemiałem na jej widok. Była... dziwna.

Jasne, nie jest to najlepsze ze znanych określeń używanych do opisywania ludzi, ale w tym wypadku naprawdę słownik na niewiele by się przydał. Siedząca przede mną dziewczyna wyglądała trochę jak bogata szlachcianka, co podkreślała jej blada cera i zadarty nos, ale jednocześnie miała też całkowicie nieeuropejskie, azjatyckie wręcz rysy. Czy? Zupełnie nieazjatyckie; wielkie na połowę twarzy brązowe sarnie ślepie, jakby żywcem wyciągnięte z postaci stworzonej przez Tima Burtona. Senne, matowe, rozmarzone spojrzenie, z którego wyzierało coś bajkowego i onirycznego.

W końcu zauważyła moją obecność, jak i fakt, że gapię się na nią

niczym ciele na malowane wrota. Opatuliła się ciasniej długim brązowym płaszczem, odwzajemniła spojrzenie. Patrzyliśmy tak w milczeniu przez długie sekundy, może nawet minuty. Nie wiem, bo zupełnie straciłem orientację w czasie.

– Cześć – wypaliła w końcu.

– Cześć – odparłem.

Potem kilka następnych długich sekund, minut, eonów.

– Wyglądasz jak bezdomny – poinformowała mnie.

– Jestem bezdomny.

– A to dziwne. Bo, wiesz, chciałam powiedzieć, że *wyglądasz* jak bezdomny, ale na pewno nim nie jesteś. Gdybyś naprawdę był bezdomnym, to bym tego nie powiedziała.

– Naprawdę jestem bezdomnym.

– A to faktycznie dziwne.

– Od dzisiaj – dodałem.

– O. – Jej usta ułożyły się w perfekcyjne koło.

– O?

– Dlatego pomyliłam cię z *prawdziwym* bezdomnym. Czemu nie masz domu?

– Dziewczyna mnie zostawiła.

– Przykro mi. Ona ci zrobiła te sińce pod oczami? – zapytała.

– Nie, to koledzy z pracy.

– Rzuciłabym taką pracę.

– Wywalili mnie, też dzisiaj.

– O.

– A ty?

– Co ja?

– Co tu robisz? – Bardzo chciałem to wiedzieć.

Dopiero teraz zauważyłem, że też ma ze sobą walizkę na kółkach. Małą, różową. Kto by się spodziewał, że akurat różową.

– Siedzę.

– Czemu?

– Bo na zewnątrz piździ, koleś.

– No tak, ale dokąd jedziesz? Wiesz, ja jestem bezdomny, mam jakąś wymówkę na siedzenie na dworcu.

– Jeszcze nie wiem dokąd, coś się wymyśli.

– Ile ty w ogóle masz lat? – zapytałem, bo do tej pory kwestia ta w ogóle nie przyszła mi na myśl. Równie dobrze mogła mieć piętnaście, jak i dwadzieścia kilka.

– Wystarczająco dużo. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Wystarczająco dużo na co?

– Na siedzenie na dworcu, koleś.

Chwilę pomyślałem, dodałem dwa do dwóch.

- Uciekłaś z domu.
- Wcale nie uciekłam. – Przewróciła oczami. – Po prostu wyszłam.
- Rodzice wiedzą, że wyszłaś?
- Pewnie już wiedzą, a co? Chcesz mnie sprzedać?
- A ile dostanę?
- Dużo, mój ojciec jest bogaty.
- Co robi?
- Ma firmę. Transportową. Przewożą bułki, wędliny, *itepe*.
- Mogę cię sprzedać, czemu nie?
- Ja bym tego nie robiła na twoim miejscu.
- Dlaczego? – spytałam z przekorą.
- Bo wtedy cię nie poczęstuję piwem – powiedziała, wyciągając ze swojej torby dwie puszkę taniego browara. – To jak będzie?

Wyciągnąłem dłoń po piwo.

- No dobra, nie sprzedam cię, ale musisz mi coś powiedzieć.

– Co takiego, co?

– Nie jesteś stąd, prawda?

Przyjrzałem się dokładnie jej płaszczowi, butom i całej reszcie garderoby. Zwróciłem uwagę na to, jak układa słowa. Coś mi w niej nie pasowało. Nie pasowało do tego miasta, do okolicy, do całego województwa. Dało się wyczuć w niej obcość. Wierście lub nie, ale każdy Ślązak potrafi wyczuć gorola na kilometr. Nawet taki niewydarzony jak ja.

– No pewnie, że nie, koleś. Jestem stamtąd.

– Czyli skąd?

– Spod Warszawy. A co za różnica? Czy teraz sobie pójdziesz, bo już ci się nie podobam?

– A skąd wiesz, że w ogóle mi się podobałaś?

– Bo jestem ładna, a do tego widzę, jak się na mnie gapisz.

W oczywisty sposób miała rację. Otworzyłem sobie puszkę z piwem, pociągnąłem parę łyków. Nie pachniało spirytusem, na szczęście, inaczej pewnie bym zwymiotował na posadzkę.

– Czemu uciekłaś, znaczy... czemu wyszłaś z domu?

– O, to w sumie zabawna historia.

– No to zamieniam się w słuch.

– Ukradłam ojcu auto i pojechałam sobie nad morze. Tylko słabo mi idzie kierowanie, więc urwałam mu oba lusterka i trochę obtarłam karoserię.

– Nie masz prawka, nie? – Pytanie było retoryczne, zatem dziewczyna zignorowała je. – I co, boisz się, że cię zajebie? Ojciec, znaczy.

– Już dawno po sprawie, to było dwa tygodnie temu. Tylko jak wróciłam, to się zrobiło nieprzyjemnie.

– Bił cię?

– Nie, po prostu zabronił mi wychodzić z domu i postraszył kuratorem czy czymś takim.

– A matka?

– Matka ma to w dupie, *pardon my french*. Rozumiesz, że po czymś takim nie mogłam zostać w domu? Przecież nie będę siedzieć pod klamką jak ćwok. No to sobie wyszłam, pojechałam do dziewczyny, ale wychodzi na to, że jednak uciekłam, skoro mi zabronił wychodzić.

– Do dziewczyny? – jęknąłem żałośnie.

Musiła wyczuć mój delikatny zawód, bo zaraz dodała:

– Tak, ale już nie jesteśmy razem. Poza tym, jestem bi. Ładnych chłopców też lubię.

– Czemu się rozstaliście?

– A wy?

– Nie wyszło z robotą – wyznałem.

– Aha, to chyba zła kobieta była. Zostawić faceta, bo mu nie wyszło z robotą. Przykra sprawa. My... No cóż, trochę się już sobą znudziłyśmy.

– Długo byliście razem?

– Z tydzień.

Parsknąłem, a potem spojrzałem na zegarek. Czas szybko leciał, dobrze mi się z nią siedziało. Minęły już dwie godziny, odkąd przyszedłem na dworzec. Jeszcze siedem.

– To gdzie w końcu jedziesz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, a ty?

Wstyd było mi się przyznać, ale postanowiłem być szczery wobec niej i wobec siebie.

– Do rodziców. Jestem teraz spłukany.

– Ile ty właściwie masz lat?

Oho, zaczyna się.

– A ty? Możemy odpowiedzieć jednocześnie.

– Okej.

– Trzy, czte...

– Szes...DWA...naś...DZIEŚ...CIA...cie...TRZY.

Pokiwała głową.

– Nie jest źle – stwierdziła, gniotąc puszkę po piwie. Moja była jeszcze w połowie pełna (lub w połowie pusta, w zależności od upodobań).

– No nie wiem, mi się nie podoba. Jak masz dwójkę z przodu, to pora zacząć się martwić.

– Może pojedziemy gdzieś razem? – wypaliła, zaskakując mnie bez reszty. Miała szesnaście lat. Na dobrą sprawę to nie wiedziałem, czy to nie jest karalne. Pewnie jest. Jak się zgodzę, to posadzą mnie za uprowadzenie jak nic.

– Nie mam pieniędzy. Już mówiłem, że jestem spłukany.

Postanowiłem, że to będzie moja linia obrony przed propozycją, która wcale nie wydawała mi się taka zła. Dobrze nam się rozmawiało, z jakiegoś powodu nie miałem ochoty tego zmieniać, a przede wszystkim zamieniać jej towarzystwa na towarzystwo ojca i matki.

Kolejny absurd. Siedziałem na dworcu, rozmawiałem z małą dziewczynką poznaną nieco ponad godzinę temu i zastanawiałem się, czy chcę z nią wyruszyć w podróż życia. W rzeczywistości przecież tak się nie robi. W rzeczywistości zbierasz pieniądze na koncie, a potem jedziesz na wakacje all-inclusive w Egipcie. Zaplanowane ze stosownym wyprzedzeniem. W rzeczywistości masz dom, do którego możesz potem wrócić. Ja nie miałem nic, nie licząc resztek bezpieczeństwa i gotówki do stracenia.

– Jestem spłukany – powtórzyłem.

– Ja nie jestem. Mam trochę kasy od ojca.

– Ile?

– Parę stówek.

Prychnąłem.

– Za parę stówek to daleko nie zajedziemy.

– No nie, ale przecież możemy kogoś obrabować, co nie? – Mrugnęła do mnie.

Przyjrzałem jej się w zdziwieniu.

– Ty mówisz serio, prawda?

– Oczywiście, że tak – przyznała.

– Gdzie...? Skąd...? Jak w ogóle...?

W jakim świecie ty żyjesz? – chciałem spytać. Może jak się ma szesnaście lat, to wszystko jest tak zajebiście proste i logiczne, ale jak masz dwadzieścia trzy, to obrabowanie kogoś przestaje być nastoletnim wybrykiem, a zaczyna być przestępstwem. Dziesięć lat w najgorszym wypadku. Jak jeszcze dorzucą do tego uprowadzenie nieletniej, to *dziesiona* siądzie jak nic. O czym ja w ogóle myślę?

Właśnie w tym momencie rozległ się charakterystyczny pisk w głośnikach i monotonny, jednostajny głos megafonistki oznajmił:

Pociąg osobowy ze stacji Wrocław Główny do stacji Zagórz wjedzie na tor pierwszy przy peronie drugim. Wagony numer...

Dziewczyna spojrzała na mnie, uniosła brwi. Pytanie zawisło w powietrzu.

– To chyba będzie mój pociąg, tak czuję – oznajmiła, podnosząc się powoli z posadzki dworca. – Miło było poznać.

– Jak ty w ogóle masz na imię? – zapytałem, również wstając. Noga zupełnie mi odrętwiała i zasyczałem z bólu.

– Denatka.

– Co to za głupie imię?

Dziewczyna jedynie wzruszyła ramionami.

– Jak ci się nie podoba, to może być Natalia, ale wolałabym zostać przy Denatce. No to cześć – rzuciła, po czym poszła w kierunku drugiego peronu.

Odprowadziłem ją wzrokiem, próbując jednocześnie rozruszać zdrętwiałą kończynę, która piekła i rwała jak zła.

– Te, Denatka! – zawołałem.

Odwróciła się, pochyliła głowę, ponownie uniosła brwi w niemym pytaniu. Wahalem się tylko chwilę.

– Poczekaj, jadę z tobą! – Pokuśtykałem w jej stronę, podczas gdy Denatka, Natalia, czy jak jej tam naprawdę było, z uśmiechem obserwowała moje próby poruszania się.

– Zabawne – skwitowała.

– Noga mi zdrętwiała, nie jestem żadnym kaleką – wysyczałem.

– No ale lepiej się pośpiesz, bo nam uciekniesz.

Zaczęliśmy się wspinać na schody, z początku szło mi topornie, ale już po chwili odzyskałem pełną władzę w kończynach i wbiegłem na peron, w sam raz, by dopaść drzwi starego ekspresu, jeszcze zanim konduktor użył gwizdka. Poszliśmy w lewo, mniej więcej na koniec pociągu, gdzie Denatka znalazła zupełnie wolny przedział.

Cały czas w głowie świdrowało mi pytanie: co ja tak właściwie robię? Gigantyczny, podświetlony na czerwono slogan, zakończony setką pytań, pulsował mi przed oczami jak halucynacja zatrutego umysłu. Wparowaliśmy do przedziału, Denatka-Natalia zaciągnęła za nami zasłony, po czym wyjęła z kieszeni specjalną klamkę i zamknęła nas od środka, przy okazji blokując możliwość otwarcia drzwi z zewnątrz.

– Jak się zorientują, to będziemy mieli przejebane – stwierdziłem, patrząc na jej wysiłki w barykadowaniu przesuwanych drzwi.

– Jak się zorientują, to nic nie zrobią, bo nie będą mogli otworzyć drzwi. Testowałam to już.

– Nie wątpię. Ale będą tu stać i czekać na stację końcową, a tam nas sokiści wyruchają pałami.

– Będziemy nasłuchiwać. Nie bądź takim znowu pesymistą.

Najzabawniejsze jest to, przeszło mi przez myśl (choć tylko przez krótki moment), że żadne z nas nie pomyślało o kupieniu biletu. Byliśmy buntownikami z wyboru; to były nasze ustawienia domyślne systemu operacyjnego. Przekonanie, że jeśli można coś zrobić inaczej niż wszyscy, to tak właśnie zrobimy.

Mniej więcej tyle wyniosłem z mojej trwającej nieco ponad dwie godziny znajomości z Denatką, zanim nie położyłem dupy na ciepłym fotelu, nie oparłem głowy o szybę i nie odpłynąłem w niebyt. Do snu kołysały mnie stukot kół, a także dźwięki śniegu z deszczem, uderzającego o dach i okno pociągu.

Jechaliśmy. Ale dokąd?

ROZDZIAŁ II

Obudziłem się wraz ze wschodem słońca. Denatka spała rozwalona na drugiej kanapie. Podłożyła sobie płaszcz pod głowę, a jedną nogę wyciągnęła gdzieś w górę i znalazła dla niej oparcie na zagłówku fotela. Nie trudziła się ściąganiem butów, krótkich kozaków na słupku. Wyglądała przez to jak modelka, która zaledwie na chwilę zeszła z wybiegu, by zażyć krótkiej drzemki.

Patrząc na nią, wspominałem Magdę. Z jakiegoś powodu dopiero teraz, gdy spoglądałem na tę niemal całkiem obcą dziewczynę rodem z okładki, ukłuła mnie bolesna tęsknota i żal za utraconym na zawsze życiem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie napisać do Magdy, nie zapytać, czy przypadkiem nie zmieniła zdania, ale stwierdziłem, że to działanie skazane na porażkę. Ona nigdy nie zmieniała zdania, przecząc utartej opinii o zmiennych kobietach. Magda nigdy nie była – jakże żałośnie brzmi „była”, skoro rozstaliśmy się ledwie wczoraj! – ideałem urody ani charakteru, ale nasze wspólne życie stanowiło jedyną rzeczywistość, jaką znałem. Bez niej czułem się zagubiony, jak niepasujący do żadnej układanki puzzel. Nawet jeśli poprzednia układanka przedstawiała sobą jedynie beznadziejny obrazek, w moim ówczesnym odczuciu zdawało się to lepsze niż nic.

Pociąg włókł się leniwie przez zaśnieżone pola i przerzedzone lasy, powoli przesuwające się za oknem jak klisza starego filmu. Świat za oknem wyglądał przygnębiająco, ale był to w końcu luty. Polska zawsze wygląda przygnębiająco późną zimą, to ten czas w roku, kiedy wszystko pokrywa się szarym nalotem, smogiem i brudem, który wylazi nie wiadomo skąd i czepia się absolutnie wszystkiego – samochodów, ubrań, szyb i twarzy. Wkrada się do gałek ocznych i zasłania pole widzenia, przez co wszystko dookoła dostrzegamy jakby przez ubrudzoną folię albo ścianę duszącego dymu.

Zawsze gdy o tej porze roku patrzyłem na polski krajobraz, gdziekolwiek bym się nie znalazł, miałem wrażenie, że zauważam dziury w rzeczywistości. Otwory, z których wylewa się jakaś metafizyczna smoła, która następnie sączy się prosto w mój umysł, zatruwa go przygnębieniem i smutkiem. Szczęśliwie śnieg wciąż padał. Powoli, ale sukcesywnie, zakrywał Polskę, oszczędzając moim oczom cierpień.

Denatka stęknęła, zmieniła pozycję, sapnęła, przeciągnęła się jak kot śpiący na kaloryferze. Zauważyła, że znowu się w nią wgapiam.

– Dobry – przywitała się. – Nikt nie pukał? Nikt nie szarpał? – Spojrzała na zablokowane drzwi.

– Nie wiem, spałem. Obudziłem się dopiero przed chwilą.

– A to dobrze, czyli możemy założyć, że nikt nie pukał. Gdzie jesteśmy?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Na jakimś zadupiu, w środku pola. Kiedy ten pociąg się zatrzymuje? I gdzie? – zapytałem, bo do reszty wypadło mi z głowy, jaka jest stacja końcowa.

– Coś za Sanokiem.

– A, to wszystko jasne. Jakby co, przynajmniej wiemy, gdzie wysiąść. W Cosiu-za-Sanokiem.

– Co za różnica? – Denatka ziewnęła, odsłaniając kolekcję idealnie białych drobnych zębów.

W myślach przyznałem jej rację. Gdy jedziesz po prostu przed siebie, stacja końcowa może być przecież gdziekolwiek.

– Myślisz, że rodzice już cię szukają? – Spróbowałem pociągnąć rozmowę w innym kierunku. Po części chciałem też wy badać sytuację i dowiedzieć się, w jak czarnej dupie będę, gdy natrafimy na patrol policji.

– Pewnie tak. Zostawiłam im wczoraj kartkę, że jadę do koleżanki. Pewnie wieczorem się zorientowali, że to wał, a teraz idą na policję. Za dwa, może trzy dni, zaczną mnie szukać na poważnie – wyliczyła to wszystko z pewnością sugerującą duże doświadczenie w temacie. – Ale do tego czasu możemy już być wszędzie, co nie?

– No tak – przytaknąłem. Lepiej być wszędzie niż nigdzie.

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do dziesiątej.

– Jedziemy już prawie osiem godzin. Pewnie niedaleko – powiedziałem, bardziej sam do siebie niż do niej.

W reakcji na to Denatka odwróciła się na drugi bok, burknęła coś pod nosem i tyle było z dalszej rozmowy. Westchnąłem z rezygnacją i znów zagapiłem się w okno. Śnieg nie przestawał padać. Nawet mi się zaczęła podobać ta podróż w nieznane. Było w niej coś bajkowego. Od niechcenia zacząłem nucić sobie pod nosem dziecięcą piosenkę.

Jada, jada misie, hop-siup, tralala! Cieszą im się pysie, hop-siup, tralala.

Denatka odwróciła się, spojrzała na mnie jak na wariata. Wzruszyłem ramionami.

– No co? – zdziwiłem się.

Nie przestawała na mnie patrzeć. Jej wielkie, sarnie oczy świdrowały mi dziurę w czaszce. Nie wiedziałem, o co jej chodzi, to przecież tylko dziecięca rymowanka, ale dziewczynie wcale nie chodziło o mój śpiew.

– Pociąg – powiedziała. – Pociąg zwalnia. Chyba dojeżdżamy.

Faktycznie, zauważyłem, że coś się zmieniło. Na korytarzu zaczął się ruch, ludzie opuszczali przedziały. To była nasza szansa, żeby wmieszać się w tłum i uciec przed konduktorami.

Ostrożnie wyjrzałem zza zasłony, nigdzie nie było widać bileterów.

– Dobra, spadamy stąd – oznajmiłem, ściągając walizki z półki.

Chwilę później Denatka otworzyła drzwi i wyjęła klucz z zamka.

Wysunęliśmy się na korytarz. Spojrzałem w lewo – czysto. W prawo – czysto. Nieustępliwy tłum przepychał nas w kierunku drzwi. Pociąg wybuchł hałasem: trajkoczące koła walizek, rozmowy, śmiechy, płacz jakiegoś dziecka, stuk szklanych butelek na szybko upychanych do plecaka.

Zamontowane w suficie głośniki poinformowały nas, że zbliżamy się do Sanoka.

– Wsiadamy tu, czy jedziemy dalej? – zapytałem.

– Jasne, że jedziemy dalej.

Po tym, jak już pociąg zatrzymał się w Sanoku, a większość pasażerów wysypała się na peron, schowaliśmy się pomiędzy przedziałami, żeby nie kusić losu i nie zwracać uwagi konduktorów. W razie czego, stwierdziliśmy, będziemy mówić, że jedziemy z Sanoka. Rozespani, wymięci, z dwoma walizkami – nie wyglądaliśmy jak amatorzy turystyki regionalnej. Raczej jak dwójka ludzi, która spędziła w pociągu ciężką noc.

Dalsza trasa nie była jednak długa, okazało się, że trwała nieco ponad dziesięć minut. Konduktor zauważył nas dopiero wówczas, gdy pociąg zatrzymywał się na stacji. Z drugiego końca wagonu rzucił nam wiele mówiące spojrzenie. W odpowiedzi Denatka pomachała mu i posłała całusa, po czym wyskoczyliśmy na peron. Tu już nie mogli nas dopaść.

Dumni z siebie i swojego szczeniackiego przekrętu przeszliśmy przez peron i niewielki dworzec, który mnie osobiście skojarzył się z chlewem lub aresztem. Przed budynkiem znajdował się kamień pamiątkowy, poświęcony – jakżeby inaczej – Janowi Pawłowi II i jego górskim wędrownikom.

Spojrzałem na niebieską tabliczkę z nazwą miejscowości. Zagórz. Rozejrzeliśmy się po okolicy – ani żywej duszy. Magda powiedziała by o tym miejscu: „dziura w dupie”. W myślach przyznałbym jej rację.

Obok dworca stał sklep spożywczy. Weszliśmy do środka i kupiliśmy sobie po paczce fajek, po kawałku kielbasy, bułce oraz browarze. Zjedliśmy na zewnątrz, na ławce znajdującego się nieopodal przystanku autobusowego. Nieustannie łamało mnie w kościach; nocleg na pociągowej kanapie nie należał do najprzyjemniejszych, a do tego czułem się jakby skacowany, choć przecież niczego nie piłem. Nie licząc tego jednego piwa na dworcu, które przecież nie mogło aż tak mnie sponiewierać.

Śnieg cały czas sypał i sięgał już powyżej kostek, ale jakimś cudem nie czułem zimna. Wręcz przeciwnie – od środka promieniowało we mnie przyjemne ciepło i uczucie zadowolenia z tych przypadkowych przecież wakacji. Chwilowo nie martwiłem się pieniędzmi, u rodziców mogłem równie dobrze zjawić się zupełnie spłukany. Na bruk mnie przecież nie wyrzucają. Tak sobie przynajmniej powtarzałem.

– Co dalej? – zapytałem swoją towarzyszkę podróży, oddając jej całkowicie inicjatywę.

Denatka wzruszyła ramionami.

– Jedziemy dalej w Bieszczady? – zapytała.

Nie widziałem lepszego rozwiązania.

Sprawdziliśmy rozkład autobusów. Większość jechała w kierunku Ustrzyk Górnych, najbliższy miał odjeżdżać za pół godziny. Poczekaliśmy, powoli pijąc piwo i niewiele rozmawiając, a gdy zjawiała się furgonetka, weszliśmy do środka. Tym razem musieliśmy zapłacić za bilety.

Nasza podróż trwała niemalże dwie godziny. Mniej więcej od połowy trasy samochód kluczył po wijącej się jak wąż drodze, pokonując – zdawałoby się – niemożliwe do pokonania różnice wysokości. Pętla w jedną stronę, w drugą, w górę i w dół; przypominało to siedzenie na huśtawce, w dodatku takiej całkiem sporej. I gdy tak się huśtaliśmy, a tobołki i walizki wesoło podskakiwały w bagażniku, z lewej na prawą, z prawej na lewą, kierowca w końcu włączył radio, które splunęło na nas trzaskami i niskim poważnym tembrem spikera.

Prognoza pogody. Mężczyzna w radiu mówił coś o arktycznych frontach, różnicach ciśnień i podobnych bzdetach; nigdy nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Zanotowałem tylko najważniejsze: że gdzieś z nad Syberii nadciągają poważne opady i zimno. Spiker mówił tak, jakby sam nie dowierzał, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

Temperatury na południu kraju spadną do minus piętnastu, a miejscami nawet minus dwudziestu stopni.

Faktycznie dziwna sprawa, od lat nie było takich anomalii. No ale chyba o to właśnie chodzi w anomaljach, że nie było ich od lat, dlatego są anomaliami, prawda? Nie bolało mnie to specjalnie. Zawsze byłem człowiekiem zimy. Niemalże umierałem już przy dwudziestu stopniach Celsjusza, a ostatnie lata naprawdę mocno dały mi się we znaki. Przy temperaturach rzędu trzydziestu, czasem czterdziestu stopni zamieniałem się po prostu w rozlazłą plamę potu i tłuszczu, dlatego nie przeszkadzało mi wcale to, że tegoroczna zima zapowiada się na naprawdę mroźną.

Kierowca dalej manewrował po asfaltowych serpentynach; byłem naprawdę pełen podziwu dla tego faceta i jego umiejętności jazdy. Ja już dawno skończyłbym gdzieś na drzewie lub w strumyku, które co rusz przewijały się za oknem.

Denatka nie odzywała się do mnie, siedziała z nosem przylepionym do szyby i z dziecięcą ciekawością przyglądała się ośnieżonemu zboczom. Raz czy dwa mignęły nam stada saren, wtedy dziewczyna podskakiwała podekscytowana, a w jej oczach zapalały się iskry podniecenia. Zabawne

dziecko, pomyślałem, a potem skarciłem się za tę idiotyczną myśl, która momentalnie robiła ze mnie... kogo? Porywacza? Pedofila z przypadku?

Zacząłem zastanawiać się, ile czasu minie, zanim policja na dobre zainteresuje się jej zniknięciem. Będą przeglądać kamery, pytać ludzi, sprawdzać billingi. Przypomniało mi się, że w Zagórzcu jak ostatni idiota zapłaciłem za zakupy kartą, zostawiając policji w prezencie świeży ślad. Na szczęście udało mi się wcześniej, jeszcze przed podróżą, wyciągnąć z konta większość forsy. Miałem nadzieję, że wystarczy.

– Masz gotówkę czy kartę? – zapytałem dziewczynę.

– Gotówkę, lol. Mam szesnaście lat, regularnie uciekam z domu, dlaczego rodzice mieliby mi zakładać konto w banku?

– Ciszej, laska... – uspokoilem ją, choć kilku pasażerów już rzuciło w naszym kierunku dziwne spojrzenia. Wspaniale.

Denatka odwróciła się urażona, ale było mi wszystko jedno.

Przejechaliśmy jeszcze parę kilometrów do następnego przystanku, a wtedy dziewczyna niespodziewanie roześmiała się, patrząc za okno.

– Co cię tak bawi? – zapytałem.

Denatka pokazała palcem tablicę z nazwą miejscowości, nie przestając się śmiać, a potem szturchnęła mnie w ramię, wypychając w stronę korytarza.

– Wysia... Wysiadamy! – powiedziała, gdy na moment udało jej się powstrzymać chichot. – Zajebista nazwa!

Spojrzałem na tabliczkę.

– Stuposiany – powiedziałem powoli, na co Denatka zareagowała kolejnym wybuchem histerycznej wesołości.

Już wszyscy pasażerowie patrzyli na nas jak na dwa egzemplarze wyciągnięte z cyrku lub z domu wariatów, ale dziewczyna nie przestawała dusić się ze śmiechu. Wypadliśmy z autobusu, po drodze udało mi się jeszcze uderzyć łokciem o drzwi. Kierowca wyciągnął nasze bagaże, popukał się w głowę i zostawił nas niemalże w szczerym polu. Po prawej stronie drogi stało kilka domów jednorodzinnych, ale po lewej było widać jedynie zalesione zbocza gór.

– Nie chcę nic mówić, ale jest luty, a ty wyciągnęłaś nas z autobusu pośrodku niczego. Najprawdopodobniej tu zdechniemy, zamarzniemy, cokolwiek.

– Chyba ty – odparowała dziewczyna, zdmuchnęła sobie grzywkę z nosa i rozpoczęła marsz w kierunku, w którym pojechał autobus, wcześniej cykając sobie jeszcze fotkę przed tabliczką z nazwą miejscowości. Stuposiany, tak.

Miałem tylko nadzieję, że nie jest aż tak głupia, żeby udostępniać to zdjęcie na Facebooku, ale nie zapytałem w obawie przed opierdołem, jaki czekałby mnie, gdyby faktycznie miała trochę oleju w głowie.

Denatka, jakby czytając mi w myślach, powiedziała:

– Nie, nie jestem aż tak głupia, żeby to udostępnić.

Nagle zatrzymała się w miejscu, tuż przed skrzyżowaniem. Myślałem, że zastanawia się nad dalszą drogą, a wtedy ona wypaliła:

– Ej, wiesz co?

– Co? – zapytałem zbity z tropu.

– Nie powiedziałaś mi do tej pory... Jak masz na imię?

Faktycznie, nie zrobiłem tego, bo przecież nie pytała. Jedziemy razem całą noc, a ona ani razu nie zainteresowała się tym, jak mam na imię. Zastanowiłem się, czy chcę jej udzielać takiej informacji, czy może powinienem raczej skłamać na wszelki wypadek.

– Tomek – powiedziałem w końcu, stawiając na szczerość.

Akurat wówczas wiatr zawiał mocniej i wdarł mi się do ust, do tchawicy, do płuc. Zimne powietrze zmroziło mi wnętrzności, zabolęło, osiadło w środku bryłą lodu.

Denatka kilka razy niemo poruszyła ustami, jakby smakując brzmienie mojego imienia. *Tomek, Tomek, Tomek*. W końcu kiwnęła głową zadowolona i skręciła w lewo na skrzyżowaniu. Podreptałem za nią, robiąc ślady w dziewiczym jeszcze śniegu. Nic wtedy nawet nie przejeżdżało.

Po prawej stronie zauważyłem w oddali billboard z nazwą jakiegoś pensjonatu.

– Myślisz, że możemy się tam zatrzymać? – zapytałem.

– Czemu nie, zobaczymy.

Gdy podeszliśmy trochę bliżej, okazało się, że pensjonat znajduje się dziesięć kilometrów dalej. Willa Bastarnica. Reklamę zdobiła grafika z zębami i kolorowymi napisami w comic sansie. Grafik płakał jak projektował. Gdybym ja zrobił coś takiego na zaliczenie na studiach, to przez resztę edukacji wyższej pokazywaliby mnie palcami.

– Dziesięć kilometrów to sporo – stwierdziłem, maszerując po skrzypiącym pod butami podłożu. Zamarzyłem o górskich traperach, które, w przeciwieństwie do mojego obecnego obuwia, nie przemarzałyby już po kilkudziesięciu minutach marszu. Po kolejnych dziesięciu kilometrach najpewniej odpadną mi stopy.

– Wcale nie. Robiłam kiedyś tyle do szkoły.

– Piechotą? – zdziwiłem się.

– Nie no, co ty. Rowerem. Ale dziesięć to dalej dziesięć.

Z taką logiką nie mogłem się kłócić. Szliśmy dalej, ciągnąc za sobą walizki, które z pewnością nie powstały z myślą o wyprawach w Bieszczady. Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, miałby niezłe używanie. Uznałem to za dość zabawne, że wylądowaliśmy akurat tutaj. Wiecie, to jak w tym powiedzeniu. Pierdolnąć wszystko i wyjechać w Bieszczady; dokładnie to zrobiłem. Może nie do końca z własnej woli, ale i tak pasowałem jak ulał. Bezrobotny, bezdomny, samotny (no, może nie do

końca) facet wsiada do pociągu i ląduje w... jak to się nazywało?

– Stuposiany – powiedziałem, patrząc na Natalię.

Prychnęła pod nosem.

Nagle poczułem wibracje w spodniach. Wyciągnąłem rękę z kieszeni kurtki, a potem sięgnąłem po telefon. Zapomniałem go naładować, więc pierwsza rzuciła mi się w oczy ikonka baterii, wskazująca trzydzieści procent. Zresztą, i tak nie miałem gdzie podłączyć ładowarki. Jak zaginiemy pod lawiną, to będziemy w dupie, o ile Denatka nie ma bardziej naładowanego telefonu. Pozostawała nadzieja, że jednak ma.

Esemes przyszedł od Magdy.

Serce zabiło mi nieco szybciej, gdy odblokowywałem urządzenie. Wiadomość była jednak lakoniczna i prosta. Zdawkowa.

To gdzie Ci wysłać te rzeczy?

Co za cipsko! Nie minął jeszcze nawet dzień, a ona już chce się mnie bez reszty pozbyć. Jakby nie mogła poczekać, aż sam jej napiszę. Wszedłem w wiadomości, wystukałem jedno słowo i puściłem jako odpowiedź: Stuposiany. A potem wyłączyłem telefon. Niech się zastanawia. Poza tym musiałem oszczędzać baterię.

Wspomnienie o baterii sprawiło, że moje myśli wróciły na bardziej praktyczne tory. Przed wyłączeniem telefonu zauważyłem jeszcze, że *wybiła* trzynasta. Niby mieliśmy jeszcze trochę czasu – nawet mimo faktu, iż w górach słońce zachodzi szybciej – ale dziesięć kilometrów to całkiem sporo. Miałem tylko nadzieję, że nie złapie nas zmrok, wtedy sytuacja stałaby się naprawdę kiepska.

Zresztą już teraz była nienajlepsza. Temperatura powoli zaczynała spadać. Jeszcze przed chwilą nie odczuwałem tak zimna, bo z autobusu wynieśliśmy ze sobą nieco ciepłego powietrza pod ubraniami, ale z każdą kolejną minutą marszu coraz bardziej doskwierał mi chłód, szczególnie w stopy. Obawiałem się, że stalowoszare niebo już wkrótce zmieni kolor na ciemniejszy, a termometry w okolicy pokażą dwucyfrowe wskazania. Na minusie.

I zupełnie jakbym wykrakał, jakbym przywołał swoją upartą wolą nieszczęście, w tym właśnie momencie zerwał się wiatr; poruszył koronami drzew, zrzucił z nich zalegający śnieg, który rozproszył się delikatną mgiełką po całej okolicy, wpadając mi za kołnierz i w rękawy kurtki. Pożałowałem, że nie wpadłem na pomysł, aby wyposażyć się w rękawiczki. To był pierwszy raz, gdy pomyślałem o rękawiczkach.

Nim minęła kolejna godzina, nie myślałem już o niczym innym.

* * *

Przedzieraliśmy się przez śnieżną zamieć, dłońmi zasłaniając oczy, aby ochronić je przed padającymi niemal poziomo, twardymi płatkami śniegu, które siekły twarz jak lodowe żyłki. Co rusz zmieniałem dłoń, a

zmarzniętą chowałem na kilka minut do kieszeni, choć niewiele to pomagało.

Denatka szła w zaparte, ale widziałem, że jest jej dużo trudniej niż mnie; miała na sobie jedynie sweter i płaszcz, który zapięła wprawdzie pod samą szyję, ale – nie oszukujmy się – płaszcze nie zostały stworzone do górskich wędrówek. Obawiałem się, że po kilku godzinach takiego marszu w zupełności zasłużyłaby na swój pseudonim.

Jak się okazało, wcale nie musiało się ściemniać, bo i tak niewiele widzieliśmy w szalejącej zamieci. Widoczność sięgała kilkunastu, może kilkudziesięciu metrów. O zakrętach dowiadaliśmy się dopiero wówczas, gdy w nie wchodziliśmy. Po drodze kilka razy zdarzyło się, że Denatka zboczyła z trasy i brnęła na przełaj, prosto w las. Podbiegałem wówczas do niej i ściągałem ją z powrotem na ścieżkę; krzyczeć nie było nawet sensu. Za zimno.

W myślach wyklinałem na jej i swoją głupotę. Jej, że postanowiła wysiąść akurat na takim zadupiu, a swoją, bo jej posłuchałem. Byłem siedem lat starszy, powinienem mieć odrobinę więcej rozumu! Problem leżał jednak gdzie indziej: celowo pozwoliłem jej dowodzić tą wycieczką, żeby zrzucić ze swoich pleców brzemię odpowiedzialności. Chciałem przynajmniej raz w życiu odpocząć, wziąć udział w czymś, co nie zostało zaplanowane przeze mnie. Istniała wówczas pewna drobna szansa, że się nie spierdoli. Najwyraźniej nie tym razem.

Po drugie nie potrafiłem jej odmówić. Było w tej dziewczynie coś pociągającego, nie tylko seksualnie, ale też, jakby to powiedzieć, mentalnie. Natalia była taką dziewczyną, przy której po prostu chciało się spędzać czas. Nie wiem, skąd brało się to wrażenie, ale Natka roztaczała wokół siebie aurę jakiegoś dziwnego profesjonalizmu, jak gwiazda show-biznesu. Ta jej pewność siebie okazywała się zaraźliwa.

Nawet teraz, w tej zawierusze, od której pewnie odpadały jej uszy – ja miałem to szczęście, że miałem ze sobą czapkę – po prostu szła przed siebie z wyrazem tępego uporu na twarzy.

Nie miałem pojęcia, jak długo już szliśmy, obstawiałem godzinę, może półtorej. Nie chciałem wyciągać telefonu zmarzniętymi palcami; nie dawałbym sobie wówczas zbyt dużych szans na obsłużenie go, o ile jeszcze w ogóle działał. Przeczuwałem jednak, że jeśli za kilkanaście, maksymalnie kilkadziesiąt minut nigdzie nie dojdziemy, trzeba będzie się zreorganizować, zbadać trasę, znaleźć jakieś schronienie, choćby czyjś prywatny dom. Jak na złość jednak, po bokach nie dało się dostrzec żadnego zamieszkanego budynku; żadnego budynku w ogóle. Tylko śnieg, śnieg i jeszcze więcej śniegu, upartymi masami zwałającego się na nas z każdej strony.

Ile to jest dziesięć kilometrów? Ile „trwać” może dziesięciokilometrowy marsz w zawierusze? Zdawało mi się, że już

dawno pokonaliśmy ten dystans i bałem się, że pensjonat zostawiliśmy gdzieś daleko za sobą. Z każdą minutą marszu panikowałem coraz bardziej, aż w końcu nie wytrzymałem, złapałem Denatkę za ramię i wykrzyczałem jej do ucha:

– Musimy sprawdzić GPS!

– Co?!

– GPS! Musimy sprawdzić, gdzie jesteśmy! – przekrzykiwałem wycie wiatru.

Wyciągnąłem telefon, włączyłem go trzęsącymi się jak w febrze dłońmi. Ekran ładowania jeszcze nigdy nie wyświetlał się tak długo. Dalej, dalej – poganiałem go. No dalej! W końcu telefon zaskoczył, dałem mu jeszcze parę sekund na rozruch i włączyłem aplikację z mapami.

Oznaczająca naszą lokalizację niebieska kropka tańczyła po mapie. Od Sanoka po Cisną, od Cisnej po ukraińską granicę. Co to ma być?! Jasne, wcześniej zdarzało się, że w odludnych miejscach lokalizacja trochę wariowała, ale nie aż tak. Denatka włączyła swoją aplikację – to samo. Byliśmy w ciemnej dupie. Dosłownie, bo wybiła już piętnasta z hakiem i zaczynało się robić wyjątkowo mrocznie.

– Zdechniemy tu, pieprzeni idioci. Dlaczego ja w ogóle cię posłuchałem, dlaczego tu wyszliśmy z tego autobusu?! – wydierałem się, bardziej w eter niż na Natkę, która i tak nic sobie z tego nie robiła.

Przeszliśmy jeszcze ze sto, może dwieście metrów, a po prawej zamajaczył nam niski baner. Podeszliśmy bliżej, aż do samego billboardu, który połowicznie pokryty był śniegiem i szronem. Gołymi rękami starłem z niego biały puch, odsunąłem się, żeby przeczytać treść, choć i tak przyszło mi to z trudem.

„Willa Bastarnica, 500 metrów”.

Do tego znak sugerujący konieczność skręcenia w prawo.

Rozejrzeliśmy się, lecz bez wielkich rezultatów. Jeśli w ogóle była tu jakakolwiek droga, dawno już zginęła pod śniegiem, sięgającym nam niemalże do kolan. Czułem, że moje spodnie są przemoczone do suchej nitki, nie wspominając już o butach. Zapalenie płuc murowane.

Przed nami zamajaczył jednak znak drogowy, gdzieś na prawo od drogi, którą szliśmy.

– Myślisz, że to skręt?! – zawołałem.

– Nie wiem!

– Poczekaj!

Zrobiłem jedyną rzecz, która wydała mi się w tamtym momencie sensowna. Padłem na kolana – i tak już przemoczone – i zacząłem gołymi rękami odgarniać śnieg, żeby dokopać się do podłoża. W końcu natrafiłem na twardą drogę.

– To asfalt! Tędy można iść do pensjonatu! – oznajmiłem.

Taką przynajmniej miałem nadzieję, bo, prawdę mówiąc, nic już nie

wydawało mi się wtedy pewne. Gdy nie widzisz dalej niż na dwadzieścia metrów przed sobą, zewsząd jesteś bombardowany zimnem, twoje stopy bolą jak zamknięte w średniowiecznej maszynie tortur, ręce odpadają, usta zamieniają się w kawałek mrożonej szynki; wtedy pewność jest prawdziwym luksusem.

Poszliśmy jednak w kierunku znaku, nie bardzo wiedząc, co innego moglibyśmy zrobić. Gdy już dotarliśmy na odległość pozwalającą nam zobaczyć napis, oboje zamarliśmy.

– Uwaga, niedźwiedzie? – powiedziałem cicho, zbyt cicho, by Denatka mogła mnie dosłyszeć. Jednak zaraz potem wybuchłem: – Jebane niedźwiedzie! Tu są niedźwiedzie!

Dziewczyna dalej wgapiła się w znak, zupełnie jakby ją zaczarował. W międzyczasie ja prowadziłem swój monolog:

– Niedźwiedzie! Dlaczego ludzie w ogóle budują się w takich miejscach! Ale... Zaraz! Przecież jest luty! Niedźwiedzie śpią, prawda?! Natka?! Śpią, czy nie?!

Każdy wie, że niedźwiedzie zapadają w sen zimowy, ale gdy widzisz taką tablicę, taki znak, zaczynasz się zastanawiać. A gdy zaczynasz się zastanawiać, już po tobie. A bo to musi być prawda? Może jednak nie śpią? A może nie wszystkie śpią? A może akurat ten konkretny postanowił wstać i przejść się po lesie w poszukiwaniu żarcia, bo czemu nie? Przecież to wszystko tylko bajki dla dzieci; kto dorosły z własnej woli kiedykolwiek sprawdził, czy niedźwiedzie na pewno zasypiają na zimę. Sprawdziliście? Weszliście kiedyś na Wikipedię poczytać o niedźwiedziach? To jak jest, zasypiają czy nie? Ja do dzisiaj nie wiem. Nie zamierzam sprawdzać. Jeszcze mogłoby się okazać, że to nieprawda.

– Chyba śpią! – Denatka zasiała dalsze wątpliwości.

„Chyba”. Nigdy nie mówisz przerażonym ludziom, że coś jest „chyba”; „chyba” to wyrok dla umysłu, po którym zaczynasz się jeszcze bardziej zastanawiać, zaczynasz wątpić w swój rozum. Odczuwałem wtedy pierwsze przejawy nienawiści do Denatki, tak, to chyba był pierwszy moment, gdy naprawdę pożałowałem tej wyprawy i zacząłem myśleć o tej dziewczynie jak o swoim osobistym nemezis.

Mróz wyciskał nam dech z piersi, ale szliśmy dalej, pozbawieni jakiegokolwiek wyboru. Jakże głupim musiałem być człowiekiem ledwie kilka godzin temu, gdy tak cieszyłem się na opady śniegu! Słońce całkiem już zrejterowało, pozostawiając nas na łasce ciemności, na łasce wygłodniałych zwierząt czających się w mroku. Wiedziałem już, całym sobą czułem, że coś zaraz się stanie, coś złego, że jest to tylko kwestią najbliższych minut. Słyszałem, a może wydawało mi się, że słyszałem, jak coś porusza się po lesie równoległe do nas. Ciężkimi krokami łamało gałęzie kryjące się pod śniegiem. A może to po prostu trzaski wydawane przez przemarznięte drewno?

*Idą, idą misie, hop-siup, tralala! Śmieją im się pysie, hop-siup, tralala!
Idą po nas misie, hop-siup, tralala! Człowiek w jadłospisie, hop-siup,
tralala!*

Nie, dość, Tomek. Nie rób sobie tego!

Nie mogąc znieść ogarniającej nas ciemności, oboje włączyliśmy latarki w telefonach. Światło było żałośnie słabe, miało metr, może dwa zasięgu, ale lepsze to niż nic. Po raz kolejny pożałowałem, że nie przygotowaliśmy się do tej wyprawy lepiej, ale jak mieliśmy? Miała być spontaniczna wycieczka, przygoda życia! No to masz swoją przygodę życia, ty zakuty łbie, ty durny sukinsynu!

Uszliśmy sto, dwieście metrów; pensjonatu dalej nigdzie nie było widać. Po kolejnych dziesięciu minutach marszu byłem już pewien, że to farsa, że żaden pensjonat nie istnieje. Nie pojawił się żaden znak, żadna strzałka, żadna nawet najdrobniejsza sugestia, że gdzieś tu znajduje się jakakolwiek ludzka siedziba. Byliśmy sami, otoczeni przez ciemność i przeraźliwy ziąb; oba te żywioły napierały na nas, jak gdyby nie były po prostu brakiem światła i ciepła, lecz osobnym krwiożerczym organizmem, drapieżnikiem, kąsającym nas wytrwale aż do reszty opadniemy z sił.

Przez moment będą nas ratować jeszcze żałośnie słabe latarki telefonów, a potem i one się wyczerpią, a my zostaniemy doszczętnie pożarci przez mrok. I nie będzie już nas, jedynie czarna nicość, przeraźliwie pusty kosmos nocy.

Sytuacja przestała być zabawna. Postanowiłem zadzwonić po pomoc.

985, 985, 985! Trzykrotnie próbowałem się połączyć z górskim pogotowiem ratunkowym, ale bez skutku. Telefon nie miał zasięgu. U Natalii to samo – to było jak wyrok.

Natalia złapała mnie za rękę. Może trzy godziny temu coś takiego by mnie ucieszyło, może doświadczyłbym szybszego bicia serca lub ucisku w podbrzuszu, ale teraz był to jedynie pusty gest. Prawdę mówiąc, gdy poczułem jej dotyk na przemarzniętej dłoni, wykręcił mnie dreszcz obrzydzenia; wyobraziłem sobie posiniaczoną, odmrożoną dłoń trupa.

Jeden fałszywy krok, tyle wystarczyło.

Tam, gdzie miał znajdować się kawałek gruntu, nie było niczego. Moja stopa trafiła w wolną przestrzeń, krew natychmiast uderzyła mi do głowy w ataku paniki, ale było już za późno, by cokolwiek zrobić – spadałem, a za mną leciała Denatka, którą pociągnąłem za rękę, próbując się ratować. Wpadliśmy w głęboki śnieg, który zlepził nas w gigantyczną ludzką kulę, a potem w dół, w dół, w dół, objijając sobie żebra o własne łokcie, o kamienie, o wystające z ziemi pnie. Świat zamienił się w karuzelę, kalejdoskop czerni i bieli – wciąż trzymałem telefon z włączoną latarką – a potem nagle wszystko się zatrzymało. Wyrznąłem barkiem o drzewo, biorąc na siebie cały impet uderzenia.

Zrobiło mi się kolorowo przed oczami.

* * *

Ocknąłem się w chwilę potem. Tak mi się przynajmniej wydawało, ale skoro wciąż byłem żywy, nie mogliśmy leżeć tu zbyt długo. Podniosłem się – śnieg sięgał mi już niemal do pasa – i poczułem wszechogarniający ból. Czułem się tak, jakby znów ktoś skopał mnie roboczymi butami. Pomogłem wstać Denatce, która z początku broniła się, nie chciała, próbowała wrócić w objęcia śniegu. Dopiero kilka wymierzonych jej siarczystych policzków zmieniło sytuację, zmobilizowało ją do ruchu.

Jakimś cudem wciąż miałem w dłoni swój telefon. Trzęsąc się z zimna, podniosłem ekran do oczu i przekonałem się, że zostało mi tylko dwadzieścia procent baterii. Denatka też miała swój aparat, tyle szczęścia w nieszczęściu.

– Musimy iść dalej – wycedziłem przez szczękające zęby.

Lecz dokąd mieliśmy iść? Znaleźliśmy się na dnie jakiegoś parowu, a gdziekolwiek nie spojrzeliśmy, widzieliśmy tylko ścianę ciemności. Wybrałem drogę na chybił-trafił, tam, gdzie – wydawało mi się – leżało najmniej śniegu.

Po dziesięciu minutach marszu zauważyliśmy światła.

Nie bawiliśmy się w szukanie drogi czy szlaku, brnęliśmy na przełaj, prosto w kierunku zawieszonych w powietrzu świetlistych kul. Krok po kroku, na obolałych nogach, na stopach, które chyba już doczekały się pierwszych odmrożeń. Raz, dwa, raz, dwa; byle przed siebie. Świetliste kule w końcu nabrały właściwego kształtu, stały się oknami domu, trwającego pośrodku śnieżnego przestworu.

Z daleka wydawało się, że to zaledwie mała chatka, ale gdy już podeszliśmy bliżej, okazało się, że to w istocie dwupiętrowy drewniany dom. Pomimo ekstremalnego wycieńczenia i nikłego oświetlenia, doskonale zapamiętałem jego wygląd, chyba dlatego że żaden inny widok nie sprawił mi w życiu tyle radości.

Budynek był zbudowany z bali, a we frontowej ścianie mieściły się po cztery okna przypadające na parter i każde z pięter. Na parterze położony został niewielki taras, zaś powyżej, na obu piętrach, ze ścian wysuwały się proste drewniane kładki, pełniące funkcję niezabezpieczonych balustradą balkonów. Wielospadowy dach domu pokryto szarą strzechą. Drzwi frontowe były szerokie, staroświeckie, zwieńczone trójkątnym drewnianym daszkiem.

– Czy to ta willa... cośtam? – zapytała Denatka, gdy przedzieraliśmy się w kierunku wejścia.

– Nie wiem – odparłem, zaraz jednak udało mi się przeczytać szyld zawieszony nad wejściem. – Nie, to jest... „Czarna Polana”.

Czarna, czerwona czy niebieska, co za różnica, pomyślałem. Byleby można było się ogrzać, zdjąć przemoczone ciuchy, wyspać w ciepłym łóżku.

Schody prowadzące do wejścia znajdowały się niemal w całości pod śniegiem, nie widząc stopni, musieliśmy więc iść na wycucie. Pewnie wyglądaliśmy wówczas komicznie – lub przerażająco – skradający się do drzwi nieskoordynowanymi ruchami, niczym żywe trupy. Nie tylko wyglądaliśmy, ale też czuliśmy się jak zombie, a przynajmniej ja się tak czułem.

Gdy w końcu udało nam się dotrzeć do wejścia, chyba tylko resztkami woli powstrzymałem się przed naporciem na klamkę i wtargnięciem do ciepłego pomieszczenia. Zamiast tego nacisnąłem dzwonek; zamierzałem wszak wleźć do czyjegoś domu i pakowanie się do środka bez pozwolenia byłoby ostatecznością. Denatka jednak nie podzielała moich obaw i w momencie, w którym wcisnąłem niewielki czarny guzik, złapała za lodowatą zapewne klamkę i pociągnęła drzwi do siebie. Ustąpiły, otworzyły się na oścież, a ze środka dmuchnęło w nas przyjemne ciepło. Nie zamierzałem czekać na zewnątrz jak idiota i podążyłem za nią.

Przywitał nas skromny przedpokój i jego niemal gołe ściany, jeśli nie liczyć mosiężnych kinkietów i zawieszzonego w honorowym miejscu jeleniego poroża. Ten dość ascetyczny wystrój nie pasował mi do górskiego pensjonatu; w pamięci miałem wizyty w dziesiątkach schronisk i hosteli, w których ściany przedpokojów spełniały również funkcje tablicy informacyjnej z mapami, plakatami i reklamami. Był taki okres, że wraz z Magdą co weekend wybieraliśmy się w góry, pokonując krótsze lub dłuższe trasy. To było na samym początku naszej znajomości, potem wszystko jakoś... zamarzło. Zupełnie, jak teraz zamarzał świat na zewnątrz.

Przed sobą mieliśmy schody prowadzące na półpiętro, gdzie najpewniej była recepcja. Ruszyliśmy nimi powoli, otrzepując z siebie płaty śniegu, które przywarły do naszych ubrań. Przeszliśmy przez znajdujące się po prawej stronie otwarte drzwi, za którymi rzeczywiście mieściła się recepcja – pusta. Z braku lepszych możliwości stanęliśmy obok, oparliśmy się łokciami o blat. Nie miałem wielkich wymagań i na ten moment w zupełności wystarczyło mi, że nie pada na mnie śnieg, a lodowaty wiatr nie zamienia moich kości w sople lodu. Mógłbym tu spędzić całą noc, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko. Nawet jeśli musiałbym stać i pomimo bólu kończyn, które zaczęły odmarzać i rwać. Mimo to zadzwoniłem mosiężnym dzwonkiem. Raz, potem drugi. Bez efektu, nikt się nie pojawił.

Denatka wyglądała jak strach na wróble. Z jej alabastrowej cery nie pozostało nawet wspomnienie i obecnie bardziej przypominała sobą

alkoholika w ostatnim stadium choroby: czerwony jak wiśnie nos, blade usta, posiniaczone policzki i podkrążone oczy. Sam pewnie wyglądałem nie lepiej, szczególnie mając na uwadze fakt, że jeszcze wczoraj dostałem srogi oklep, ale na szczęście nigdzie w najbliższym otoczeniu nie uświadczylem lustra i nie musiałem oglądać w nim swojej twarzy.

Po drugiej stronie pomieszczenia, niemal dokładnie naprzeciwko recepcji, stał kamienny kominek, w którym płonęły, a raczej dogasały, mocno już zwęglone polana. Na lewo od kominka znajdowały się wysokie dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do hotelowej jadalni i baru. Spojrzałem na zegarek – było zaledwie kilka minut po dziewiętnastej. Zdziwiłem się, że bar jest całkiem pusty, zupełnie jakby w pensjonacie nie było innych gości. Ale zaraz, czy to naprawdę aż takie dziwne? Może reszta potencjalnych turystów nie była takimi idiotami jak my i przysłuchiwała się prognozie pogody, a następnie wyciągnęła z niej wnioski i pozostała w domach, zamiast zamarzać w Bieszczadach?

Sam bar był niewielkich rozmiarów – wewnątrz mieściły się zaledwie trzy podłużne stoliki z podstawionymi ławami, kilka doniczek z paprociami i... pianino. Wówczas dość mocno mnie to zaskoczyło. Spróbowałem sobie wyobrazić transportowanie tutaj gigantycznego instrumentu, zapewne w czasach, w których w okolicy nie położono jeszcze asfaltowych dróg i dostawcy musieli przedzierać się najpewniej przez posypane żwirem, pozarastane górskie trakty. Wskazywał na to wiek instrumentu, który lata świetności miał już za sobą.

Przez parę lat uczyłem się gry na klawiszach, od niechcienia podszedłem więc do instrumentu i zagrałem kilka przypadkowych akordów. Pianino brzmiało zaskakująco dobrze, ale moje zmarznięte palce kiepsko nadawały się do grania. Zagrałem początek „Let it be” Beatlesów, zirytowałem się, zatrzasnąłem klapę. Może nieco zbyt mocno.

Wtem z góry dobiegło mnie jakieś poruszenie, szuranie butami po podłodze-suficie. Wróciłem do lady recepcji, ponownie uderzyłem w dzwonek, który wydał wysoki, nieprzyjemny ton.

– Idę, już idę! – zawołała z góry jakaś kobieta.

Po chwili dało się słyszeć głośnie tupnięcia, sapanie i dźwięk ocierania się o ściany, jakby po schodach za recepcją przemierzał się nie człowiek, lecz jakiś inny, gigantyczny i niezdarny ssak.

– Idę, idę... – powtarzał damski głos, niczym dziwną mantrę. – Idę...

W końcu kobieta wytoczyła się, niemal dosłownie, nam na spotkanie. Była naprawdę słusznej postury, stawiałbym na kilkadziesiąt kilogramów nadwagi. Owalną, niemal okrągłą czaszkę zdobiła krótka rudawa czupryna. Słowo daję, nie mam pojęcia, dlaczego te wszystkie stare kobiety farbują się na rudo albo wręcz na czerwono, co upodabnia je do groteskowych dzieciółów. Aby zmieścić się pomiędzy futrynami, recepcjonistka musiała ustawić się bokiem, a i wówczas nie obyło się

bez ocierania brzuchem o ościeżnicę.

Gdy w końcu udało jej się do nas doczłapać, poczułem się przy niej przerażająco mały. Skojarzenia z niedźwiedziem okazały się całkowicie trafione; oczyma wyobraźni zobaczyłem brunatnego ssaka, szorującego grzbietem o korę drzewa. Przypomni mi się znak drogowy ostrzegający przed drapieżnikami; a więc o to chodziło. Choć teraz sytuacja wydawała się zaledwie zabawnym wspomnieniem, to i tak wstrząsnął mną dreszcz.

Nie udało mi się powstrzymać ironicznego uśmiechu, ale recepcjonistka albo go nie zauważyła, albo też wzięła za dobrą monetę. Pozostawało mi to zupełnie obojętne, bo jedynym, czego teraz pragnąłem, była ciepła kąpiel i także pościel.

– Co... Co dla państwa? Będzie pokój? – wysapała portierka, opierając się grubymi, krótkimi palcami o blat. Oddychała tak ciężko, że ledwo mogłem ją zrozumieć. – Skąd was w ogóle, ten tego, przywiało w taką pogodę? Co?

– Ano właśnie stamtąd nas przywiało. I tak, będzie pokój, byle ciepły.

– Byle ciepły, byle ciepły... Wszystkie są ciepłe. A jaki? Łóżka dwa czy jedno, małżeńskie? – Spojrzała badawczo na Denatkę, zapewne szacując w myślach jej wiek.

Oho, zaczyna się, ale byłbym bardzo naiwny, gdybym się tego nie spodziewał. Tego mi tylko brakowało – posądzeń o wykorzystywanie nieletniej.

– Dwa łóżka – uciąłem temat. – To moja siostra.

Nikt, kto posiadałby chociaż odrobinę intelektu, nie kupiłby tego kłamstwa. Ja z moją południową urodą i Denatka, która odzyskała już swój naturalny, porcelanowy kolor skóry, byliśmy najmniej podobnymi do siebie ludźmi na świecie. Recepcjonistka jednak nie oponowała. Dała nam klucze, zażądała dowodu osobistego i zapłaty (pięćdziesiąt złotych od osoby, nie tak znowu tragicznie; zapłaciłem za nas oboje własną gotówką), a potem skrupulatnie wytłumaczyła drogę do pokoju. Zapytała jeszcze, czy aby na pewno trafimy, ale natychmiast zapewniłem ją, że damy sobie radę. Nie miałbym serca patrzeć, jak wspina się na drugie piętro tylko po to, żeby pokazać nam drzwi. Jeszcze padłaby na zawał i byłbym za to odpowiedzialny.

– Życzą sobie państwo jakąś kolację? – zapytała na odchodne kobieta za ladą.

Poczułem, jak ślina zbiera mi się w ustach. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem głodny.

– Tak, jak tylko dotrzemy na górę i trochę się ogarniemy. Za godzinę, może dwie?

– W porządku, ten tego, coś przyrządzimy. Doliczmy do ceny pokoju. Nie mamy, niestety, w opcji nic jarskiego, gdybyście byli... Tymi, no...

– To nie szkodzi, bo tu nie ma żadnych wegetarian – oznajmiłem, mając nadzieję na jakieś soczyste i tłuste żarcie, a potem pożegnałem się i ruszyliśmy na górę.

Denatka przez cały ten czas nie odezwała się ani razu. Słusznie, gdyby mnie ktoś pytał. Cholera wie, jakie głupstwo mogłaby palnąć. Gdy jednak weszliśmy do pokoju i zamknęliśmy za sobą drzwi, dziewczyna wybuchnęła krótkim śmiechem.

– Brat i siostra jak się patrzy! Szczególnie ten twój wielki nochal! Idealnie pasuje do mojego!

– Zamknij się – powiedziałem od niechcienia, ale jednocześnie nie mogłem się nie uśmiechnąć. – Co innego miałem jej sprzedać? Podróż poślubną?

– Czemu nie? To byłaby najgorsza podróż poślubna wszechczasów.

– Najgorsza byłaby, gdybyśmy jednak zamarзли, o tam. – Pokazałem za okno, a potem przeszedłem przez pokój i zerknąłem w dół.

Śnieg wciąż mocno padał. Jakby przez te wszystkie bezśnieżne lata matka natura zbierała siły na jedno ostateczne uderzenie. Nie było już nawet widać naszych śladów – biała pokrywa doskonale wygładziła teren.

Jak w ciągu zaledwie kilku godzin mogło napadać aż tyle śniegu? – zastanawiałem się, szacując na oko wysokość opadów. Pół metra na pewno, może nawet metr? A przecież przed nami cała noc!

Za ścianą coś stuknęło, wyrwało mnie z zamyślenia. Czyli jednak nie byliśmy tu sami. Jakiś jeszcze amator zimowych samobójstw wybrał się w trasę, a teraz pewnie patrzy za okno i zastanawia się, co dalej ze sobą począć. Dom wariatów, słowo daję.

Ściągnąłem buty, wybebeszyłem je z wkładek i sznurówek, a potem położyłem wszystko na kaloryferze. Przy odrobinie szczęścia jutro będą już suche. To samo zrobiłem ze spodniami, chociaż trochę dziwnie się czułem, ściągając ubrania przed Denatką. Ona jednak nie krępowała się wcale, zrzucała z siebie ciuchy zupełnie swobodnie, jakby była u siebie w domu. Taktownie odwróciłem wzrok, zanim pozbyła się spodni, a potem ruszyłem do łazienki, nie czekając, aż Denatka zajmie moje miejsce. Tak, to jest to, co tygryski kochają najbardziej – gorąca kąpiel na obolałe kończyny.

Łazienka budziła skojarzenia ze szpitalem. Białe kafelki z odpływem, plastikowa wanna nie pierwszej młodości, umywalka i toaleta ze spłuczką na łańcuszek. Kafelki przez moment tworzyły wrażenie sterylności, dopóki im się bliżej nie przyjrzeć, nie zobaczyć, że w kącie biega jakieś wielonogie robactwo. Ja się jednak nie przyglądałem, a przynajmniej próbowałem się nie przyglądać. Od razu ruszyłem w kierunku wanny z podwieszoną pod sufitem zasłonką. Zasłonka była biała, a może raczej: kiedyś była biała. Teraz jest żółta; na środku

widnieje wypalona papierosem dziura.

Trochę to wszystko jest nierealne, myślałem, odkręcając wodę. Nierealne, jak wyjazd na obóz, urlop na polu namiotowym. Czulem się na to za stary. Ludzie w moim wieku spędzają wakacje w luksusowych hotelach nad basenem w Hurghadzie, a ja wylądowałem na jakimś zadupiu. Pomstowałem w myślach na Magdę i na Denatkę, dopóki nie uświadomiłem sobie, że to wyłącznie moja wina. Jestem tu, bo tego chciałem, czy mi się to teraz podoba, czy też nie.

Szybko okazało się, że nijak nie potrafię znieść nie tylko gorącej, ale i zwyczajnie ciepłej kąpieli. Musiałem więc zacząć od chłodnej, dopiero stopniowo zwiększając ciepłość, gdy już przestała mnie parzyć woda o temperaturze pokojowej. Dłonie powoli odzyskiwały pełną sprawność, nasączone bólem palce prostowały się same, jakbym był ludzikiem zrobionym z poskręcane go makaronu.

Na brzegu wanny znalazłem kawałek mydła, na nim pojedynczy zakręcony włos wiadomego pochodzenia. Zapomniałem o wyjęciu żelu pod prysznic z walizki, więc nie miałem żadnego wyboru. Ostrożnie usunąłem włos z mydła...

Zaraz, jakiej walizki?! Gdzie się podziała moja walizka?! Zupełnie wypadło mi z głowy, że tam na zewnątrz, gdy spadaliśmy stromym zboczem, zgubiłem bagaż! Aż do teraz nie przyszło mi to na myśl, miałem ciekawsze rzeczy do roboty. Wszystkie moje dodatkowe ubrania, środki higieny, pieprzona szczoteczka do zębów – przepadły! Przez chwilę miałem ochotę zerwać się i ruszyć na poszukiwanie, ale dotarło do mnie, że jest to całkowicie pozbawione sensu. Walizki dawno już znalazły się pod śniegiem i nawet gdybym wiedział, gdzie dokładnie, moje szanse na znalezienie ich były marne, na pewno znacznie mniejsze niż szanse na śmierć z powodu hipotermii. Niech to szlag.

Nie wiem, jak długo siedziałem w wannie, ale w końcu Denatka zaczęła się dobijać do drzwi.

– Ja też chcę się wykąpać! – krzyczała zza ściany.

Miałem to w dupie, jej chcenia i niechcenia, ale narzekanie z pokoju popsło mi całą przyjemność z kąpieli. Wyszedłem z wanny, wytarłem się w stary ręcznik z przydziału i wróciłem do *apartamentu* ubrany jedynie w koszulkę i nieco wilgotne jeszcze bokserki. Musiałem się przyznać sam przed sobą do tego, że zaczynałem tęsknić za dotychczasowym mieszkaniem, za jego szarą, nudną rzeczywistością. Za widokiem nieco zbyt szerokich pleców Magdy.

Denatka już czekała. Posłała mi wściekłe spojrzenie, wyminęła mnie i trzasnęła drzwiami do łazienki. Jakby w odpowiedzi na to, gdzieś na zewnątrz również trzasnęły drzwi, a zaraz potem ciszę przeciął krótki urwany krzyk, krzyk dziecka. Brzmiał, jakby dobiegał bezpośrednio z korytarza. Choć przez całe życie starałem się unikać wtrącania w nie

swoje sprawy, było w tym krzyku coś tak niezwykle żalnego, że postanowiłem rzucić okiem na zewnątrz, nawet jeśli miałem na sobie tylko bieliznę. A nuż jakiś dzieciak potrzebuje pomocy?

Wyszedłem przed drzwi, zerknąłem najpierw w lewo, w stronę schodów, a potem w prawo – w stronę reszty pokoiów na drugim piętrze. Bladożółte, jakby zakurzone światło od niechcienia rozświetlało pomieszczenie oklejone beżowymi tapetami w kwiatki i wyłożone czerwonym dywanem, którego nikt nie czyścił już od bardzo dawna. Korytarz był pusty.

Poczułem na nogach bijące od schodów zimne powietrze i natychmiast ogarnęła mnie chęć, żeby znaleźć się pod ciepłą kołdrą, ale przypomniałem sobie o kolacji. Gdybym wszedł do łóżka, nie wyciągnęliby mnie stamtąd nawet koparką. Na powrót naciągnąłem więc na siebie mokre spodnie – wchodziły z trudem – i usiadłem na brzegu wyra, wgapiając się w drzwi od łazienki. Po drugiej stronie Denatka wesoło pluskała się w wodzie. Spróbowałem ją sobie wyobrazić nago.

Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Pewnie dlatego, że mogłem. Może i miała szesnaście lat, ale nie wyglądała jak dziecko. Nie jak dorosła, żeby nie było, ale też nie jak dzieciak. Zawsze podobały mi się młodsze dziewczyny. Przez to wszystko na studiach koledzy żartowali sobie ze mnie, że kiedyś sprowadzę do domu prokuratora i wyglądało na to, że moment ten w końcu nadszedł; pomijając fakt, że obecnie nie mam żadnego domu.

Nie wątpiłem, że ta lalkowata nastolatka wygląda bez ubrania bardzo, naprawdę bardzo dobrze. Może gdybym to sensownie rozegrał, moglibyśmy złączyć łóżka i zaserwować sobie seans kazirodztwa? Recepcjonistka miałaby nielichą minę, gdyby nas wówczas przyłapała. Nie, dobra, wystarczy tych brudnych myśli. Ogarnij się, Tomek, pomyśl o czymś innym. Na przykład o swojej byłej.

Ciekawe, co teraz robi Magda. Może rzeczywiście posłała moje rzeczy pod przypadkowy adres w Stuposianach, to byłoby do niej podobne. Znalazłem w kieszeni dogorywający telefon i podłączyłem go do prądu. Pasek baterii zaczął powoli się wypełniać. Miałem szczęście, że ładowarkę trzymałem w kieszeni. Gdyby została w torbie, byłbym konkretnie udupiony. Ciekawe, czy Denatka zauważyła, że również pozbyła się walizki i wszystkich rzeczy ze środka. Miałem nadzieję, że trzymała wewnątrz jakieś drogie rzeczy. Taka strata pewnie trochę utarłaby jej nosa.

Czasem byłem naprawdę zawistnym fiutem.

W chwilę później dziewczyna wyszła z łazienki. Na głowie miała turban z ręcznika, a oprócz tego jedynie koszulkę i bieliznę. Tym razem nie odwracałem wzroku. Patrzyłem na nią z premedytacją, skanując od

góry do dołu, zupełnie jakbym był humanoidalnym robotem, androidem z filmów o apokalipsie, wyposażonym w emitory promieni Roentgena.

Denatka zignorowała moje spojrzenie, usadowiła się na krawędzi drugiego łóżka i wydała z siebie westchnienie pełne rezygnacji. Pewnie pomyślała o tym samym, o czym ja pomyślałem ledwie kilkanaście minut temu. Łóżko czy kolacja? Trudny wybór.

- Wiesz, że zgubiłaś walizkę? – zapytałem.
- Wow, dopiero teraz zauważyłaś? A gdzie masz własną?
- Nie mam. – Zagryzłem zęby.
- No widzisz, mamy remis. Idziemy zjeść?
- Może najpierw załóż spodnie?
- Jest to jakiś pomysł.

W dziesięć minut później znów czekaliśmy na dole, tym razem już w dużo lepszych humorach. Portierka zjawiała się po chwili i powiedziała nam, żebyśmy przeszli do części restauracyjnej i tak też zrobiliśmy. Po kolejnych dziesięciu minutach przyniosła nam po talerzu pieczeni z ziemniakami.

– O tej porze, to ja wszystko tutaj sama robię – usprawiedliwiła się, jakby cokolwiek nas to obchodziło. – Mąż, ten tego, czasem pomaga z gotowaniem. Wiecie, jak to jest. Starość nie radość, ale jakoś trzeba sobie radzić. Najgorzej to jest z łózkami i całym tym przebieraniem. Tego się chłop nie tknie, mówi, że to babska robota. Jest jeszcze jedna dziewczyna, ale ona...

– Nie szukamy pracy, jeśli o to chodzi – przerwała jej ostro Denatka, wsadzając do ust duży kawał mięsa.

– Oczywiście, oczywiście. Ja tak tylko... Tak tylko mówię...

Skupiłem się na talerzu, ignorując biadolenie nad uchem. Nie to, że nie było mi jej trochę szkoda; natura nie pożałowała mi empatii. Po prostu po całym dniu marszu o głodzie i chłodzie słuchanie lamentów starej właścicielki pensjonatu to ostatnie, na co człowiek ma ochotę.

Jedzenie było miejscami gorące, a miejscami zimne, najwidoczniej odgrzewane w mikrofalówce. Smakowało nieco dziwnie, jakby przeleżało w lodówce o jeden dzień za długo. Nie przeszkadzało mi to jednak. Istnieje taki rodzaj głodu, który pozwoliłby człowiekowi zjeść nawet kocie żarcie z puszki i to bez specjalnego wybrzydzenia. Czułem, że znalazłem się niedaleko tego rodzaju desperacji. Zresztą pensjonat nie wyglądał na hotel pięciogwiazdkowy, co miało swoje plusy i minusy.

W końcu natrętna właścicielka – bo z tego co mówiła, wynikało, że faktycznie nią jest – zostawiła nas i mogliśmy zjeść w spokoju. Zrobiło mi się nawet głupio, że potraktowaliśmy ją w taki oschły sposób, przecież ten pensjonat prawdopodobnie uratował nam życie, ale ewidentnie nie byliśmy w humorze na pogaduchy na temat jej kondycji, chorób i starości.

Obiecałem sobie, że jakoś jej to jutro wynagrodzę. Może po prostu uśmiechnę się do niej i rzucę miłym „dzień dobry”, gdy będziemy schodzić na dół. Istniała pewna niewielka, ale wciąż, szansa, że przez noc śnieg trochę stopnieje i jutro będziemy mogli poszukać swoich walizek. Brzmiało jak pobożne życzenie, lecz przecież różne rzeczy się zdarzają, a już na pewno w Bieszczadach.

W ostatnim kęsie jedzenia znalazłem gruby czarny włos, ale nie miałem serca, aby składać reklamację. Zresztą, co by mi to dało?

Po wszystkim zostawiliśmy talerze na stole i wspięliśmy się do swojego pokoju. Denatka pozbyła się ciuchów i padła na łóżko jak rażona gromem, ja zdążyłem jeszcze ułożyć wciąż wilgotne ubranie na kaloryferze obok butów. Nigdy w życiu tak bardzo nie cieszyłem się, wchodząc pod kołdrę.

Ostatnim, co zobaczyłem, zanim sen doszczętnie mnie zmorzył, była wystająca spod kołdry zgrabna łydka mojej przypadkowej towarzyszki.

ROZDZIAŁ III

Spałem długo, choć nie tak długo jak Denatka; gdy się obudziłem, promienie zimowego słońca od dłuższej chwili penetrowały wnętrze naszego pokoju. Nie budziłem dziewczyny, zamiast tego leżałem cicho i wpatrywałem się w ten sam widok, który pożegnał mnie poprzedniego dnia – zgrabną denatkową łydkę i kawałek uda.

To nie tak, że jestem jakimś nie wiadomo jakim erotomanem, ale chyba każdy facet na moim miejscu zrobiłby to samo, prawda? W cóż innego miałem się wgapiać, w sufit? W wiszące na grzejnikach ubranie?

Gdy już znudziło mi się podziwianie kształtów mojej nieletniej towarzyszkii, po cichu wstałem i zerknąłem za okno z nadzieją, że śniegu trochę ubyło. Nie mogłem bardziej się pomylić. Zamiast ubyć, białego puchu jeszcze dowaliło i teraz nie byłem pewien, czy byłbym w ogóle w stanie przedrzeć się do najbliższej przejezdnej drogi. Najpewniej nie, musiałbym przecież iść w śniegu po pachy. O szukaniu walizek można było zapomnieć, o opuszczaniu pensjonatu na dobrą sprawę też.

Byliśmy tu więźniami, przypadkowymi zakładnikami dziwnej kobiety z recepcji, czy nam się to podobało czy nie. Denatka nie miała jeszcze o niczym pojęcia, trochę jej zazdrościłem tego głębokiego snu i nieświadomości własnego położenia. Gdy już się obudzi, będzie jednak miała niezłą niespodziankę.

Zerknąłem na telefon, w końcu Magda mogła mi coś odpisać. Faktycznie, odpisała:

Jebnij się w ten durny łeb!

Powiniennem odczuwać jakieś wyrzuty sumienia i smutek z powodu tego, że nasz związek się rozpadł, ale wczoraj miałem zbyt wiele na głowie (i zbyt wiele w nogach). Gdy z kolei witały mnie takie kwiatki jak ta wiadomość, mój i tak już naruszony sentyment do Magdy malał z minuty na minutę. I dobrze.

Z ciekawości spróbowałem wygooglować nasz pensjonat, ale Internet w telefonie wciąż odmawiał posłuszeństwa. To przykre, ale dużo bardziej przykre będzie, jeśli w ciągu kilku dni ten śnieg nie stopnieje. Przymusowy detoks od Internetu brzmiał dla mnie jak wyrok. Może i nie byłem tak uzależniony od *scrollowania* jak moja eks, ale jeśli nie mogłem rozpocząć dnia od szybkiego sprawdzenia informacji i postów na kilku grupach, szlag jasny mnie trafiał.

Z braku lepszych możliwości rozejrzałem się po pokoju. Wczoraj nie miałem okazji ani chęci lepiej go zbadać, zaś dziś, w jasnych, choć zimnych słonecznych promieniach, wszystkie szczegóły uwydatniały się aż nadto.

Przy ścianie na lewo od wejścia stały dwa łóżka, naprzeciwko

szerokie okno, na prawo komoda i stary, lecz płaski, telewizor. Może chociaż on działa, pomyślałem, ale póki co nie zamierzałem sprawdzać, żeby nie budzić Natalii i nie ryzykować tym samym, że dziewczyna wstanie lewą nogą i w złym humorze – nawet jeśli jej lewa noga wyglądała wyjątkowo apetycznie.

Wtem moją uwagę przykuło coś, co znajdowało się pod drzwiami. Podszedłem bliżej. To była kartka papieru w rozmiarze A4, najzwyklejsza na świecie, niezapisana, wyrwana z bloku rysunkowego. Ktoś musiał wsunąć ją pod drzwiami, gdy spaliśmy. Powoli schyliłem się po kartkę, odwróciłem ją. Moim oczom ukazało się dziecięce pismo, szlaczki rodem z przedszkolnego elementarza.

Zamarłem.

Ze wszystkich rzeczy, jakie dzieci mogą napisać na kartce bloku rysunkowego, ta była chyba zdecydowanie najgorsza:

lepiej się stonć wyność

– Co? – powiedziałem na głos.

Są takie rzeczy, których nie da się nie powiedzieć na głos.

– Co chcesz? – Usłyszałem półszept Denatki dobiegający z łóżka. Dziewczyna miała ładny, miły dla ucha tembr, ale w tamtym momencie, słysząc go, prawie popuściłem w spodnie.

– Gówno! Musisz mnie tak straszyć?

– Sam zaczynasz, koleś. O co ci chodzi?

– O nic.

– To po co mnie budzisz?

– Nieważne, nieistotne. Przypadek. – Spróbowałem schować kartkę za plecami. Nieudolnie. Każdy by się zorientował.

– Co tam masz?

– Nic, kartkę papieru.

– Skąd masz kartkę papieru? – Denatka już była obok mnie, już sięgała ręką po liścik.

Trzymałem go za sobą, ale dziewczyna była jedną z tych upartych. Złapała mnie obiema rękoma, objęła w pasie, skorzystała z mojego oszołomienia i zdołała wyrwać ten dziwny, napisany dziecięcą ręką list.

Poczułem jej zapach. Słodki, cynamonowy. Miły.

– Co to w ogóle jest? – W jej głosie dało się wyczuć nutę rozdrażnienia. Może nawet całą gamę rozdrażnień.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Znalazłem pod drzwiami.

– Tak sobie leżało, co? Po prostu?

– No tak.

– Ktoś sobie robi z nas jaja. Może faktycznie jakiś dzieciak. Znajdziemy go i utopimy w kiblu.

Nie powiem, spodobała mi się ta opcja. Nawiasem mówiąc, gdy napięcie zaczęło ze mnie schodzić, mnie też zachciało się do kibla.

Załatwiłem sprawę szybko, a gdy wróciłem, Denatka miała już w głowie cały plan.

– Patrz, to jest napisane długopisem...

– No niesamowite, długopisy do pisania.

– Zamknij się. Długopisem, ale jak się przyjrzyysz, to z drugiej strony widać takie jakby wypukłości na kartce. Ktokolwiek to napisał, pisał na czymś miękkim. Może na dywanie? – Dziewczyna rzuciła się na podłogę i obok dziwnej wiadomości „dopisała” paznokciem kilka swoich bazgrołów, a potem porównała efekt. – Powiedziałabym, że pasuje.

– Czyli...

– Ktokolwiek to pisał, pisał na czworaka.

– Bo nie sięgał stołu? – zapytałem.

– Albo nie jest przyzwyczajony do korzystania z mebli.

– Tak czy siak, to faktycznie musiał być jakiś bachor.

– Dokładnie, Sherlocku. Czyli przynajmniej wiemy, kto nas robi w wała. No, może nie wiemy, ale mamy jakieś założenie. Teraz trzeba tylko znaleźć wszystkie dzieciaki w hotelu, zagadać do rodziców i dopilnować, żeby przez miesiąc bachor nie mógł usiąść na dupie.

– Ciekawe masz metody wychowawcze – zadrwiłem. – Z domu wyniosłaś?

– Może tak, a co cię to obchodzi? Podoba ci się znajdowanie takich rzeczy pod drzwiami? Bo mnie niekoniecznie.

– Spoko, żartuję. Jak będziesz chciała, to możesz i nawet utopić go w sraczu. Go lub ją – poprawiłem się. – Prawie dostałem przez to zawału.

– W ogóle to jest ciekawe. Czemu jakiś dzieciak chce się nas pozbyć?

– Może sam nie wiedział, co chce napisać? Dodałby coś jeszcze, ale zabrakło mu wyobraźni, weny albo długopis się wypisał?

– Dowiemy się w swoim czasie.

– Ty się ogarnij, a ja pójdę na dół zagadać do tej grubej baby z recepcji. Może ona nam powie, czy są wśród gości jakieś dzieci.

Nagle poczułem silną potrzebę umycia zębów przed wyjściem do ludzi. Nic z tego, kolego. Chyba że co najwyżej mydłem, a to raczej nie wchodziło w grę.

Ubrałem się i wyszedłem na korytarz. Nie brałem ze sobą kartki, nie chciałem robić zbędnego rabanu, póki co. Na początek po prostu czegoś się dowiem. Spojrzałem na drzwi do pozostałych pokoi. Dwoje po jednej stronie korytarza, jedno po drugiej. Oprócz naszego jeszcze trzy potencjalnie zamieszkałe pokoje. W jednym z nich dzieciak, który zasłużył na solidny opieprz.

Zszedłem na dół po pociągniętych paskudnym zielonym linoleum schodach. Wczoraj, w półmroku, nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, ale takim samym materiałem pokryte były niegdyś schody w moim rodzinnym domu. Nie zliczę, ile razy spadałem z nich, łamiąc sobie kości

w najróżniejszych miejscach. Szczególnie raz, gdy zahaczyłem stopą o kawałek przegniłego, odpadającego obicia i wyrznięłem twarzą w poręcz. Diagnoza: złamana zuchwa. Przez kolejne dwa miesiące musiałem jeść przez słomkę.

Dlatego już sam widok hotelowych stopni wywołał u mnie wspomnienie tamtego bólu; zupełnie jakby w ostatnich tygodniach i tak nie było go w moim życiu aż nadto.

– Ach, to pan, to pan...

Otyła hotelarka przełożyła kilka dokumentów za ladą i skupiła na mnie swoją uwagę. Powoli zaczynała mnie denerwować jej maniera mówienia, robienie tych dziwnych przerw, zawieszanie się, jakby umierała nie na miażdżycę, lecz na ataki śmiertelnej melancholii.

Zignorowałem własną irytację, przywitałem się miło, z uśmiechem, żeby zatrzeć złe wrażenie z dnia wczorajszego. Miałem potrzebę wyjaśnić tę kwestię, a do tego przypomniała mi się znana gastronomiczna prawda: nie chcesz być niemiły dla osób, które podają ci jedzenie. Kolejnym razem możesz w nim znaleźć coś więcej niż włos albo, co gorsza, nie znaleźć.

– Przepraszam za wczoraj, ale byliśmy wykończeni. Nie chcieliśmy być niemili – usprawiedliwiłem nas.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. Wiadomo... Jak to młódzież, prawda, na nic nie ma czasu. A już gdzie tam ze starymi gadać...

– Mam pytanie – przeszedłem do sedna. – Czy w hotelu są jakieś dzieci?

– Dzieci? A czemu? Czemu pan pyta?

– Bo wczoraj wydawało mi się, że słyszałem jakiś płacz i krzyk. A potem ktoś walił nam w drzwi w nocy i nad ranem. Wolę się upewnić, że wszystko w porządku.

Nie skłamałem, a przynajmniej nie do końca. Istotnie słyszałem wcześniej krzyk dziecka, co dało mi znakomity pretekst.

– Krzyk? Dzieci? – Kobieta zrobiła zdziwioną minę, uniosła brwi. – Nie ma u nas żadnych dzieci.

– Ale to niemożliwe! Przecież słyszałem płaczące dziecko.

– To pewnie telewizor chodził pod trójką. Oprócz was to... to mamy tylko jednego gościa, moją matkę. Siedzi u nas od paru miesięcy, na wakacje sobie w Bieszczady przyjechała. Takie wakacje, ten tego... Na emeryturze. No i dziewczynę, co pracuje na barze, ale ona też nie ma żadnych dzieci.

– Telewizor – powiedziałem powoli, nie bardzo wierząc w wersję sprzedawaną mi przez recepcjonistkę.

– Dokładnie, nic innego. Dzieci żadnych nie ma – powtórzyła.

Miałem dwa mocne dowody na to, że w hotelu znajduje się chociaż jedno dziecko. No dobra, jeden mocny dowód, bo przecież kartkę mógł

zostawić każdy w ramach żartu, choć raczej nie spodziewałbym się takich żartów po staruszcze na emeryturze. Ale krzyk, który słyszałem, na pewno nie dochodził z telewizora. Potrafię wskazać tak podstawową różnicę. No chyba że jednak nie potrafię... Cholera, sam już nie wiedziałem, co o tym sądzić.

– Sam pan powiedział, że byliście wykończeni – kobieta jakby czytała mi w myślach – a wykończeni ludzie, to wie pan... Różne rzeczy słyszą. No ale mniejsza z tym. Ja chciałam zapytać jeszcze o jedną rzecz. Do kiedy państwo zostają?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem nadzwyczaj szczerze. – Póki co to przecież nigdzie się nie da ruszyć. Za oknem śnieg do pasa. Zostaniemy, aż nie stopnieje.

Nie podobało mi się to, że jesteśmy tu uwięzieni, ale co mogliśmy zrobić prócz czekania na odwilż? Absolutnie nic.

– No tak, tak... Tak tylko zapytałam. Dobrze, że mamy tu dużo zapasów, bo byśmy cienko przędli, oj, cienko. Na śniadanie przyjdziecie?

– Przyjdziemy chyba dopiero na obiad, ale to się jeszcze zobaczy – oznajmiłem, wyciągając na ladę kolejną porcję gotówki, która topniała w zastraszającym tempie. – To za kolejną noc – pozbyłem się drugiej stowy – ile będzie za wczorajszą kolację?

– Czterdzieści pan da i będzie dobrze.

Dorzuciłem do puli dwóch Bolesławów Chrobrych. Razem dwieście czterdzieści złotych, więcej niż jedna czwarta wszystkich moich oszczędności, a minął dopiero jeden dzień. Następnym razem płaci Denatka.

* * *

– Ale co ona pierdoli, że nie ma żadnych dzieci? To kto to napisał? Święty Mikołaj?

Natalia zareagowała dokładnie tak, jak się spodziewałem. Sam zresztą miałem podobny pogląd na sprawę. Ktoś przecież musiał to napisać. I ktoś musiał to wrzucić pod drzwiami prosto do naszego pokoju.

– Myślisz, że to mogła być ta stara baba z pokoju obok? – zapytałem. – Ta jej matka?

– Nie wiem. Czy starzy ludzie piszą w ten sposób?

– Może ma demencję i cofnęła się w rozwoju do przedszkola, czy coś takiego.

– A może... – Denatka przeczesła palcami grzywkę, spojrzała na mnie zadziwiająco poważnie. – A może byśmy tak po prostu poszli z nią pogadać?

– Teraz?

– A co za różnica? Najwyżej się nie przyzna i zrobimy z siebie debili. I

tak już wychodzimy na debili, prawdę mówiąc.

Argument nie do odparcia. Ostatecznie... Co może pójść nie tak? To znaczy: bardziej nie tak. Siedzieliśmy przecież na jakimś zadupiu, bez Internetu, bez kontaktu ze światem, bez pieniędzy, na dodatek otoczeni dwumetrowymi zaspami śniegu.

– Ej, Natka.

– Co?

– Wyskakuj z forsy – powiedziałem. – Wisisz mi sto dwadzieścia zeta.

Przypomniało mi się, że mój uszczuplony budżet długo już nie pociągnie, jeśli będę wszystko fundował sam.

Denatka westchnęła, jakbym kazał jej klęczeć na grochu, a potem wyciągnęła z etui telefonu stówkę.

– Reszta może być później?

– Może być. Masz Internet w komórce?

Dziewczyna włączyła przeglądarkę, przez chwilę czekaliśmy beczynnie, aż załaduje się strona startowa. Nic z tego.

– Właściwie to chciałam go wyłączyć na dobre. Wiesz, policja i te sprawy. Pewnie już się interesują. Wyjmę kartę i będzie spokój.

– Policja i tak tu nie dojedzie, choćby się zesrała. Przynajmniej dopóki śnieg nie stopnieje. A jak już dojedzie, to będziemy udawać, że nigdy się nie widzieliśmy. Tak chyba będzie najbezpieczniej dla mojego odbytu, bo w mamrze się interesują takimi przypadkami jak nasz.

Na to Denatka wzruszyła ramionami i rzuciła aparatem w fałdy pościeli.

– Wiesz co? W sumie to cię chyba lubię. Podoba mi się twoje poczucie humoru. Może gdybym miała takich znajomych w Wawce, to bym nie uciekała z domu.

– Polecam się na przyszłość. Co robimy z tą jej matką? Idziemy?

– Idziemy – oznajmiła, porywając kartkę z dziwną wiadomością.

Wyszliśmy z pokoju konspiracyjnym krokiem, zupełnie jakbyśmy skradali się na tyły wroga. Było zresztą w tej metaforze coś boleśnie prawdziwego. Ktokolwiek podrzuca ludziom takie kartki, sam się prosi o kłopoty.

Ramię w ramię przed drzwiami. Czuję się jak gówniarz i miałem ochotę powiedzieć „ale ty mówisz”, dopóki nie przypomniałem sobie, że jestem o siedem lat starszy. Boże, jak te dzieci dziś szybko dojrzewają.

Zastukałem. Raz, potem drugi. Bez odzewu. Zastukałem trzeci raz i w końcu coś wewnątrz zaskrzypiało, załomotało, przesunęło się z trudem. Drzwi otwierały się powoli z paskudnym skrzypnięciem, jakby od wieków nikt nie oliwił zawiasów. Ze środka uderzył mnie okropny zaduch, smród moczu i starości. Przez szparę dostrzegłem, że wewnątrz jest całkiem ciemno. Lokatorka musiała zasunąć wszystkie rolety. Pierwsza na zewnątrz pojawiła się pomarszczona dłoń, gęsto usiana

plamami wątrobowymi. Widok jak z horroru. Kobieta objęła skrzydło pajęczym gestem, uchyliła je na zaledwie kilkanaście centymetrów. Dostrzegłem jej czające się w mroku, zaropiałe oczy. Świeciły w ciemności niczym dwa paciorki i patrzyły to na mnie, to na stojącą obok Denatkę.

– Dzień dobry – wydusiłem z siebie.

– Dzień dobry. – Głos staruszki był szorstki i suchy niczym papier ścierny.

Gdyby po prostu wyszła na zewnątrz i porozmawiała ze mną twarzą w twarz, zupełnie bym się nie obawiał. Nic a nic. A jednak postanowiła czaić się w środku, w mroku, jak drapieżny gad. Czułem się przez to tak, jakbym wkraczał na zakazany teren, jakbym odwiedzał jaskinię Szeloby.

Od razu zrozumiałem, że czegokolwiek jej nie powiem, nie będzie to miało żadnego sensu. Ona nie odpowie na moje pytania. Nie zainteresuje się niczym. Będzie po prostu stać i patrzeć, aż nie zrezygnuję i nie odejdę, zostawiając ją w samotności. O ile zaraz nie wysunie się na zewnątrz i nie porwie mnie do środka, nie omota pajęczyną, nie zamieni w kokon do wykarmienia młodych. Nie mogłem się jednak tak po prostu poddać, uciec sprzed jej drzwi, stchórzyć, bo oto przeraziła mnie emerytka na wakacjach.

– Przepraszam, że tak rano, ale mam pytanie – zacząłem.

– Niech pyta. – Oczy starej kobiety błysnęły w ciemności.

– Znalazłem pod drzwiami to – pokazałem jej kartkę z gryzmołami – i chciałem się dowiedzieć, czy pani czegóż nie wie na ten temat.

Staruszka spojrzała na blok rysunkowy, skrzywiła się.

– Ja tu nic nie widzę. Co tu jest napisane?

– Chciałem po prostu się dowiedzieć, czy pani...

Czy pani tego nie napisała? Co za idiotyczne pytanie.

– Czy pani może nie wie, kto mógł nam to wrzucić pod drzwi?

– Nie wiem, nic tu nie widzę. Coś jeszcze?

– Nie, ale...

Drzwi zamknęły mi się przed nosem, ze środka zawiało zapachem moczu i stęchlizny. Zagotowało się we mnie, bo zostałem potraktowany jak akwizytor lub inny natarczywy debil, ale jednocześnie odetchnąłem z ulgą, że nie będę musiał dłużej rozmawiać z tą osobliwą i przerażającą kobietą.

Gdy wróciliśmy, Denatka rzuciła się na łóżko i spojrzała na mnie z rezygnacją.

– Chujnia, co? – zapytała.

– A czego było się spodziewać? Ona ledwo co kontaktuje. To na pewno nie ona, a przynajmniej... Cholera, nie wiem. Za dużo tu wszędzie zagadek. Jestem za głupi na coś takiego. Może powinienem po prostu wejść do jej pokoju z buta i przeszukać wszystkie rzeczy.

– Jest to jakiś pomysł. Daj znać, jak już się zdecydujesz – odparła, po czym wstała i wyciągnęła z kieszeni płaszczka woreczek strunowy z białym proszkiem w środku.

Podeszła do komody, wysypała całą zawartość torebki i wciągnęła ją nosem prosto z blatu. Przypomniał mi się Majkel z roboty, biorący krechy z kibla. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że laska ma szesnaście lat, o ile nie okłamała mnie wówczas na dworcu. Raz za razem liczba ta stawała mi przed oczami, bo raz za razem Denatka zaskakiwała mnie rzeczami, których szesnastolatki niejako z definicji robić nie powinny.

Musiała dostrzec wypisaną na mojej twarzy dezaprobatę, podniosła się bowiem, wciąż z nosem białym od prochów, i posłała mi spojrzenie zawierające w sobie wszystkie znane definicje słowa „pytanie”, a także kilka pobocznych dotyczących „pogardy”.

– Tylko nie zamieniaj się teraz w mojego ojca, dobra? Bo wyglądasz, jakbyś chciał mi zrobić wykład o moralności – powiedziała z pretensją.

Zaraz jednak mocno się zdziwiła, a zdziwienie to odbiło się na jej fizjonomii; moje następne pytanie musiało wybić ją z rytmu:

– Co to? Koks? Masz tego jeszcze trochę? – zapytałem.

Wprawdzie nie brałem niczego od kilku naprawdę długich miesięcy, może nawet lat, ale w tamtym momencie poczułem, że potrzebuję się odurzyć, że muszę zrobić krok w bok względem rzeczywistości. Bo gdy rzeczywistość okazuje się tak cholernie dziwna i niezrozumiała, ratunek zdaje się leżeć tylko w taktycznym wyjściu poza nią.

Denatka pokręciła jednak głową.

– Pusto. Moja ostatnia samara. Mogłeś mówić wcześniej, to może bym się podzieliła.

Przemilczałem fakt, że nie miałem zielonego pojęcia o skarbach, jakie skrywają kieszenie jej płaszczka.

– Hej, nie bądź taki przybity! – rzuciła. Narkotyki zdążyły już wejść. Oczy Denatki przypominały teraz czarne pięciozłotówki, studnie bez dna, czarne dziury, którymi łapczywie pochłaniała moje jestestwo. – W końcu jesteśmy na wakacjach, to może zaczęlibyśmy się jakoś bawić? Masz jakąś muzykę na telefonie?

– Nie mam zasięgu – przypomniałem jej.

– Dlatego pytam, czy masz na telefonie. Zresztą, pieprzyć muzykę. Skoczysz nam po jakieś piwa do baru?

* * *

Zakochałem się w niej pięć piw i dziesięć papierosów później.

W pokoju unosiła się gęsta nikotynowa mgła, butelki walały się pod stopami jak miny przeciwpancerne. Tu nie wolno palić, ale równie dobrze można by zakazać pawianom drapania się po tyłku. Bądźmy

poważni, nikt przecież nie respektuje takich zakazów. My zresztą nie respektowaliśmy żadnych.

Podawaliśmy sobie papierosa z ręki do ręki, stojąc przy uchylonym oknie, które jednak i tak zaraz trzeba będzie zamknąć, żeby nie zamarznąć, bo termometr na zewnątrz pokazywał dwie dziesiątki na minusie. Ale na tamten moment w ogóle mnie to nie obchodziło.

Obchodziła mnie tylko ona, szesnastolatka z Warszawy z dużymi oczami, z porcelanową powłoką zamiast skóry, z rysami twarzy androida, bo przecież żaden człowiek nie mógł być tak nieskończenie gładki. Wszak ja w jej wieku wyglądałem jak Sycylia po wybuchu Etny, tak byłem przeorany bruzdami i syfami. Może to kwestia dzisiejszego jedzenia, tych kurczaków, co to je faszują antybiotykami i lidokainą, żeby nie umierały z bólu, gdy przez całe życie stoją nieruchomo w małych klatkach.

Ja też teraz znajdowałem się w klatce. Pensjonat był klatką, ten pokój był klatką, ale nade wszystko klatką było spojrzenie Denatki, która zadziałała na mnie jak magnes na stalowe opiłki. Zawsze byłem kochliwym facetem, na jednej z wielu terapii powiedzieli mi, że to pewnie efekt braku miłości w dzieciństwie. Dlatego potem niemalże oddawałem się na talerzu każdej kobiecie, która chociażby się do mnie uśmiechnęła. Z tą było jednak inaczej.

Przede wszystkim dlatego, że się nie uśmiechała.

Nie uśmiechała się, bo dopadł ją kokainowy szczękościsk i potrafiła tylko żuć gumę albo miętosić w ustach papierosa, który natychmiast robił się mokry jak pielucha. Twarz miała przy tym niczym wykutą w paryjskim marmurze, bladą, ostrą. Z profilu przypominała drapieżnego ptaka, a wiem, co mówię, bo ostatnie dwie godziny spędziłem na patrzeniu na jej profil. I te oczy, bezdenne studnie, połykacze dusz i charakterów biednych, smutnych chłopców, takich jak ja.

Nic by mi nie dała ta przewaga wieku. Z innymi małolatami mogłem udawać macho, brać je pod swoje skrzydła jak dobry, choć cyniczny ojciec, *daddy*, przewodnik po szlaku życia, starszy i doświadczony kolega. Na ciałach tych wszystkich innych nastolatek mógłbym podpisywać się kutasem jak artysta na płótnie, ale ona nie była płótnem, już wspominałem, była zimną marmurową rzeźbą.

Co ci się stało, dziecko, zastanawiałem się, patrząc na nią. Kto cię tak skrzywdził? Kto cię zamienił w tego pięknego, świecącego na złoto androida? Kim są twoi rodzice? Mówiła, że jej ojciec ma firmę transportową. Czyli jest jakimś tam rodzajem kierowcy tira, co to szcza do baniaków po benzynie. I co, niby taki kierowca tira, łysy Janusz czy inny Andrzej, miałby spłodzić ją swoim śmierdzącym fiutem? Z kim niby? Z Afrodytą, która wynurzyła się z fal na warszawskiej Poniatówce?

To bzdura. Takie dziewczynki w ogóle się nie rodzą. Powstają gdzieś w laboratoriach, z próbowki, ze zmieszanych genów Brada Pitta, DiCaprio, Evy Green i Scarlett Johansson.

Ona dalej patrzy na mnie, jakby chciała mnie pożreć; proszę bardzo, weź mnie na ruszt, na grill, odgrzyź mi nos, ucho lub fiuta, jeśli tylko tego potrzebujesz do szczęścia.

Sześć piw i jedenaście papierosów później wciąż byłem zakochany.

Gdy piwo w jej butelce się skończyło, Denatka otworzyła okno, złapała butelkę za szyjkę i zrzuciła nią w dół.

– I tak jest śnieg, znajdą ją dopiero na wiosnę – oznajmiła słodkim głosem psychopatki, która w wolnych chwilach obcina głowy chomikom i robi z nich naszyjniki.

– Ale ja nic nie mówię, mi to w ogóle nie przeszkadza.

– A co ci przeszkadza?

– Zimno z lasu. Zamknij okno.

– No dobra. Wiesz, co mnie zastanawia? – Zamknęła okno. – Czy ty się we mnie przypadkiem nie zakochałeś? Bo wyglądasz, jakbyś się zakochał.

Ten uśmiech, na poły sadystyczny, na poły cukierkowy. Nigdy się nie dowiesz, dopóki nie będzie za późno. Co ja mam jej powiedzieć? No bo chyba nie prawdę? A może walić prawdę? Przecież i tak stąd nie ucieknie. Jesteśmy tu zamknięci i czeka nas niewątpliwie wspólna przyszłość, nawet jeśli okaże się ona relatywnie krótka.

Czy ty się we mnie przypadkiem nie zakochałeś?

A jaka jest prawda? Nie wiem. Mój napojony alkoholem umysł najchętniej odpowiedziałby „tak!”, ale czające się gdzieś wewnątrz tego zalanego mózgu rozsądek i poczucie odpowiedzialności wołałyby odpowiedzieć „nie wiem”.

– Nie wiem – stwierdziłem. – Jest możliwe.

– Nie przejmuj się, ja też się trochę w tobie zakochałam, ale zaraz mi przejdzie.

– Jak z tą dziewczyną? Po tygodniu?

– Nie no, co ty – zaśmiała się – dużo szybciej. Pewnie już za parę godzin, jak mi do reszty koks zejdzie. Bo widzisz, teraz to mi się już robi powoli smutno, ale nie mogę o tym myśleć, bo nie mam już nic w samarcie. Zaraz zacznę się bać i wpadać w panikę i będziesz mnie musiał przytulać na łóżku, a ja będę płakać, bo jestem zjebaną córką i potrafię tylko uciekać z domu i ćpać, i chlać, a powinnam się uczyć i tak dalej, żeby nie skończyć na kasie w spożywczym. Matka mi tak zawsze mówi.

– Mi też tak mówili. To wszystko bzdura.

Otworzyła się przede mną jak stara książka. Nie, wróć, nie przede mną. Otworzyła się przed sobą samą.

– I tak skończysz na kasie – zapewniłem ją. – Po maturze to właściwie

nawet gorzej, bo każdy wie, że jesteś debilem. A jak się nie ma żadnego wykształcenia, to przynajmniej można ściemniać, że pochodzisz z Mongolii albo że wychowały cię wilki. Jakbym to wiedział w twoim wieku, to bym się tak nie przejmował.

– Kochany jesteś, wiesz? Ale nie, nie mówmy teraz o takich rzeczach, bo zostało mi jeszcze trochę euforii. Powiedz mi coś miłego. Powiedz mi, że się we mnie zakochałeś.

– Zakochałem się w tobie – powiedziałem, bo wówczas, przez moment, byłem jej ochroniarzem, jej rycerzem, obrońcą, wiernym psem. Poza tym to chyba jednak prawda.

– To dobrze. Słuchaj, ja też cię teraz kocham. Spójrz mi w oczy, o, właśnie tak. Kocham cię, ale nie bądź zły, jak mi potem przejdzie, dobra? Będziesz mnie musiał przytulać – przypomniała mi. – A potem, rano, to w ogóle nie będę cię kochać. Będę miała cię dość, dobra?

– Jasne – zgodziłem się. – Cokolwiek chcesz.

– Dzięki, koleś. Naprawdę. Podasz mi piwo?

No pewnie, już się robi.

Mimo wszystko jest naiwna. Może jej się wydaje, że teraz to będzie jakaś telenowela albo melodramat z *happy endem*, że parę razy mnie weźmie na dystans, a ja cały czas będę u jej boku, będę się starał, aż ona w końcu ulegnie, wypluje swój cynizm jak czarną truciznę i potem odejdziemy razem w kierunku zachodzącego słońca i w dźwięku fanfar. Może jej się wydaje, że ja będę chciał ją oswajać jak tego lisa albo, jeszcze lepiej, będę ją leczył, wszystkie jej złamania mentalne, jedno po drugim, bo nie mam nic lepszego do roboty. A mi się wcale tego nie chce.

I to jest właśnie problem z tymi nastolatkami. Rzadko dopuszczają możliwość, że ktoś może być bardziej zszargany emocjonalnie od nich. A przecież jak ja się w niej zakocham, to też tylko na chwilę, na ułamek sekundy, na jedną noc. Bo jestem świeżo po rozstaniu i obecnie nie wierzę w związki, bo nie chce mi się budować całego tego zamku z kart, bo ona ma szesnaście lat, a ja dwadzieścia trzy i funkcjonujemy na innych poziomach mentalnych. W sam raz, żeby razem wypić piwo i zajarać szluga albo żeby uciec na drugi koniec kraju dla zabawy, ale nic poza tym.

Bo *poza tym* przychodzi zrozumienie, że to jest tylko taki epizod, historia, która zaraz się skończy i nigdy, przenigdy nie będzie w niej wysokich wież, księżniczek, dzielnych rycerzy i rączych rumaków, tylko rachunki, chujowe mieszkania, trzeszczące łóżka i bieda. Szkoła, studia, woda, fabryka, rozstępy, korpo, rozród i trumna. Tak jak to było ze mną i z Magdą.

I jeśli w całym tym tańcu spierdolenia jesteś w stanie uzyskać kawałek przestrzeni osobistej, to możesz się uważać za szczęściarza, a twój związek będzie na tyle udany, na ile może.

I ja chciałbym jej to jakoś powiedzieć, wtłoczyć do tej ślicznej główki transferem myśli albo przez Bluetooth, uratować przed jej własną bronią, ale zamiast tego mówię tylko:

– Trzymaj.

I w dowód autentycznej, choć krótkotrwałej miłości, podałem jej butelkę jakichś koncertowych szczyn.

– Skończyło się, chyba przyniosę jeszcze parę butelek – wybełkotałem, przywoicie już wstawiony, a potem wytoczyłem się na korytarz.

Wydawanie ostatnich pieniędzy na alkohol to nigdy nie jest dobry pomysł, ale przecież zawsze można je po prostu zgubić, co byłoby jeszcze gorsze.

Może powinienem ją po prostu puknąć? Przespać się z nastolatką, bo z szesnastolatkami to chyba już można. Faktycznie zaserwować sobie te dziwne wakacje, detoks, jakąś bieszczadzką przygodę w stylu *friends with benefits*, a potem wrócić do domu i zapomnieć o całej sprawie? Przespać się z Natalią, a następnie pomóc jej uwierzyć, że tego właśnie chciała, że tylko tyle i nic więcej? Jest to jakiś plan.

Zrobiłem dwa kroki w kierunku schodów, lekko zakręciło mi się w głowie. Coś zaszeleściło na dole, jakby szybkie kroki na miękkim dywanie. Wyrzależem zza poręczy, wychyliłem się, przed oczami mignęła mi tenisówka i kawałek łydki.

Dziecięcej łydki.

Gdybym był trzeźwy, pewnie stanąłbym jak wryty, a potem zszedł na dół powoli i dyskretnie się rozejrzał. Ponieważ jednak byłem pijany, natychmiast rzuciłem się po schodach, jakbym był gepardem goniącym antylopę.

– Wracaj tu, gówniarzu, ale już! – krzyczałem, zbiegając po stopniach. – Jak cię matka nie wychowała, to ja cię zaraz wychowam! Odechce ci się żartów!

Może nie powinienem był kłąć na dzieciaka, ale w tamtej chwili miałem to głęboko w poważaniu. Żałowałem tylko, że nie miałem ze sobą kartki z bloku, żeby pokazać rodzicom tego cholernego kaszojada.

Już ja im przemówię do rozsądku. Najpierw im, a potem recepcjonistce, która chciała zrobić mnie w wała.

Dobiegłem na pierwsze piętro, zerknąłem w prawo – nic, w lewo – nic.

Ale zaraz! Drzwi! Drzwi do jednego z pokoiów powoli się zamykały. Popędziłem w ich kierunku, ale zamknęły się dokładnie w momencie, w którym do nich dobiegłem. Złapałem za gałkę, zacząłem szarpać. Bezskutecznie. Bachor zdążył przekręcić klucz.

– Otwierać, halo! Proszę otworzyć te drzwi! – Bardziej apelowałem do rodziców dzieciaka niż do niego samego. Po drugiej stronie nic się nawet

nie poruszyło. Pewnie zeszli gdzieś na dół, może na obiad, a smarkacz znowu się wydurnia i szuka guza. – Idę pogadać z twoimi rodzicami! – krzyknąłem ostrzegawczo, ale nic się nie stało.

Ruszyłem więc na dół, na recepcję, nabuzowany i zmęczony, bo bieganie po schodach na pijackim rauszu jest nad wyraz wyczerpujące. Uderzyłem w dzwonek; raz, potem drugi i trzeci. Recepcjonistka w końcu doczłapała, ale nie dałem jej nawet złapać oddechu, tylko od razu zaatakowałem:

– Gdzie są rodzice tego dzieciaka?

– Słucham? Już mówiłam...

– Tak, słyszałem. Macie tu porządek jak w burdelu na kólkach. Przed chwilą gonilem się po schodach z jakimś dzieciakiem, zamknął się w pokoju, więc gdzieś tu muszą być jego rodzice.

– W którym niby pokoju?

– Numer dwa na pierwszym piętrze.

Kobieta westchnęła.

– Pan jest pijany.

– Jestem pijany bo piłem, ale co to niby ma do rzeczy? Jak pijany, to od razu pierdolnięty? Weźmie pani klucze, pójdziemy i zobaczymy. Bo chyba ma pani klucze, co?

– No oczywiście, że mam, ale... Ale to jest absurdalne! Nie ma tu żadnej rodziny z dziećmi.

Stałem i twardo wgapiałem się w jej nalaną twarz. Byłbym tak stał nawet i dwie godziny, gdyby właścicielka w końcu nie odpuściła.

– Weźmiemy te klucze i sprawdzimy, co tam jest w pokoju. Ale jak nic nie znajdziemy... a na pewno nic nie znajdziemy...

– Znajdziemy, bo wyraźnie widziałem, że dzieciak tam wbiegał.

Prawdę mówiąc, to nie widziałem, ale gdzie indziej miałby wbiec? Pozostałe drzwi były zamknięte.

Poszliśmy na pierwsze piętro. Właścicielka sapała jak stary parowóz i trzymała się kurczowo poręczy, pokonując kolejne schody na swoich przypominających grube pnie krótkich nogach.

Dobrze jej tak, pomyślałem. Przynajmniej oduczy się robić z ludzi debili. Zaraz się pewnie okaże, że ci lokatorzy i ich bachor to jacyś jej znajomi i dlatego kryła te żenujące wygłupy. To musiał być już nie pierwszy raz, gdy bachor odstawiał podobne hocki-klocki.

Stanęliśmy przed drzwiami. Ona zasapana, ja zdeterminowany i bardzo zły.

– Pani otwiera – ponagliłem ją.

– Zaraz... – Wyciągnęła klucz, włożyła go w zamek. Zaraz się wszystko okaże, a potem, mam nadzieję, dzieciak dostanie solidnie po dupsku.

Zamek zgrzytnął, drzwi otworzyły się, weszliśmy do środka.

Nikogo tam nie było.

Łóżko wyglądało na nietknięte, na poszczególnych sprzętach zalegała cienka warstewka kurzu. Przeszedłem do łazienki – pusto. Zajrzałem nawet do szafy i pod łóżko – też nic.

– To musiał być inny pokój. – Dotarło do mnie, że tracę grunt pod stopami. – Na pewno widziałem dzieciaka, który...

– Pan to chyba powinien już przestać pić. A już na pewno dobrze się wyspać.

– Kiedy ja naprawdę go widziałem. Może to jednak była trójka? Możemy sprawdzić wszystkie pokoje.

Czułem się coraz bardziej kretyńsko, ale właścicielka jakby rozszyfrowała mój zawód i z jakimś rodzajem mściwej satysfakcji oświadczyła, że nie ma nic przeciwko i że wzięła wszystkie klucze na piętro, tak na wszelki wypadek.

Sprawdzaliśmy po kolei każdy pokój, a do mnie powoli docierało, że wygłupiłem się jak nigdy wcześniej.

– Chyba miała pani rację, muszę zacząć więcej spać – przyznałem, czując jak wypełnia mnie fala zażenowania, od którego płonęła mi cała twarz.

– I mniej pić – dobiła mnie otyła kobieta. – Sandrze powiem, żeby wam już żadnego alkoholu nie sprzedawała, bo potem same kłopoty – dodała, mając chyba na myśli dziewczynę pracującą za barem, jedyną oprócz nas i emerytki lokatorkę pensjonatu.

Wychodząc z ostatniego pokoju, dostrzegłem stojącą na schodach Denatkę. Wgapiała się z nas z niedowierzaniem wypisanym na twarzy. I z resztkami białego proszku na nosie. Machnąłem jej, pokazałem, że ma wracać do pokoju. Tego jeszcze brakowało, żeby wyszło na jaw, że moja nastoletnia „siostra” wali narkotyki.

Dziewczyna zorientowała się i czmychnęła.

– Co tam robiliście? Gdzie masz jakiś browar? – zapytała mnie, gdy już wczłogałem się na drugie piętro.

– Nie mam i już mieć nie będę. Spieprzyłem sprawę dokumentnie.

Opowiedziałem jej całą historię swojej wyprawy po piwo. Denatka wysłuchała mnie, kiwnęła głową, ale nie skomentowała. Zamiast tego położyła się na łóżku i zaczęła głośno oddychać.

Nie zamierzałem siłą wyciągać z niej komentarza. Widziałem przecież, że zaczyna się ten mniej przyjemny okres w życiu każdego ćpuna.

– Przyszła zjeba? – zapytałem.

– Ehe. – Denatka schowała się pod kołdrę. – Możemy o tym pogadać potem? Zimno mi.

– Jasne.

Poczułem w sobie coś na kształt potrzeby opieki. Ostrożnie

poprawiłem Denatce kołdrę, a po krótkim namyśle przykryłem ją także własną, ściągniętą z drugiego łóżka.

– Dzięki. – Głos dziewczyny był cienki i wymęczony.

Pamiętałem chyba każdy swój zjazd po stymulantach, a na samą myśl o nich robiło mi się słabo. Nie chciałem dziś być w jej skórze.

Podniosłem ostatnią butelkę, wysuplałem z paczki papierosa i zapaliłem go w otwartym na oścież oknie. Denatka cicho zaprotestowała spod kołdry.

– Przez chwilę będzie zimno, ale wypadałoby przewietrzyć, bo inaczej zdechniemy tu w nocy, udusimy się jak w komorze gazowej.

Cichy pomruk zamiast odpowiedzi.

Zaciągnąłem się papierosem, spojrzałem na bezkres śniegu za oknem. Zaczynało zmierzchać. Długie cienie drzew kładły się na białym puchu, jak chude, powykrzywiane artretyzmem czarne palce. Słońce rozlało się na horyzoncie karmazynową plamą.

Musiałem pomyśleć.

Musiałem ułożyć sobie w głowie to wszystko, co tu się stało. Przecież sprawdziliśmy po kolei każdy z pokoi. Nie było takiej możliwości, żeby dzieciak nie schował się w którymś z nich. Po prostu nie było. No, chyba że oszalałem. Wydarzenia ostatnich dni padły mi na rozum, zmógł mnie stres i teraz jestem wariatem z halucynacjami. Trafiłem do świata, w którym, gdy dodasz dwa do dwóch, wynik sumuje się jako siedem.

A najgorsze było to, że powoli zaczynałem trzeźwieć.

Mród stał się nie do wytrzymania, wyrzuciłem więc niedopalonego papierosa, zamknąłem okno i położyłem się na łóżku.

Mógłbym przyjąć taką ewentualność. Taką, że po prostu straciłem rozum. To byłoby nawet przyjemne, ot, oszaleć. Ocipieć do reszty i nie musieć się już niczym przejmować, żadnymi ludźmi, żadną pracą. Po prostu wyjść stąd i trafić prosto do szpitala dla obłąkanych, na ostatni oddział, do siódmego kręgu piekieł. Codziennie dostawać zastrzyki z ogłupiaczami, leżeć i śmiać się do sufitu. Może byłoby to nawet i lepsze, niż wylądowanie na garnuszku rodziców, codzienne słuchanie ich kłótni i próba pozbierania się do kupy. Przestać walczyć ze światem, położyć się, odmówić dalszego uczestniczenia w tej farsie.

Ale...

Kartka dalej nie chciała zniknąć. Leżała na komodzie, jak pozbawiony sensu dowód w rozprawie sądowej z własnym umysłem. Co by powiedział na to Sherlock Holmes, gdyby tu był? Powiedziałby, że jeśli odrzucisz wszystko, co niemożliwe, to cała reszta – choćby najbardziej nieprawdopodobna – musi być prawdą.

Denatka także widziała tę kartkę. W hotelu nie ma żadnych dzieci. Albo oszalałem, albo...

– To ty zostawiłaś tę kartkę na podłodze, prawda? – zapytałem cicho,

lecz wciąż wystarczająco głośno, by dziewczyna mogła mnie usłyszeć.

Nie doczekałem się jednak reakcji. Denatka pochrapywała. Nie powinienem jej budzić, nie w takim stanie, ale desperacko potrzebowałem odpowiedzi. Albo jej sen, albo mój rozum.

Szturchnąłem dziewczynę w ramię, otworzyła oczy.

– Co jest? – wystękała, przecierając ręką twarz.

– To ty zostawiłaś tę kartkę na podłodze, prawda? – powtórzyłem pytanie.

– Oszalałeś.

– Właśnie próbuję nie oszaleć. Po prostu powiedz mi, że to zrobiłaś i się odczepię. Nie będę miał ci za złe, że zrobiłaś ze mnie debila przed wszystkimi ludźmi w tym hotelu. Serio. Po prostu powiedz mi prawdę. Zostawiłaś?

– Nie zostawiłam. Nie mam przy sobie nawet długopisu. Ani kartek, jeśli o to chodzi. Pamiętasz, że zgubiliśmy walizki?

– Natka, to nie ma w ogóle sensu.

– Wiem. Nic nie ma sensu. Pamiętasz, co ci mówiłam? – jęknęła.

– O czym?

– Że będę potrzebować, żebyś mnie przytulił. Zimno mi. Chodź tu.

„Chodź tu”. Nie ma na świecie bardziej pociągających i zachęcających słów.

Byłem zły na cały świat. Na ten śnieg za oknem, na głupiego babsztyla za ścianą, na właścicielkę, która potraktowała mnie jak debila. Na Magdę, na rodziców i na tych sukinsynów z fabryki. Na Denatkę, na siebie; przede wszystkim na siebie, ale...

Kiedy usłyszysz „chodź tu” wypowiedane takim głosem, to po prostu idziesz. I tyle. No więc poszedłem. Wcisnąłem się pod kołdrę, nie zdejmując nawet ciuchów. Tym lepiej. Zresztą ona też miała na sobie dzinsy i sweter. Wtuliła się we mnie, bezprecedensowo wepchnęła we mnie tyłkiem, porwała moją rękę i włożyła sobie pod głowę, jakbym był humanoidalną poduszką.

Poprawiłem się, bo łóżko było wąskie, położyłem dłoń na jej brzuchu. Nie protestowała, nie wydusiła z siebie żadnego „y-y” ani „nie”. Ledwie przed godziną chciałem ją przelecieć, ale teraz to wydawało się jakąś ponurą abstrakcją. Teraz chciałem ją po prostu przytulić i sprawdzać puls, aby upewnić się, że dożyje poranka i będę mógł mówić do niej „Denatka” jedynie przez duże „de”.

– Ej, Natka – wyszeptałem jej do ucha.

– Co?

– Nie umrzesz w nocy?

– Postaram się, ech.

– Co? Coś się stało?

– Boli mnie wszystko, a najbardziej serce.

Spanikowałem. Przecież...

– Ale nie tak fizycznie – uspokoiła mnie. – Po prostu mi smutno. Mówiłam, że tak będzie. Jestem beznadziejna. Jak rodzice mnie znajdą, to mnie zamkną w piwnicy albo faktycznie dowalą kuratora. Teraz to już na pewno. Wypierdolą mnie do jakiegoś klasztoru albo katolickiej szkoły z internatem, gdzie zakonnice będą mnie bić kijem.

Chciałem powiedzieć, że nie znajdą, ale to byłoby absurdalne. Oczywiście, że prędzej czy później znajdą. Przecież nie będziemy uciekać przez wieczność.

– To wszystko jest jak ten bałwan ze śniegu – podjęła – bo też musi stopnieć. Będziemy tu, dopóki nie stopnieje. Wcześniej się martwiliśmy, że nigdy z niego nie wyjdziemy, a teraz...

– Że będziemy musieli wyjść? – dokończyłem za nią.

– No.

Może jednak nie była tak naiwna, jak myślałem.

– Jak się nie wyda, że byłem z tobą, to... Możemy przecież czasem się spotykać, co nie? – Nie zdążyłem na czas ugryźć się w język, chociaż bardzo bym chciał. Ale skoro już powiedziałem „A”, trzeba było powiedzieć „B”: – Przecież nie mieszkamy na drugim końcu świata.

– No niby nie. Słuchaj, ja naprawdę nie podłożyłam tej kartki. Wierzysz mi?

– Wierzę – oznajmiłem.

Naprawdę wierzyłem, nawet jeśli miało mnie to kosztować rozum. Nawet jeśli oznaczało to, że dwa plus dwa równa się siedem.

* * *

Rano Denatka wstała wcześniej, od razu poszła pod prysznic. Ja przez jakiś czas leżałem jeszcze zagrzebany w kołdrze po same uszy, a potem wysunąłem się spod obu przykryć i poszedłem rzucić okiem za okno, na śnieg. Chciałem sprawdzić, czy stopniał. Nie stopniał.

Byłem zmarznięty i głodny, męczył mnie kac i ból głowy. Nie wyobrażałem sobie nawet, jak czuje się Denatka. Nie jedliśmy nic przez cały poprzedni dzień i teraz dawało mi się to we znaki. Czułem się słaby jak mucha. A najgorsze było to, że prędzej czy później będziemy musieli zejść na śniadanie, spojrzeć w oczy dziewczynie za barem albo, o zgrozo, także właścicielce.

Kaloryfer grzał dzisiaj jakoś słabiej. Nawet nie chciałem sobie wyobrazić, co by było, gdyby zdechł. Korzystając z tego, że Denatka jest pod prysznicem, pozbierałem wszystkie butelki po piwie i poupychałem je w szafie i komodzie. To zawsze była pierwsza rzecz, jaką robiłem z rana po libacjach, bo widok porozrzucanych butelek wzbudzał we mnie wyrzuty sumienia. Czułem się wtedy winny całego tego pijaństwa, czułem się jak dzikus, zwierzę, nałogowiec. A skoro mowa o nałogach...

Papieros i kontrolny rzut oka na termometr. Minus piętnaście. Gdy skończyłem palić, w pokoju było zimniej o parę stopni. Może faktycznie trzeba będzie przestać jarać w środku, bo jak nie zabije mnie nikotyna, to zrobi to ziąb. Tak czy siak prosto w płuca.

Denatka wyszła z łazienki i przywitała mnie krótkim „cześć”. Pewnie czuła się zmieszana. Ja zresztą trochę też. Zawsze po takich nocach ludzie czują się dziwnie. Dziwnie, bo albo coś zrobili, albo czegoś nie zrobili. Jesteśmy bardzo komicznym gatunkiem.

Zamiast prysznic wziąłem długą kąpiel. Korzystałem z wanny, póki mogłem. U rodziców nie mam tego luksusu. Tam jest tylko prosta plastikowa kabina, trzymająca się już chyba tylko na słowo honoru, do kompletu z rozregulowanym piecem grzewczym, który na zmianę próbuje zabić cię lodowatą wodą albo wrzątkiem.

Po kąpieli sprawdziłem telefon. Żadnych wiadomości, ale w końcu nie było w tym niczego dziwnego. Nie ma zasięgu, to nie ma wiadomości.

– Chcemy zejść na śniadanie? – zapytałem, gdy już opuściłem łazienkę.

– Nie chcemy, ale musimy – odparła dziewczyna. – Będzie zabawnie.

– No, zabawnie w opór. Pewnie dostaniemy wykład na dzień dobry, jakbyśmy byli jej dziećmi.

– Uciekniesz z domu, a i tak wszystko po nic. – Denatka uśmiechnęła się rezolutnie. Trochę poprawiło mi to humor, bo spodziewałem się, że będzie z nią gorzej.

– Jak się dziś czujesz? – zainteresowałem się.

– Znośnie. Bywało lepiej, bywało gorzej. I ćpać nie ma czego.

– To dobrze. To akurat mnie cieszy. Nie będziesz co noc zdychać.

– No. Wiesz co? Myślałam nad tym, co mi powiedziałeś. Nad tym dzieciakiem znikającym w pokoju.

– I co wymyśliłaś? – zapytałem z nadzieją, że może Natka ma trochę więcej oleju pod kopułą niż ja i wpadnie na jakieś rozwiązanie.

– Nic. To nie ma sensu.

Dzięki. Doprawdy doskonale podejście do tematu.

– Chodźmy na to śniadanie – przerwałem jej, póki jeszcze miałem siłę wyplątać się z tej rozmowy. – Nie damy się tam na dole. Tylko, błagam, nie rzucaj tej babie jakichś głupich uwag, gdyby się pojawiła. Nie chcę umrzeć z żenady.

Zeszliśmy na dół, co rusz przystając na schodach, abym mógł złapać oddech. Jest jakaś prawda w tym, że w pewnym wieku kac zaczyna być groźniejszy od grypy. Gdy ma się osiemnaście lat, możesz przez całą noc pić, zasnąć na przystanku, a nad ranem wziąć szybki prysznic, iść na zajęcia i wciąż czuć się jak nowo narodzony. Po przekroczeniu dwudziestki trójki dzieje się zabawna rzecz i od tej pory kilka piw

wypitych bez specjalnego entuzjazmu powoduje, że człowiek z trudem w ogóle potrafi doczołgać się do własnego łóżka, a kolejnego dnia czuje się jak coś wyjątkowo szarego, brzydkiego i niezdolnego do samodzielnej egzystencji.

Mieliśmy szczęście i jedyną osobą na dole tym razem była barmanka, Sandra, jeśli dobrze zapamiętałem jej imię, mocno opalona, przysadzista dziewczyna z kolczykiem w nosie. Ona też musiała co nieco usłyszeć o naszej – to znaczy mojej i właścicielki – wyprawie na pierwsze piętro, bo cały czas puszczała w nam kierunku kpiarskie uśmieszki. Na szczęście na tym kończyły się jej złośliwości.

Zamówiliśmy po śniadaniu, na które składał się kawałek odmrożonego chleba, dwa jajka na twardo i solidny plaster szynki z chrzanem. Do tego czarna herbata. Nie wyglądało to zbyt wyrafinowanie, ale nie mieliśmy dużych oczekiwań. Zresztą dziewczyna za barem od razu poinformowała nas, że z racji tych opadów śniegu jadą na zapasach i nic świeżego nie dostaniemy. Po prostu świetnie.

Ja spałaszowałem wszystko z apetytem, Denatka męczyła się okropnie. Wczorajszy dzień dał jej się we znaki. Wmusiła w siebie chleb i jajka, popiła gorzką herbatą, ale szynkę ledwo co nadgryzła.

– Nie smakuje mięsko? – zażartowałem sobie.

– Żebyś wiedział. Jest stare.

– Moje było nienajgorsze – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Może po prostu masz jadłowstręt?

– To swoją drogą, ale ta szynka śmierdzi czymś dziwnym.

– Pokaż. – Wziąłem jej talerz i powąchałem pozostałą wędlinę. Niczego dziwnego nie wyczułem. – Szynka jak szynka – stwierdziłem i połknąłem ją na dwa kęsy. Denatka z obrzydzeniem odwróciła wzrok.

Po dopiciu herbaty poczułem, że jestem gotów stawić czoło nowemu dniu. Wpadłem nawet na nieco głupi pomysł.

– Ej, chcesz iść na spacer? A przynajmniej spróbować? – Rzuciłem lękliwe spojrzenie na okno, które do połowy przykryte było śniegiem.

– Będziemy kopać tunele jak krety?

– A czemu nie? Miałaś kiedyś okazję połączyć w takich głębokich zaspach? – zapytałem, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że nie miała. Ja też nie miałem.

– Dostaniemy zapalenia płuc i umrzemy. Już raz było blisko. Albo tym razem na serio spotkamy niedźwiedzia.

– Uważaj, bo cię zeżre – zażartowałem, ale Denatce nie było do śmiechu. – No to co?

– Spróbować można. Ostatecznie, co innego mamy do roboty? Siedzieć w pokoju i gapić się w ściany albo na siebie?

– Jest jeszcze telewizor – przypomniałem sobie.

Właśnie! Przecież będzie można coś pooglądać, sprawdzić prognozę

pogody lub cokolwiek innego. Powiedziałem to Denatce, ale ona zareagowała raczej bez entuzjazmu. Dziwnie czułem się w tej roli. W roli niestrudzonego błazna, takiego komika za pięć złotych, ale jednocześnie dawało mi to sporo satysfakcji, gdy od czasu do czasu dostrzegałem cień rozbawienia na twarzy swojej interlokutorki. Jakbym podświadomie postawił sobie za cel rozweselenie jej lub chociaż rozruszanie.

Nigdy nie byłem tego typu człowiekiem. Z reguły raczej warczałem na wszystkich i rzucałem przekleństwami na lewo i prawo, a teraz... Teraz miałem wrażenie, że jej szczęście ładuje mi baterie. Czyżbym dalej pozostawał zakochany, mimo obietnic, że zaraz mi przejdzie? I pomimo faktu, że całkowicie wytrzeźwiałem?

W końcu Denatka dała się namówić na „spacer”. Podziękowaliśmy barmance i poszliśmy na górę nieco porządniej się ubrać. Skutek i tak był oplakany – zaszrane walizki! – ale wciąż lepsze to niż wyjść na zewnątrz w podkoszulkach.

Gdy opuszczaliśmy budynek, Sandra, czy jak jej tam było, patrzyła na nas jak na straceńców, jak na dwa totalnie beznadziejne egzemplarze *homo wcale nie sapiens*. Dawało mi to nawet pewną satysfakcję. Gdy już przedarliśmy się na taras – tu śniegu spadło trochę mniej – i zimno uderzyło nam w twarz, uśmiechnąłem się zadowolony.

– O, udało się? Możemy wracać? – ironizowała Denatka.

– Nie. Najpierw chcę zrobić obchód okolicy. – Postanowiłem ją rozruszać. Siebie zresztą też. Nie od dziś wiadomo, że na kaca najlepsza jest ciężka praca, czy tam, ogólnie mówiąc, fizyczny wysiłek. Na zjazd po kokainie też powinno pomóc.

Okrążyliśmy pensjonat, brodząc w śniegu nieco ponad kolana, a potem ostrożnie wymacałem krawędź schodów. Krok po kroku zapadaliśmy się coraz niżej, a po zejściu z ostatniego stopnia śnieg sięgnął już powyżej mojego pępka. Denatka, choć była dość wysoka, miała białego puchu niemal po pachy.

– Nie no, zajebista zabawa, koleś.

– Wiesz co?

– Co?

– Jakbym cię tu teraz wrzucił w śnieg, to byś miała wesoło.

– Tylko spróbuj to zrobić, a odgryzę ci w nocy kutasa. Przysięgam.

Roześmiałem się.

– A potem go połkniesz?

– A potem ty go połkniesz.

– No dobra, to wolę nie ryzykować. Chodźmy gdzieś dalej. Myślisz, że damy radę znaleźć walizki?

Teraz, jak się nad tym zastanowić, to w śniegu wcale nie szło się aż tak tragicznie. No jasne, był dość twardy i pokonywało się go ciężko, ale

nie tak źle jak w dniu, w którym się tu zjawiliśmy. Wiatru praktycznie nie było, a do tego świeciło słońce i w miarę możliwości widzieliśmy, dokąd idziemy. No i, przede wszystkim, nie padał śnieg.

Denatka przystanąła, zaczęła rozważać ten pomysł.

– Szybciej, bo mi jaja odmarzną – pogoniłem ją.

– W sumie można spróbować. Najwyżej ich nie znajdziemy, co nie? Czyli nic się nie zmienia.

– Zuch dziewczyna. Pamiętasz, w którym to było kierunku? – zapytałem.

Natka błędziła wzrokiem po gładkiej jak tafla wody powierzchni.

– Tam? – wymamrotała, pokazując palcem w bliżej nieokreślone miejsce pomiędzy drzewami. – Wydaje mi się, że pamiętam to drzewo. Stamtąd musieliśmy iść, żeby zobaczyć światło w oknach.

Przyznałem jej rację i ruszyliśmy przed siebie. Z początku szło całkiem niezłe, pokonaliśmy sto, może dwieście metrów. Odwróciłem się – budynek pensjonatu majaczył gdzieś z tyłu. Właściwie to było widać tylko jego dach i sznur wydeptanych przez nas śnieżnych kolein. Wkrótce jednak spodnie i buty miałem zeszywniałe od mrozu, a płaszcz Denatki okleiła warstwa śniegu. Po kilkunastu minutach marszu oboje sapaliśmy już z wysiłku.

– Mam pomysł – wystękałem. – Mam...

– Kolejny genialny pomysł pana Tomka? Wow, nie mogę się doczekać – zakpiła.

– Właściwie to powinien ci się spodobać. – Zignorowałem jej złośliwość. – Wejdiesz mi na barana.

– Co?

– Na barana. Jak to się nazywa u was w Warszawie? Na syrenkę? No na karku mi usiądziesz. Zobaczysz, co jest przed nami, może coś ci się przypomni. Na odwrót, to byś chyba nie chciała.

– Nooo... No dobra. – Zawahała się.

Kucnąłem w śniegu. Kilka śnieżynek wpadło mi za kołnierz, ale zniosłem to po męsku. Natka usiadła mi na ramionach, podniosłem się powoli i z trudem.

– Juuuuuuu! Jestem teraz wielka! Wio, potworze, przed siebie! Tędy!

– Pokazała, a ja spełniłem polecenie, jak posłuszny wierzchowiec, którym zostałem z własnej woli.

Teraz było jeszcze gorzej, ale Denatka co chwilę wydawała z siebie okrzyki dzikiej radości, uznałem więc, że warto się przemęczyć. Wyjdzie mi to na dobre, gdy dzięki temu przestanie zrzędzić. Poza tym nogami grzała mnie w kark. Całkiem niezły był z niej szalik.

Przeszedłem kolejnych sto metrów i byłem ledwo żywy. Dziewczyna chyba zauważyła, że jeśli jeszcze chwilę tak pójdziemy, to w drodze powrotnej będzie musiała mnie ciągnąć. Zeskoczyła bez ostrzeżenia,

nasypała mi za kołnierz jeszcze więcej śniegu.

– To chyba tutaj – oświadczyła. – Gdzieś tutaj był ten wąż.

Rozejrzałem się. Nic tutaj nie przypominało węża, z którego spadliśmy.

– No ja tego za bardzo nie widzę. Na pewno poszliśmy w dobrym kierunku?

– A skąd ja mam wiedzieć? Wszystko wygląda tak samo.

– Tam coś jest!

Nagle pośrodku bieli dostrzegłem coś kolorowego. Wysforowałem się przed dziewczynę, napałem na śnieg, popędziłem przed siebie. Złapałem za kolorowy przedmiot i wyciągnąłem go na zewnątrz. Okazał się być... okularami przeciwsłonecznymi w różowych oprawkach.

– Co jest, do kurwy nędzy? Ktoś się tu rano opalał czy jak? Przecież to leżało na wierzchu.

– Co to jest? – dopytywała się Natka, więc pokazałem jej znalezisko.

Dziewczyna zmieszała się, zrobiła głupią minę, zwęziła oczy.

– Podłożyłeś to tutaj, prawda?

– Co? Nie! Skąd miałbym wziąć różowe okulary przeciwsłoneczne?

– To moje okulary. Zostawiłam je w pokoju. Wziąłeś je i podrzuciłeś tutaj, żeby mnie wystraszyć, tak?

– Jak miałem niby podrzucić okulary!? Myślisz, że szedłem tu w nocy, żeby upuścić twoje okulary przeciwsłoneczne i wróciłem?! Przecież cały czas spaliśmy razem!

– Mogłeś je podrzucić teraz. Zabrać z pokoju i... i...

– I co? Widziałaś je, prawda? Widziałaś je, zanim do nich podszedłem.

– Ja... Ja nie wiem. Może. Widziałam coś.

– Natka...

– Co?

– Kartka. Kartka papieru. – Poczułem, jak po moich plecach przebiera dreszcz. I wcale nie był to dreszcz spowodowany wszechobecnym chłodem. – Nie położyłaś jej, pamiętasz? Tak mówiłaś! Wierzę ci, pamiętasz o tym? Mówiłem, że ci wierzę, że to nie byłaś ty. Nie rób teraz ze mną tego samego, proszę cię. To nie jest w ogóle zabawne.

– Oczywiście, że nie jest zabawne! Daj mi je, może to nie moje. Może tylko mi się...

Podąłem jej plastikowe okulary. Denatka jęknęła, jej twarz momentalnie zmieniła odcień z zaczerwienionego na zupełnie błądy.

– Tu... tu są pęknięte. Moje też są... Były...

– Może miałaś je w płaszczu jak tu szliśmy i ci wypadły? Może w ogóle nie było ich w pokoju? – pytałem gorączkowo.

– Ja... Widziałam je dziś rano. Leżały na parapecie. Ja... Ja nie kłamię, Tomek, naprawdę leżały na parapecie, ja nie...

– Dobrze, dobrze. – Położyłem jej rękę na ramieniu, uciszyłem gestem. Spojrzałem w gigantyczne, powiększone ze strachu źrenice. Wargi Natalii drgały dziko, dziewczyna cała trzęsła się jak galareta. – Olejmy to, zostaw je tutaj, gdzie leżały.

– Dlaczego? To moje...

– Zostaw je tu, gdzie leżały – powtórzyłem tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nie chciałem nawet wyobrazić sobie, co by było, gdybyśmy wrócili do pensjonatu i zastali na parapecie identyczne okulary. Przełknąłem ślinę. A co, jeśli i tak je znajdziemy? Jeśli Denatka zostawi je tutaj, a potem, po powrocie...

– Albo nie, zmieniłem zdanie. Weź je. Weź je... na wszelki wypadek.

– To co mam teraz zrobić?! – Denatka chyba pomału miała dość. Znajdowała się na granicy załamania nerwowego.

– Nie wiem! Zrób, co chcesz! Wypierdol za siebie, jak taki masz kaprys! – wydarłem się.

Denatka posłuchała mnie, wyrzuciła okulary w śnieg.

Jeszcze trochę, pomyślałem, i wybuchnie histerycznym śmiechem. A wtedy to będzie już koniec, nigdzie nie wrócimy, zamarzniemy tu. Już teraz zaczynałem czuć, jak moje spodnie pokrywają się skorupą lodu.

W oddali dostrzegłem jakiś budynek. Kolejny pensjonat? A może czyjś prywatny dom? Jeśli to inny pensjonat, może będziemy mogli się tam zameldować? Opuścić ten posrany przybytek, w którym... Przypomniała mi się znikająca z pola widzenia łydka dziecka. Zatrzaskujące się drzwi. Kartka z wiadomością. Wyobraziłem sobie leżące na parapecie różowe okulary.

– Tam coś jest, jakiś dom – powiedziałem stanowczym głosem, w którego przywołanie włożyłem wszystkie siły. – To może być kolejny pensjonat. Musimy to sprawdzić. Może... Może wynajmiemy tam jakiś pokój.

Chociaż zamysł na pierwszy rzut oka mógł wydawać się absurdalny, Denatka nawet nie próbowała się sprzeczać. Najwyraźniej pomyślała o tym samym, o czym pomyślałem ja. I nie miało znaczenia to, że musieliśmy w tym celu dalej przedzierać się przez śnieg ani że uciekając, zachowamy się po chamsku. Żadne z nas nie chciało tam wracać.

Dom znajdował się, tak na oko, ze sto, może sto pięćdziesiąt metrów dalej. Ruszyliśmy w jego kierunku, teraz już porządnie wymarznięci. To wszystko moja wina, myślałem, to wszystko przeze mnie. Zachciało mi się spaceru. Gdyby nie ten kretyński pomysł...

Potem będę się łajał. Najpierw marsz.

Przeszliśmy może połowę drogi i coraz lepiej widziałem szczegóły budowli. Kolejny dom z bali, rozmiarem zbliżony do „naszego”

pensjonatu. Czyli też pewnie na wynajem. Ucieszyłem się, poczułem, że przynajmniej częściowo odzyskuję siły. Marzyłem już o gorącej kąpieli w zupełnie innej łazience, a potem spaniu w zupełnie innym łóżku. Przyśpieszyłem.

Denatka za mną też ruszała się coraz żwawiej. Zaczęliśmy wręcz truchtać, byle dalej, byle szybciej, byle jak najprędzej znaleźć się w cieple. Poczulem, że nogawki spodni wychodzą mi z butów, a lód parzy mnie w kostki. Nie oglądaliśmy się, nie podnosiliśmy nawet wzroku, po prostu biegliśmy ile pary w płucach, ile matka natura dała siły w nogach.

Dotarliśmy na odległość mniej więcej trzydziestu metrów. Nie myliłem się, zakładając, że to pensjonat. To był pensjonat.

Pensjonat „Czarna Polana”.

A przed nim żadnych śladów na śniegu.

Poczulem, że mój żołądek zamienia się w bardzo ciężki głaz.

Spojrzałem za siebie, nie żeby spotkać się wzrokiem z Denatką, ale żeby zobaczyć ciągnące się za nami koleiny w śniegu, nasz wydeptany tor. Był tam, naturalnie. Wzroku Denatki też nie udało mi się uniknąć. Ziała z niego absolutna pustka.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć, a był to krzyk pierwotny i dziki, krzyk pełen strachu i czystego szaleństwa. Z początku spróbowałem jakoś ją uspokoić, przemówić do rozumu, ale to nic nie dawało. Natalia krzyczała, a wraz z nią krzyczały wszystkie moje wnętrzości, wszystkie kości, wszystkie zwoje mózgowie. W końcu nie wytrzymałem.

Uderzyłem ją na odlew. Raz, potem drugi, otwartą dłonią. Potem trzeci. Dopiero za trzecim razem zamilkła, rozpląkała się. Ja też się rozpląkałem, z bezsilności, ale zaraz wytarłem łzy. Musiałem widzieć, musiałem widzieć wyraźnie, gdzie jestem. A byłem dokładnie w tym samym miejscu, w którym rozpoczęliśmy marsz.

Pensjonat stał tak jak wcześniej, zupełnie zwyczajnie. Dwa piętra, po cztery okna na każdym poziomie. Trójkątny daszek nad wejściem. Tylko śladów brak, jakby zupełnie nikt nie opuszczał budynku.

Nie jest łatwo mnie przestraszyć. Przez lata widziałem tyle chorego gówna, że wystarczyłoby na obdzielenie kilku osób z nawiązką. Teraz jednak czułem absolutne przerażenie i nie potrzeba było żadnych czających się w mroku dzikich zwierząt, żadnych kłów, szponów i krwi. Najstraszniejszym widokiem w moim życiu okazał się drewniany domek. Przynajmniej do momentu, gdy nie weszliśmy do środka, nie wspięliśmy się na drugie piętro i nie otworzyliśmy drzwi do pokoju.

Bo okulary Denatki, jak gdyby nigdy nic, leżały na parapecie.

ROZDZIAŁ IV

Znacie to uczucie, gdy macie na sobie niewygodne ubranie i wszystko was ciśnie, swędzi, nie układa się odpowiednio? Albo to uczucie, gdy wstajecie rano skacowani i odkrywacie, że na czole pojawił się wam gigantyczny pryszcz, a zaraz musicie jechać autobusem lub po prostu stać w jakimś miejscu publicznym i jesteście pewni, że wszyscy się na niego gapią? A może to, gdy nie potraficie wygodnie ułożyć się w łóżku i przewracacie się z boku na bok, zupełnie przekonani, że ktoś musiał podmienić wam materac, gdy nie patrzyliście?

Gdyby zsumować każde z tych odczuć, a potem jeszcze pomnożyć całość przez dwa, wtedy wiedzielibyście, co męczyło nas tej nocy. Z początku próbowaliśmy leżeć na swoich własnych łóżkach, ale nie byliśmy w stanie zasnąć. Wierciliśmy się jak frygi, skrzypiąc sprężynami materacy i przeszkadzając sobie wzajemnie. W końcu Denatka nie wytrzymała, wsunęła się pod moją kołdrę cicho i zgrabnie jak wąż. Objąłem ją, niemal odruchowo. Leżeliśmy tak długo. Godzinę, może nawet dwie. Cały ten czas wyczuwałem, że Natka też nie śpi. Miała zbyt płytki, zbyt nieregularny oddech. Bałem się jednak do niej odezwać.

Nie chciałem przerywać ciszy, będącej czymś na kształt dziwnego rozejmu. Może instynktownie rozumieliśmy, że tam, gdzie nie padają żadne słowa, nie mogą pojawić się dodatkowe wątpliwości. Nie chciałem też rozpoczynać dyskusji, która niechybnie zakończyć musiała się jakimś rodzajem kłótni. Może niekoniecznie kłótnią między nami, ale kłótnią między logiką i rzeczywistością.

Całą resztę tego dnia spędziliśmy w pokoju. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, co najwyżej o rzeczach oczywistych: o pogodzie, szkole, pracy i podobnych bzdurach. Spuściliśmy zasłonę milczenia na to, co wydarzyło się rano. Tak było bezpieczniej. Trzymaliśmy się z daleka od znaczeń, które mogły w nas wywołać szaleństwo. Kartkę z dziwnym ostrzeżeniem schowałem do szafy, tam gdzie wcześniej upychałem butelki po piwie. Bałem się, że jak ją wyrzucę lub spalę, to kolejnego dnia pod drzwiami znajdę nową. Jeśli w ogóle przyjdzie kolejny dzień.

W końcu nie wytrzymałem.

– Natka...

Dziewczyna leżała tyłem do mnie. Oparłem czoło na jej potylicy i szeptałem prosto do ucha, żeby nie musieć podnosić głosu. Ktoś mógł nas przecież podsłuchiwać.

– Natka – ponowiłem próbę.

– Co? – Nie myliłem się, nie spała.

– Jutro... – zawiesiłem głos. Odczuwałem dyskomfort, wchodząc w konwencję planu, jakbym miał mówić o czymś, co na pewno się

wydarzy. – Jutro spróbujemy złapać sygnał, okej? Z mojej lub twojej komórki. Jak się uda, to zadzwonimy na GOPR. Powiemy im, że skreśliłaś kostkę, czy coś takiego. Będą musieli przylecieć.

Denatka długo nie odpowiadała. Trawiła moje słowa tak, jak trawi się ciężkostrawny obiad.

– Dobra – zgodziła się w końcu. – Zabieramy się stąd.

– Chcesz pooglądać telewizję, czy coś? Nie mogę spać, ty chyba też nie. Może się czegoś dowiemy.

– To znajdź pilota.

Wysunąłem się spod kołdry. Pilot leżał w pierwszej szufladzie komody. Połączyłem telewizor do prądu, nacisnąłem przycisk on/off.

Działał. Choć jedno zasrane urządzenie działało w tym pensjonacie. Włączył się jakiś program informacyjny, a ja wróciłem do łóżka z pilotem w ręku. Był to jedyny prawdziwie wakacyjny epizod tego wyjazdu. Facet i dziewczyna leżą w łóżku i oglądają kolorowe pudło o pierwszej w nocy. Brakowało tylko popcornu albo słonych paluszków.

Kobieta na ekranie mówiła to, co zawsze mówią gadające głowy. Wojna na Bliskim Wschodzie, afery w rodzimej polityce, zima zaskoczyła drogowców; tym podobne bzdety. Wspomnieli nawet coś o wypadającym dzisiaj święcie zakochanych. Faktycznie, uzmysłowiłem sobie, mamy dziś walentynki. To nawet urocze. Leżymy sobie razem w ciepłym pokoju, w walentynki, oglądamy telewizję niczym stare małżeństwo.

Na dole ekranu przewinął się pasek pogody informujący o długo wyczekiwanym ociepleniu.

Meteorologowie potwierdzają: po weekendzie temperatury wzrosną. Znad Morza Śródziemnego nadciągają fronty gorącego powietrza.

W końcu jakaś dobra wieść.

Czekaliśmy w napięciu na nieco bardziej rozbudowaną prognozę pogody, żeby dowiedzieć się, czy będzie można liczyć na roztopy, ale osoba odpowiedzialna za ramówkę miała inne plany i priorytety. Po skończonym programie informacyjnym poleciał jakiś stary film o równie starej wdowie, która uciekła z kochankiem. I tak sobie uciekała przez kolejne dwie godziny, podczas gdy na ekranie przetaczały się krajobrazy spalonej słońcem prerii, a od czasu do czasu ktoś kogoś nawet zastrzelił.

Denatka wtuliła mi się w ramię, po chwili zaczęła cicho chrapać. Ja też w końcu miałem dość przesuwających się obrazków, zamknąłem powieki, odpłynąłem w niebyt.

* * *

Zapomniałem o wyłączeniu pudła, więc rano obudziły nas dźwięki porannych informacji. Pogodynka powtórzyła wieści z wieczoru, ale nie

dodała nic ciekawego od siebie. Na komputerowo wygenerowanej mapie kraju mieniły się niemalże same białe śnieżynki, z jednym tylko wyjątkiem w postaci Gdańska, gdzie zamiast płatka śniegu komputer stworzył szarą chmurkę.

W pizdę z taką prognozą, pomyślałem. Równie dobrze mogliby powiedzieć, że na wiosnę będzie mokro, a latem gorąco. Dziękuję bardzo.

Zwlokłem się z wyra, cały czas mając w głowie jedną, bardzo prostą i bardzo odległą jednocześnie potrzebę; Boże, jak ja bardzo chciałem umyć zęby! Po dwóch dniach bez pasty i szczoteczki czułem się tak, jakby do podniebienia przylepił mi się kawałek zaplesniałej kromki chleba. Usta płukałem bardzo długo, ale bez większego efektu. Kromka nie chciała się wcale odlepić.

Na domiar złego dwa dni wdychania wysuszonego powietrza w pokoju zamieniło moje śluzówki w uwędzone kawałki suchego mięsa. Całe wnętrze głowy błagało o coś zimnego i płynnego, co mógłbym wlać do gardła, do nosa, do uszu i wypłukać sobie czaszkę od środka, najlepiej razem z mózgiem. Ponownie przyssałem się do kranu, piłem tak długo, aż rozboleł mnie brzuch. Oddałbym teraz wszystko za łyk piwa, którego nie dostanę, bo jakieś grube babsko wzięło mnie za wariata. To co, wariat nie może się napić? Pieprzona dyskryminacja wariatów.

Wróciłem do pokoju, aby dokonać obowiązkowej inspekcji świata na zewnątrz.

Za oknem bez zmian. Staza, konstans, biała nuda, nicość wypełniająca tekstury rzeczywistości aż po sam horyzont. Na pozór niewiele lub nawet nic się nie działo, ale nagle dostrzegłem w śniegu dziką kotłowaninę. Tuż przed tarasem coś dziwnie podrygiwało, rozrzucając puch na wszystkie strony. Skupiłem się, wyteżyłem wzrok, zorientowałem się, że na dole trwa walka na śmierć i życie.

Kotłowaninę wywołała machająca skrzydłami sikorka, przeskakująca tam i z powrotem wokół swojej ofiary, którą okazała się być zagubiona i zdeorientowana mysz. Gdy mały ssak uciekał w jednym kierunku, sikorka natychmiast zrywała się do lotu, dopadała ją i dziobała w tył karku, dopóki stworzonku nie udało się jej zrzucić. I tak raz za razem, raz za razem. Dramatycznym próbom skazanego na porażkę gryzonia towarzyszyła symfonia popiskiwań i ćwierknięć, w której – gdyby nie przerażający obraz – nie sposób byłoby się doszukać odgłosów batalii o życie. *Ćwir, pip, ćwir, pip.*

W końcu mysz straciła wolę walki, poddała się, położyła się na śniegu, podczas gdy ptak przystąpił do skutecznego drążenia dziury w ciele dygoczącej jeszcze ofiary. To był prawdziwy horror, od którego nie mogłem jednak odwrócić wzroku. Pogodzona z losem, wymarżnięta mysz nie próbowała już nawet ruszać łapkami. Leżała po prostu,

przygwożdżona ciężarem drapieźcy, któremu wreszcie udało się przebić przez futro. Dumna z siebie sikorka, wesoło podśpiewując, poczęła wyjadać mięso z karku gryzonia. Kęs za kęsem, aż z górnej połowy ciała myszy niemalże nic już nie zostało. Jedyne nagi kręgosłup i rozbita dziobem, pusta czaszka.

Przypatrywałem się temu okropnemu aktowi w turpistycznym zauroczeniu, dopóki sikorka nie najadła się i nie odleciała, pozostawiając martwą mysz tuż pod naszym oknem. Wiedziałem już, że teraz za każdym razem, gdy wyjrzę na zewnątrz, będę miał przed oczami truchło gryzonia, skutecznie przypominające mi o tym, w jakim okrutnym świecie przyszło nam żyć. O ile nie zasypią go kolejne opady śniegu, co wcale nie byłoby lepsze.

Czy gdzieś we wszechświecie istnieje planeta, na której reguły życia nie są tak potworne? Miałem nadzieję, że tak. Bo to, co obserwujemy na Ziemi, może jedynie utwierdzić w przekonaniu, że nasz Stwórca jest popierdolonym sadystą. Życie zjada inne życia w niekończącym się cyklu morderstw. Jedyne znana metoda wędrówki materii ogranicza się do przemocy; od trawy zjadanej przez króliki do ludzi, trzymających w ciasnych zagrodach przeznaczone na rzeź bydło. Gdyby tylko Bóg nie był takim skurwysynem, to w swojej omnipotencji potrafiłby z pewnością stworzyć świat, w którym zabijanie nie jest koniecznym warunkiem przetrwania, a łapczywe połykanie ciał innych istot to nic więcej niż tylko chory absurd, pozostający poza granicą wyobraźni.

Sytuacja stawiała nas przed bardzo przykrym wyborem możliwości: albo kreator i stróż tego padołu serdecznie nas nienawidzi, albo też w ogóle nigdy go nie było. Przypomniała mi się piosenka Toola:

Life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on life feeds on...

– O czym tak myślisz? – Denatka usiadła na łóżku, kołdrę podciągnęła sobie pod samą brodę. Wyglądała przez to jeszcze bardziej dziecięco, jakby dopiero co przestała bawić się lalkami.

– O życiu – odpowiedziałem banalnie.

– Pan dorosły myśli o życiu, łał.

– Ktoś musi robić takie trudne rzeczy, żeby ktoś inny mógł wylegiwać się do południa.

Denatka wystawiła język, przejechała nim po wargach. Po raz pierwszy zauważyłem, że nosi w nim kolczyk, pieprzona alternatywka. Dziwne, że wcześniej mi to umknęło. Uchyliła lekko usta, szykując się do riposty, a potem uśmiechnęła się zawadiacko, jak gdyby w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Ten uśmiech mówił: „niech ci będzie, ale wiedz, że mogłabym tak dalej”. Ucieszyło mnie to, bo zupełnie nie miałem

ochoty na przekomarzenie się z samego rana. Mieliśmy parę rzeczy do roboty.

Zaczęliśmy od wędrówki na dół i zjedzenia śniadania składającego się z dwóch jajek, szparagów i czegoś, co przypominało najtańszą marketową mortadelę. Pozbyliśmy się kolejnych pieniędzy – fundusze topniały w zastraszającym tempie – a potem postanowiliśmy, zgodnie z wczorajszym wnioskiem, spróbować złapać zasięg w telefonach. Denatka stwierdziła, że zostanie na dole i ewentualnie wyjdzie przed hotel. Ja z kolei pomyślałem, że dobrze będzie spróbować na samej górze, nawet zahaczyć o strych, o ile okaże się to konieczne. A jeśli nasze starania nie przyniosą żadnego skutku, gotów byłem wsadzić sobie dumę w buty i zapytać właścicielkę o możliwość skorzystania z telefonu, choć ta akurat taktyka wydawała mi się ryzykowna.

No bo jeśli zadzwonimy po pomoc z hotelu, w którym teoretycznie nic nam nie grozi (może poza powoli postępującym bankructwem), to trzeba będzie naściemniać goprowcom do oporu, żeby w ogóle zdecydowali się na interwencję. W myślach wyliczałem już wszystkie możliwe kontuzje, jakie staną się naszym udziałem, a które magicznie ulecą się zaraz po dotarciu na miejsce śmigłowca. Nie było sensu iść w złamania otwarte ani inne łatwe do zweryfikowania urazy, uznałem więc, że Denatka będzie musiała nabawić się paskudnego zatrucia, krwawych wymiotów i bólu wątroby. Przy odrobinie szczęścia koszty jej „uratowania” poniosą rodzice lub podatnicy, a ja nie skończę z długami. Plan wydawał się sensowny, pozostało tylko wykonać telefon.

Nie miałem pojęcia, jak szło Denatce, ale w moim wypadku próby znalezienia zasięgu na drugim piętrze okazały się katastrofalnie nieudane. Snułem się od ściany do ściany, od pokoju do pokoju, wyciągając rękę z telefonem pod dziwnymi kątami. W końcu stwierdziłem, że została mi jeszcze jedna, najbardziej sensowna możliwość – wejście na strych lub nawet na dach, o ile to w ogóle wykonalne. Szybko zlokalizowałem właz prowadzący na strych, aczkolwiek podchodziłem do niego raczej bez entuzjazmu; wszak w większości wypadków takie wejścia były jakoś zabezpieczone. Tym razem jednak szczęście się do mnie uśmiechnęło, bo wejścia strzegł jedynie pozbawiony kłódki skobel, którego otwarcie wymagało jedynie przyniesienia sobie z pokoju krzesła.

Musiałem wyglądać wyjątkowo idiotycznie, stojąc na korytarzu i siłując się ze skoblem, ale cała operacja nie zajęła mi wiele czasu. Odniosłem krzesło, by nie wzbudzać zbędnej uwagi, i już po chwili wspinałem się po opuszczanej drabinie, przyświecając sobie trzymanym w zębach telefonem. Chwała niech będzie technologii.

Gdy dotarłem na górę, moje palce opadły na grubą poduszkę kurzu. Nikt nie sprzątał tu od lat. Skierowałem strumień światła w prawo,

potem w lewo; pomieszczenie było niemalże puste. Tylko po lewej stronie, oparty o podtrzymujący dach słup, stał gigantycznych rozmiarów słoń wypełniony zdecydowanie przeterminowanym zapleśniałym bigosem. Obok niego ktoś postawił starą, mocno pordzewiałą siekiere.

W powietrzu unosił się zapach nadgniętego drewna, a także słodki odór rozkładu. Od razu pomyślałem o myszy leżącej przed budynkiem. Staralem się oddychać płytko, by nie wciągać w płuca morowych wyziewów poddasza.

– Obrzydliwe – mruknąłem, przesuając snop światła w drugą stronę, na prawo, gdzie dostrzegłem niemrawą poświatę bijącą zza węgła.

Ruszyłem w tamtym kierunku, powoli, nie chcąc podrywać w powietrze tumanów kurzu. Skręciłem w prawo po raz kolejny i moim oczom ukazała się następna drabina i – powyżej niej – prowadzące na dach połaciowe okienko. Brudne i zakurzone, z ledwością przepuszczało odrobinę światła z zewnątrz. Spojrzałem na telefon: jedna kreska. Jest! Spróbowałem zadzwonić, ale połączenie niemal natychmiast zerwało. Czyli jednak trzeba wejść na dach.

Nie uśmiechała mi się opcja wspinaczki po starej, zbutwiałej drabinie, ale jeszcze bardziej nie uśmiechało mi się wycofywanie i przyznanie do porażki. Znalazłem się zbyt blisko potencjalnego sukcesu, żeby teraz odpuszczać. Postawiłem stopę na pierwszym szczeblu, napałem ciężarem ciała – drabina zaskrzeczała, zastękała, ale nic się nie stało. Zaryzykowałem i wspiąłem się na drugi szczebel, potem trzeci i czwarty. Uchyliłem okno, z którego spadła pacyna brudu, trafiając mnie prosto w twarz. Zakrztusiłem się, zakaszlałem, wyplułem stary kurz; co za obrzydliwość. Obiecałem sobie, że jak tylko wykonam telefon, wezmę jeszcze szybki prysznic, a potem żegnajcie Bieszczady i żegnaj Czarna Polano.

Podniosłem otwierane do góry okno, wychyliłem się na zewnątrz i dla odmiany dostałem w twarz białym puchem. Zawiało dość mocno, chłód wkradł mi się przez kołnierz w dół, dotarł aż do pępka. Rozejrzałem się, ale jak okiem sięgnąć było widać tylko zwały śniegu, połyskujące oślepiająco w przedpołudniowym słońcu. Zupełnie straciłem orientację; gdziekolwiek nie spojrzeć, wszystko wyglądało identycznie. Świetliste miraży pełzające po białej pierzynie nadawały światu wrażenie nierealności, zupełnie jakbym utknął pod przezroczystym kloszem, który na granicy pola widzenia funduje mi szklące się złotem halucynacje.

Oderwałem wzrok od śniegu, przetarłem oślepione blaskiem oczy i sprawdziłem telefon: dwie kreski, czyli jest nadzieja. Wybrałem ostatni numer i po chwili usłyszałem sygnał połączenia.

Jest, jest, jest!

– Dzień dobry, Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. W czym mogę pomóc? – Usłyszałem głos dyspozytorki.

W aktualnych okolicznościach był to najpiękniejszy głos, jaki w życiu słyszałem. Pomyślałem sobie, że mam ochotę umówić z tą dziewczyną i kupić jej wszystkie kwiaty i czekoladki świata, nawet jeśli zaraz będę musiał ją okłamać.

– Dzień dobry! Ja i moja znajoma utknęliśmy w pensjonacie Czarna Polana, nie możemy się stąd wydostać, bo jest za dużo śniegu. Znajoma jest bardzo chora, wymiotuje krwią i nie wiem, co robić! – powiedziałem, nadając swoim słowom odpowiednio paniczne brzmienie.

– Dobrze, niech się pan uspokoi. Jak się nazywa pan i pana koleżanka i gdzie dokładnie jesteście?

– Tomasz B[...], a ona... – zawahałem się – Natalia. Nazwiska nie pamiętam. A jesteście w pensjonacie „Czarna Polana”.

– Jaka to jest miejscowość?

– Nie wiem – przyznałem. – Wsiadaliśmy w Sto...? Stup...?

– Stuposianach? – zapytała dyspozytorka.

Tym razem nie było mi wcale do śmiechu.

– Tak! – potwierdziłem. – A potem zabłądziliśmy w śniegu i trafiliśmy tutaj. Czy ktoś po nas przyleci?

– A co dokładnie jest pana znajomej?

– Nie mam pojęcia, proszę pani, nie jestem lekarzem! Wiem tylko, że wymiotuje krwią i ledwo się rusza! – naskoczyłem na nią dla bardziej autentycznego efektu.

– „Czarna Polana”, mówi pan?

– Tak jest, tak jest napisane przed wejściem do pensjonatu.

– W Stuposianach?

– Może, nie wiem! Gdzieś w okolicy. Szliśmy długo, jakoś z godzinę, a potem spadliśmy do rowu i... Zresztą, co za różnica? Czy ktoś po prostu może tu przylecieć?

– Ja rozumiem, niech się pan uspokoi. Tylko, wie pan, nie mam pojęcia, gdzie jest taki pensjonat. Nigdy o nim nie słyszałam, nie mamy go nawet w spisie. Nawet w Internecie nie mogę nic znaleźć – powiedziała zdumiona kobieta po drugiej stronie.

– To nie ma sensu! – zaperzyłem się.

– Też tak myślę. Musiał pan pomylić nazwę. Może pan iść sprawdzić jeszcze raz?

– Nie mogę! Jestem na dachu, bo nigdzie indziej nie ma zasięgu! To jest drewniany dom z bali z dziwnymi balkonami bez balustrad i z tarasem! – krzyknąłem.

Miałem w planach udawać panikę, ale doszło do tego, że wcale nie

musiałem udawać. Co to niby znaczy, że nie mają tego pensjonatu w spisie? I że nie ma go w Internecie?

– Ja rozumiem, ale musi się pan uspokoić. Może coś pan zapamiętał z podróży, żebyśmy mogli mniej więcej zlokalizować...

Nie było mi już dane dowiedzieć się, co chciała powiedzieć dyspozytorka. Szczebel drabiny pękł, opadłem o kilkadziesiąt centymetrów, zaryłem brodą w ościeżnicę okna. Telefon wypadł mi z ręki, poszybował w dół, odbił się od krawędzi dachu. Zobaczyłem jeszcze, jak urządzenie rozpada się na dwie części – bateria wyskoczyła z telefonu i poleciała w zupełnie innym kierunku – a potem załamał się kolejny szczebel i runąłem z wysokości przeszło dwóch metrów.

* * *

Ocknąłem się i poczułem na twarzy powiew zimnego powietrza. Z otwartego okna padał śnieg, zbierając się na moim ubraniu ciekawą warstewką. Musiałem mocno uderzyć o coś potylicą, bo łeb rwał mnie jak wściekły. Dotknąłem tyłu głowy i wyczułem pod włosami gigantycznego, pulsującego krwią i bólem guza. Na szczęście skóra nie była przecięta, ale niewielkim było to w tej sytuacji pocieszeniem.

Spróbowałem się rozejrzeć i dotarło do mnie, że nic nie widzę. Spanikowałem. Czy oślepiłem od uderzenia, czy też po prostu na strychu jest aż tak ciemno? Poruszyłem się, zaryzykowałem wstanie z podłogi, ale z niezbyt dobrym skutkiem. Za bardzo kręciło mi się w głowie i z powrotem opadłem na plecy. Ale zaraz! Dostrzegłem coś: delikatną, bladą poświatę za oknem. Czyli nie oślepiłem, to dobrze.

Było mi zimno, bardzo zimno. Pomieszczenie musiało się solidnie wychłodzić przez cały ten czas. Jak długo właściwie tu leżę? Sięgnąłem ręką do kieszeni w spodniach, ale w tym samym momencie przypomniałem sobie, że moja komórka poszybowała gdzieś w niebyt. Po prostu wspaniale.

Usłyszałem za sobą tupot małych łapek i skrobanie pazurów. Myszy? A może szczury? Czy szczury są gotowe rzucić się na mnie, gdy tak leżę na strychowych deskach? Sikorko, przybądź na ratunek.

Odwróciłem się na prawy bok, podparłem na łokciu. To było na tamten moment maksimum moich możliwości. Ciekawe, gdzie podziewa się Denatka. Gdybym tu zdechł, pewnie nigdy by się nawet o tym nie dowiedziała. Zostałaby sama w tym przeklętym pensjonacie, którego nawet GOPR nie ma na swoich mapach. Jak to w ogóle możliwe? Czyżby budynek był aż tak nowy? Bo przecież nie wygląda. Musiał tu stać od kilku, jeśli nie kilkunastu lat. A może faktycznie źle przeczytałem nazwę przybytku? Jak to jednak możliwe, skoro widziałem ją aż tyle razy?

Nic tu nie miało sensu. Rzeczywistość rozmywała się, pękała w szwach. Hotel, który nie istnieje, a jednocześnie hotel, którego nie da się

opuścić. Jak to wytłumaczyć? Gdzie znaleźć logikę w takiej sytuacji? Jak to było? „Jeśli odrzucisz wszystko, co niemożliwe, to cała reszta – choćby najbardziej nieprawdopodobna – musi być prawdą”? Tylko co jest niemożliwością? I co jest tą prawdą?

Znów tupot małych stóp gdzieś w ciemności. Okrążają mnie, pomyślałem, szykują się do ataku. Szacują swoje szanse na zwycięstwo. Nigdy nie bałem się szczurów ani żadnych innych gryzoni, ale to wszystko zmienia się, gdy leżysz w niemal całkowitej ciemności. Słuch podpowiada ci rzeczy, których nie chciałbyś nigdy, przenigdy usłyszeć, a wyobrażenia wyolbrzymia je do groteskowych rozmiarów.

Widziałem kiedyś film, na którym wrzucono kota do pokoju pełnego wygłodniałych szczurów. Gryzonie z początku uciekły w róg pomieszczenia, ale już wkrótce kilka tych najbardziej odważnych zaszarżowało do przodu, próbowało sił. Za nimi poszły kolejne i kot, choć bronił się, jak mógł i położył trupem kilka gryzoni, wkrótce przygnieciony został żywą masą, wyposażoną w pazury i ostre siekacze. Walka trwała kilka minut, aż w końcu kocur stał się karmą dla mniejszych zwierząt. Dosłownie rozerwały go na strzępy. A czym ja w tej sytuacji różniłem się od tamtego kota? Byłbym chyba jeszcze łatwiejszym łupem.

Podniosłem się na kolana, trwało to wieki. Zwierzęta wokół rozbiegły się na wszystkie strony, ucichły, pochowane gdzieś po kątach. Coś zaszurało przede mną, coś dużo większego niż szczur. Dźwięk, który wydawało brzmiał zupełnie jak ludzkie kroki.

– Jest tam ktoś? – zawołałem w mrok, czując, jak łamie mi się głos. – Halo?

Z początku odpowiedziała mi jedynie cisza i nieznośne wrażenie, że jestem obserwowany. Wytężałem wszystkie zmysły, aż dodatkowo rozboleła mnie i tak już boląca głowa.

– Dlaczego pan tak leży na strychu?

Usłyszałem ten głos tuż nad sobą. Gdyby to był film, pewnie zerwałbym się na równe nogi, ale to wcale tak nie działa. Fala strachu, jaka ogarnęła mnie w tamtym momencie, wyłączyła wszystkie funkcje życiowe. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, ręce opadły na boki, usta rozchyliły się nieznacznie. Byłem jak z waty. Gdyby ktoś chciał, mógłby zgnieść mnie w kulkę i wyrzucić do kosza. Nawet krzyk stał się niemożliwością. Z moich ust wydobywał się jedynie cichy, żalony jęk, jakby powietrze powoli uchodziło z balonu.

To był głos dziecka. Głos chłopca, którego musiałem widzieć wcześniej. I jeśli ktoś stworzyłby ranking najstraszniejszych rzeczy na świecie, to niewinny, cichy dziecięcy głosik rozlegający się w ciemnościach poddasza bez wątpienia znalazłby miejsce na podium.

– Ja... – bardziej wyburczałem niż powiedziałem. – Ja spadłem.

– Nie powinien pan tu wchodzić. Tu jest niebezpiecznie, tak mówi mama – odpowiedział chłopiec, którego nie mogłem zobaczyć.

– To dlaczego ty tu wszedłeś? – zapytałem, bo to pierwsze, co przyszło mi na myśl.

– Nie wiem? – Chłopiec zdawał się być zaskoczony swoją odpowiedzią nie mniej niż ja sam.

– Kim jesteś? – Desperacko potrzebowałem czegoś się dowiedzieć. Znaleźć chociaż pozory realności w tej sytuacji.

– Jestem Dawid. Mam osiem lat – odpowiedział chłopiec z dumą.

– To ty zostawiłeś kartkę pod drzwiami? – zapytałem.

– Nie.

– Dlaczego zrobiłeś coś takiego? Dlaczego? – Nie dawałem za wygraną.

Nie mogłem zorientować się, z której strony właściwie dobiegał jego głos. Raz dzieciak był przede mną, raz za mną, raz zdawał się być gdzieś w górze, jakby siedział na desce stropowej, wesoło machając sobie nogami.

Nagle poczułem nieracjonalny przypływ odwagi.

– Posłuchaj mnie, gówniarzu! Przez ciebie zrobiłem z siebie idiotę przed właścicielką tego burdelu! Czemu ona cię kryła, co? To twoja matka, babka, ciotka? Zejdiesz tam ze mną zaraz i zrobię jej taki raban, jakiego jeszcze nie słyszała!

– To nie moja mama. Moja mama nie jest taka gruba.

– To gdzie są twoi rodzice?

Bez odpowiedzi.

– Gdzie są twoi rodzice? – ponowiłem pytanie. – Będę musiał się z nimi rozmówić. Znajdę ich, jak tylko zejdę na dół, a wtedy... Halo, jesteś tu? – Naraz ponownie poczułem, że jestem w ciemności całkiem sam.

Żaden głos już mi nie odpowiedział. Dzieciak zniknął, rozpląnął się w powietrzu, o ile w ogóle wcześniej istniał. A może wcale nie istniał, a dialog ten był po prostu wytworem mojej wyobraźni? Wytworem mózgu odciętego od bodźców, sensorycznej deprywacji?

– Hej, dzieciaku! Dawid! Słuchaj, ja tylko żartowałem, nie będę przecież...

Nikt nie odpowiadał. CO JEST, DO CHOLERY?!

Podczołgałem się do włazu, z ulgą witając odrobinę światła, jaka wpadała z korytarza, ale... zaraz, drabina nie była opuszczona. Warstwę kurzu przy wejściu naruszyły jedynie moje palce i stopy. W jaki sposób dzieciak...

Czyli jednak zwariowałem. Pierwotna diagnoza okazała się być prawdziwą. Kilka dni temu, tam, w tym lesie, gdy uderzyłem potylicą o drzewo, coś poprzestawiało mi się pod kopułą. I teraz, gdy ponownie nabiłem sobie guza, odezwało się znowu.

Leżałem na brudnych deskach, wystawiałem głowę przez otwór wjazdu i czułem, że nie jestem w stanie myśleć; że nie jestem w stanie samodzielnie złożyć w całość najprostszych komunikatów, którymi sam siebie mógłbym zapewnić o umysłowej poczytalności. Nie miałem żadnego argumentu na własną obronę. Chciało mi się płakać, ale nawet do tego nie mogłem się zmusić. Brudny, wymęczony i obolały doznawałem wrażenia, jakby coś próbowało wypchnąć mnie poza ramy rzeczywistości, poza ramy najbardziej elementarnego rozumowania.

Wśluchiwałem się w wycie wiatru uderzającego z przerażającą siłą w ściany budynku i wkradającego się do środka przez otwór w dachu. W pewnym momencie okno prowadzące na dach zatrzasnęło się i wewnątrz zapanowała względna cisza.

Byłem karpiem na wigilijnym stole, skazańcem z karkiem na pieńku, wielorybem wyrzuconym na brzeg. Wiedziałem, że za wszelką cenę muszę stąd uciec, była to jedyna idea objawiająca się wewnątrz mojej czaszki, pędząca z lewej do prawej półkuli i z powrotem. Jednocześnie jednak wszystkie możliwości ucieczki zawiodły. Zostałem pozbawiony alternatywy. Mogłem tylko leżeć i patrzeć na świat, którego od dawna już nie byłem w stanie pojąć.

Leżałem więc i patrzyłem przez właz.

Patrzyłem na pokrytą czerwonym dywanem podłogę, a potem dalej, wzdłuż ścian, wzdłuż wąskiego tunelu, jaki tworzył hotelowy korytarz, aż do samego końca. A na samym końcu, przy otwartych drzwiach prowadzących do jednego z pokojów, stał chłopiec ubrany w trampki, czarne sztruksy i koszulkę z logiem NBA. Pomachał mi, a potem popatrzył gdzieś do wewnątrz pokoju, skąd po chwili wysunęła się kobieca sylwetka.

Kobieta była wysoka i szczupła, miała czarne włosy sięgające ramion i mocno bladą twarz, jakby niedawno przeszła ciężką chorobę. Nosila kremową letnią sukienkę, jakiej człowiek nie spodziewa się zobaczyć na nikim o tej porze roku. Spojrzała na mnie przelotnie, powiedziała coś chłopcu i oboje zniknęli wewnątrz pokoju. Drzwi zamknęły się bardzo powoli.

* * *

Gdy zapytała mnie, co się stało, nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa. Po prostu siedziałem na brzegu łóżka z zaciętą miną, która mogła wyrażać wszystko – od determinacji, poprzez skupienie, aż do nienawiści. W rzeczywistości wyrażała jednak coś zupełnie innego – całkowitą dezorientację.

Denatka niespokojnie chodziła po pomieszczeniu. Bałem się, że wkrótce wydepcze dziurę do innego wymiaru i oboje spadniemy gdzieś w otchłań. Gdy wróciłem do pokoju, już na mnie czekała. Od razu

opowiedziała mi o swojej porażce – jej telefon w ogóle nie złapał sygnału na zewnątrz – po czym zaczęła zarzucać mnie pytaniami.

Jak ci poszło? Udało się? Gdzie masz telefon? Dodzwoniłeś się?

Za każdym razem kręciłem głową, a wtedy seria pytań powtarzała się. Pewnie nieźle ją to wkurzało. Nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś po prostu ją ignoruje. A ja musiałem się ogarnąć. Zanim zdołałem wypowiedzieć choć jedno słowo, minęły długie minuty. W końcu zebrałem się w sobie, powiedziałem Denatce, jak wygląda sytuacja.

– Miałem zasięg, zadzwoniłem. Wezwałem pomoc. Babka powiedziała mi, że taki pensjonat nie istnieje. Wszystko o kant dupy rozbić. I zgubiłem telefon.

– Nie istnieje? Co to znaczy, że nie istnieje? – zapytała, ale nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

Wtedy też zaczęła chodzić. Od drzwi do okna, od łóżka do komody z telewizorem. Co rusz przerywała marsz, rzucała w moją stronę jakąś uwagę i z powrotem podejmowała bezcelowy ruch po wnętrzu.

Sami się nad tym zastanówcie. Co to właściwie znaczy, że miejsce, w którym od trzech dni mieszkacie, nie istnieje? Czyli co? Wy też nie istniejecie?

Przykro nam, ale nie możemy wam pomóc. Wpadliście w dziurę czasoprzestrzenną i was nie ma. Proszę zadzwonić ponownie, jak już będziecie. Proszę stamtąd wyjść.

KIEDY MY NIE MOŻEMY WYJŚĆ!

No to ponownie: bardzo nam przykro. Klik-klak. Wybierz jeden, aby połączyć się z konsultantem. Wybierz dwa, aby otrzymać ofertę wakacyjną w piekle. Wybierz zero, aby popełnić samobójstwo.

– A co z telefonem? – zapytała Natka.

– Zgubiłem. Spadł mi w śnieg, rozbił się, zdechł.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o rozmowie z Dawidem.

Słuchaj, Denatka, znowu widziałem tego chłopaka, który wrzucił nam kartkę pod drzwiami. Tak, rozmawiałem z nim, a potem zniknął. Widziałem też jego matkę, weszli razem do pokoju obok. Tak, oczywiście, że potem sprawdziłem pokój. Pukałem i wołałem, ale nikt mi nie otwierał, Natka. Co o tym sądzisz? Myślisz, że rozplynie się w powietrzu? Tak, to całkiem prawdopodobne. To jedyna możliwość. Ale zaraz, poczekaj, jest jeszcze jedno wytłumaczenie. Postradałem rozum. Zwariowałem, ocipiałem, sfiksowałem. Pozamieniałem się z chujem na głowy. To się zdarza, Natka, wbrew pozorom całkiem często.

A kartka? Cóż, może sam to nabazgrałem? Niby czemu miałbym? Nie wiem, ale to tylko jedna z bardzo wielu rzeczy, jakich nie wiem. Zdaje się, że jestem wyjątkowo głupi.

Dlaczego pan jest taki płytki? Nie potrafi wejść do kolan i moczy tylko tydki.

Oczywiście, że jej powiedziałem. Dziewczyna zatrzymała się, słuchała mnie z pełną uwagą i powagą, jakbym był samym Ojcem Świętym albo nawet lepiej: Mojżeszem schodzącym ze szczytu z kamiennymi tablicami w dłoniach. Nic jednak nie odpowiedziała. Nie przyznała mi racji, nie zapewniła, że mi wierzy i nie zwyzywała mnie od idiotów. Nic, prócz morza niepewności.

Dlaczego mi to robisz, moja piękna muzo? Lalko z alabastru, królowo androidów? Dlaczego topisz mnie w niewiedzy? Odpowiedz coś, cokolwiek! Wyślij mnie do psychiatryka, jeśli trzeba. Nie mam nic przeciwko.

Ale ona po prostu chodziła w kółko. Być może jeszcze bardziej przerażona, jeszcze bardziej zdezorientowana ode mnie. Nie wiem, nie zapytałem. Potrzebowałem rozmowy, a jednocześnie bałem się rozmawiać. Co za kabaret. Surrealistyczny kabaret, w którym jeden występujący siedzi bez ruchu, a drugi chodzi wokół niego w koło. Monty Python, Salvador Dali i Lars von Trier w jednej sztuce, na deskach jednego groteskowego teatru.

A przecież nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości. Istniała jeszcze jedna szansa na ratunek, najbardziej oczywista z nich. Zejść na recepcję, poprosić o telefon. Zadzwoić, gdzie tylko się da. Do GOPR, TOPR, na pogotowie, na straż pożarną, policję, na pogotowie gazowe; do księdza, do matki, ojca i mojej byłej. Ktoś na pewno będzie mógł nam pomóc. Zabrać nas z tego przekłętą hotelu. Ciekawe, co by powiedziała Magda, widząc mnie z Denatką. Czy byłaby zła? Raczej nie. Śmiałyby się tylko, wkładając w ten śmiech całą swoją niewypowiedzianą pogardę. „Jesteś dziecinny” – myślałaby. „Zdziecinniały, niedojrzały, nieodpowiedzialny”. A potem może powiedziałaby coś w stylu: „Widzisz, właśnie dlatego nie mogliśmy być razem. Ty jesteś po prostu dużym dzieckiem, Tomek. Urosłeś na ciebie, ale na umyśle dalej pozostałeś licealistą. Otaczasz się ludźmi takimi samymi jak ty”.

Albo jeszcze lepiej: zadzwonić do rodziców Denatki.

Dzień dobry, porwałem państwa córkę, jesteśmy tu i tu. Proszę przyjechać w asyście policji, a obiecuję, że nie zrobię jej żadnej krzywdy.

Przykro nam, ale nie możemy przyjechać po swoją córkę. Taki pensjonat nie istnieje! Do widzenia! I proszę nie robić sobie żartów!

ROZDZIAŁ V

– Niestety, ale telefon nie działa. Wichura musiała zerwać kable. To się dzieje przynajmniej raz do roku i nic nie możemy na to poradzić. Telewizja też już nie działa. Trzeba czekać na wiosnę – powiedziała recepcjonistka, robiąc zmartwioną minę.

Wyglądała przy tym żałośnie. Wszystkie fałdy na skórze jej twarzy opadły niżej, zmarszczki pogłębiły się, upodabniając ją do psa rasy beagle.

Słowa brzmiące jak wyrok, ale nie spodziewałem się niczego innego. Ten wyrok to dożywocie. Dożywocie spędzone w hotelu, który nie istnieje. I tak nie robiłem sobie zbyt wielkich nadziei. Nawet gdyby telefon działał, to nie podejrzewałem, że cokolwiek by nam to pomogło. Spójrzmy na sprawę poważnie, bez hysterii. Jeśli GOPR nie wie, gdzie obecnie jesteśmy, to nikt nie będzie tego wiedział.

Może i zresztą telefon działał. Może otyła recepcjonistka była po prostu dobrą aktorką, której zależało na tym, byśmy splukali się do ostatniego grosza. Byśmy naprawdę zostali tu aż do roztopów. Jeśli tak, to miałem dla niej złe wiadomości. Zaraz skończą nam się fundusze i będzie musiała gościć nas za darmo. Bo na śnieg nie dam się wypchnąć, co to to nie.

W tamtym czasie we wszystkim, co mówiłem i myślałem, było bardzo dużo „może”, bardzo dużo wątpliwości. Nie miejcie mi tego za złe. W niektórych okolicznościach to jedyne słowo, które nosi w sobie znamiona jakiegokolwiek prawdy. *Może* jest ratunkiem dla pozbawionego pewności umysłu. Jeśli nauczysz myśleć się w języku *może*, nic ci nie grozi. Będziesz oglądać, jak rzeczywistość wokół zamienia się w absurd i uratuje cię przed tym zwykle wzruszenie ramion. *Może* tak, a *może* nie. *Może* straciłem rozum, a *może* bierzemy udział w jakiejś bieszczadzkiej wersji „Ukrytej kamery”. A *może*... *Może* po prostu logika i racjonalne myślenie nie mają tu żadnego zastosowania, bo to, co dzieje się w Czarnej Polanie, nie ma nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem?

Kręciłem się po hotelu długie godziny, dopóki nie zapadł zmierzch. Właścicielka i pracownica baru spoglądały na mnie spode łba, jakby przekonane, że mam zamiar zrobić coś dalece nieodpowiedniego. Musiały wyczuć w mojej postawie desperację, ale spokojnie, nie planowałem niczego takiego. Nie było tu żadnej desperacji, jedynie zagubienie w rzeczywistości. Gdy już obie kobiety przekonały się, że ze strony *tego wariata* nie grozi im żadne niebezpieczeństwo ani niespodziewany ruch, obie odpuściły, pochowały się gdzieś w trzewiach pensjonatu, pozwalając mi na nieszkodliwą eksplorację.

Chodziłem więc od ściany do ściany, zaglądałem w każdy kąt i w

każdą doniczkę. Nie miałem pojęcia, co robi ze sobą Denatka i niewiele mnie to obchodziło. W chwilach kryzysu wszyscy jesteśmy samotni. Moja porcelanowa laleczka nie mogła mnie uratować. Mogła tylko psioczyć nad uchem i wpatrywać się we mnie jak w kosmitę, dokładnie tak samo jak ja wpatrywałbym się w nią, gdybym został w pokoju. To nie tak, że nie byłem już w niej na swój dziwny sposób zakochany, ale jeśli stworzyć kryzysową sytuację i umieścić w niej dwoje przypadkowych osób, choćby najbardziej względem siebie serdecznych, to kwestią czasu pozostanie, kiedy w końcu zaczną patrzeć na siebie podejrzliwie.

Wyczuwałem nadejście tego momentu. Był blisko. Denatka jeszcze traktowała mnie, jakbym stał po tej samej stronie, ale już wkrótce zacznie się zastanawiać. Zacznie odrabiać swoje zadanie domowe. Doda dwa do dwóch i najprawdopodobniej wyjdzie jej siedem.

Wróg jest zawsze na zewnątrz. To najbardziej podstawowe, usankcjonowane ewolucyjnie przekonanie. Nasze małpie mózgi nie powstały po to, żeby szukać problemów w środku i zastanawiać się nad merytoryką. W sytuacjach kryzysowych po prostu dodajesz dwa do dwóch. Jeśli wynik się zgadza, wszystko jest w porządku. Jeśli się nie zgadza, zaczynasz szukać problemów obok.

Przecież każdy wie, że *to nie moja wina*. Bo każdy i w każdej sytuacji robi to, co pozostaje w zgodzie z jego najbardziej elementarną potrzebą zachowania zdrowego rozsądku. Wyrzuci problem poza nawias, a potem przyporządkuje go pod inny przedmiot lub podmiot. Tysiąc razy już zastanawiałem się nad tym, czy zabierając ze sobą w podróż Denatkę, nie sprowadziłem aby na siebie przekleństwa. Do tej pory próbowałem za wszelką cenę trzymać podobne myśli gdzieś głęboko poza świadomością, ale niejednokrotnie w moim umyśle pojawiała się pytanie: „co, jeśli to ona mnie oszukuje?” albo „co, jeśli cały ten kram szaleństwa, łącznie z pozostawioną na komodzie kartką, jest po prostu jej zabawą?”. Pasowałoby to do niej, sami powiedzcie.

Ta dziewczyna była ogniem. Mogło jej się nudzić, więc stworzyła dla nas taki oto problem, a potem chichotała w duchu, patrząc na moje cierpienia, na moją rozpadającą się na atomy psychikę. Oczywiście, że mogłaby to zrobić. Wszystko pozostawało kwestią zaufania. Zaufania komuś, kogo znasz raptem kilka dni i – choć pragniesz, aby wasza relacja nie zamieniła się w piekło – niewiele masz w tej sytuacji do powiedzenia.

Czy jej ufałem?

Oczywiście, że nie. Nie byłem już w stanie zaufać nikomu. Nie zaufałbym nawet własnej matce, gdyby teraz pojawiła się tutaj, stanęła nade mną z nieodłączną drewnianą łyżką do mieszania zupy i zapłakała nad moim istnieniem.

Co by powiedziała mama?

Tomek, ach, Tomek! Znowu wpakowałeś się w jakieś tarapaty! Tyle razy cię ostrzegaliśmy z ojcem, żebyś nie robił głupstw. I co robisz? Głupstwa. Skaranie boskie z takim synem. Trzeba było cię nazwać jakoś inaczej. Może Michał. Michały to spokojne chłopaki, a Tomki...

To by powiedziała mama.

Ale tu nie chodzi o zaufanie. Chodzi o wiarę. Wbrew pozorom są to dwie różne rzeczy. Ufać to możesz komuś w komfortowej sytuacji. Ale wierzyć komuś! W tych najbardziej abstrakcyjnych, najgorszych, najbardziej absurdalnych momentach życia, dosłownie pragniesz tej wiary. Tak, jak pragnąć można ostatniej kropli wody z menażki, gdy wysuszony na wiór chodzisz po pustyni. Bardzo chcesz wierzyć w to, że druga osoba jest po twojej stronie, że jej motywacja nie ma nic wspólnego z oszukiwaniem cię i nadzieowaniem na intelektualny patyk do szaszłyka.

Jebać to.

Właśnie dlatego nie siedzieliśmy razem. Żeby nie przeprowadzać na sobie tej żalostnej parodii psychoanalizy i nie dać się porwać tego rodzaju medytacjom. Choć ona też z pewnością o tym myślała. Może właśnie zastanawiała się, jakim cudem zdołałem tak zajebiście to wszystko zaaranżować. Ale...

Jebać to.

Nie możemy deliberować o takich rzeczach. Stamtąd już o krok do *prawdziwego* szaleństwa. O krok do sytuacji, w której nie pozostanie żadne neutralne wyjście i trzeba będzie zdominować rzeczywistość w zwierzęcy sposób. Pieprzyć to. Lepiej już zainteresować się stojącym w rogu pianinem.

Podszedłem do instrumentu po raz drugi, odkąd przyjechaliśmy do pensjonatu i otworzyłem klapę, pod którą skrywały się lekko zakurzone klawisze. Obsługa dawno już poszła w cholerę, do łóżek czy innych wieczornych aktywności, mogłem więc trochę posiedzieć sam i wystukać parę nut.

Zamknięty człowiek potrzebuje zajęcia. To pierwszy warunek dobrego samopoczucia. Jak to mówią: trzeba coś robić, żeby nie zwariować. A to mi się udało doskonale żart! Tak czy siak, wszystko było lepsze niż beczynność. Nawet powolne odkrywanie, że palce nie są już tak sprawne jak kiedyś. Uderzyłem na próbę i udało mi się stworzyć kilka prostych akordów. Pianino wciąż stroiło doskonale. Niebawem.

Zagrałem pierwsze, co przyszło mi na myśl: parę początkowych taktów z utworu *Snow Red Hot Chili Peppers*. Skoczna muzyka pasowała do tego miejsca i wieczornej ciszy jak pięść do nosa, ale tytuł wydał mi się adekwatny do okoliczności. Grałem i grałem, stopniowo przekonując się, że moje umiejętności gry wcale nie są aż tak zakurzone, jak się spodziewałem. W pewnym momencie tak bardzo dałem się ponieść

muzyce, że zacząłem sobie nucić pod nosem linię wokalu, a potem... potem zacząłem nawet śpiewać.

*In between the cover of another perfect wonder
Where it's so white as snow
Running through a field where all my tracks will
Be concealed and there is nowhere to go¹*

Przestałem grać.

Słowa przyszły same, ale gdy tylko zrozumiałem ich znaczenie, ich właściwą treść, zamarłem i nie byłem w stanie kontynuować gry. To było zbyt prawdziwe, zbyt osobiste, za bardzo przypominało punkt, w którym się znalazłem. Mój własny mózg wziął mnie na zakładnika.

W palcach poczułem nagle sztywność, zupełnie jak tego dnia, kiedy tu przyjechaliśmy. Wtedy jednak otarłem się o zamrażnięcie, a teraz nie było ku temu żadnego powodu. Spróbowałem poruszyć dłońmi, ale były niczym z kamienia – nieruchawe i nieposłuszne.

Oddech przyśpieszył, pot wystąpił na wewnętrznej stronie dłoni i pod pachami, spojrzenie rozmyło się, jakby ktoś obwiązał mi głowę firaną. Serce zaczęło walić nieregularnie, ale mocno. Nadchodził atak paniki, którego spodziewałem się już od dawna. I tak wytrzymałem długo, nie rozpadając się na kawałki.

Zacząłem wgapiać się bezmyślnie w jeden z czarnych klawiszy pianina. Nie wiem, czemu akurat w niego. Musiałem na czymś skupić wzrok, zanim się wyłączę. Tak to z reguły działało. Poczuję, jakbym wpadał w nieskończenie długi tunel łączący mnie i czarny klawisz. Wszystko wokół rozmazało się i wymieszało. Został tylko kawałek drewna, ostatnia prawdziwa rzecz na świecie. Pomiędzy mną a nim cały wszechświat zwinięty w rulon, zapakowany ciasno jak marketowa szynka.

Zrób sobie takie ćwiczenie w domu. Idź do łazienki. Tak, teraz. Nie za pięć minut, tylko teraz. Idź do łazienki, zdejmij z wieszaka rolkę papieru toaletowego, przyłóż ją do jednego oka, a drugie zamknij. A potem zacznij się kręcić dookoła własnej osi; najszybciej, jak tylko potrafisz. Potem przestań, zatrzymaj się, spójrz przez rolkę papieru na dowolną niewielką rzecz, jaką znajdziesz. Będziesz miał swój własny czarny klawisz. Dorzuć do tego obezwładniający strach, ból brzucha, mdłości i kilka dodatkowych efektów, wedle uznania.

Nic dziwnego, że zacząłem płakać.

Lzy ciekły mi po policzku cienkim strumieniem. Płakałem bezgłośnie, bo taki płacz jest najstraszniejszy. Gdy jesteś dzieckiem, krzyczysz, aby coś dostać. Gdy jesteś dorosłym, wyjesz z bezsilności. Gdy jednak płaczesz bezgłośnie, oznacza to, że zostałeś pozbawiony wszelkiej

nadziei. Studnia, w jakiej się znajdujesz, jest na tyle głęboka, że twój głos nie wydostanie się na zewnątrz, nawet jeśli będziesz krzyczyć najgłośniejszym głosem, jak tylko potrafisz. Więc po co krzyczyć w ogóle?

Chyba coś stało się też z moimi oczami, bo odnotowałem, że czarny klawisz zaczyna drżeć. Najpierw delikatnie, niemal niezauważalnie – zignorowałem to. Po chwili jednak drgał już mocno, jakby ktoś szarpał za umieszczone wewnątrz instrumentu struny. Do ruchu dołączył dźwięk; proste staccato grane za pomocą jednego dźwięku. A przecież nie dotykałem klawiatury.

Co jest?

Ruch klawisza zamarł. Na moment. A potem stało się coś, czego nie potrafię dokładnie opisać. Większość ludzi nawet nie będzie potrafiła sobie tego wyobrazić.

To nie były słowa, ale nie była to też muzyka. Klawisze pianina zaczęły uderzać tak szybko, że poszczególne dźwięki zlały się w strumień... mowy. Pianino po prostu zapytało mnie:

– CZE-MU PŁA-CZESZ?

Nie miałem pojęcia, czy powinienem na to odpowiedzieć, czy może jednak zacząć uciekać. Jeśli odpowiadasz na głosy w głowie, które przecież nie mogą istnieć, to dziwnie to o tobie świadczy. Gdy jednak podejmujesz konwersację z instrumentem muzycznym, to właśnie wchodzisz na drogę bez powrotu. Na autostradę prowadzącą prosto do piekła. Odpowiedziałem jednak. Sam nie wiem dlaczego, ale odpowiedziałem.

– Płaczę, bo... nie wiem. Płaczę, bo jestem w ciemnej dupie, rozumiesz? Widzę zjawy i... i gadam z pianinem.

– NIE Z PIA-NI-NEM, TYL-KO ZE MNA.

– A kim ty niby jesteś? – spytałem, chowając dłonie we włosach.

– TO JA.

– Jaki ja?

– PRZE-CIEŻ JUŻ ROZ-MA-WIA-LIŚ-MY. NA STRY-CHU. – „Głos” pianina był mechaniczny, dziwnie akcentowany. Brzmiał jak prototypy inteligentnych interfejsów mowy w starszych modelach smartfonów.

– Dawid? – wyszeptalem pytanie.

– MO-JA MA-MA PO-WIE-DZIA-ŁA, ŻE CHCE CIĘ PO-ZNAĆ.

– Czego ode mnie chcecie? Chcecie mnie zabić? Chcecie, żebym zwariował do reszty? Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju? – wyjęczałem błagalnie.

– NIE ZRO-BI-MY CI KRZYW-DY.

– Więc dlaczego nie możemy stąd odejść?! Dlaczego trzymacie nas tu jak... jak zabawki?! – krzyknąłem, wstając od instrumentu. Gniew pobudził mnie do działania, sprawił, że odzyskałem władzę w nogach.

– NIE MO-ŻE-CIE O-DEJŚĆ. JESZ-CZE NIE TE-RAZ.

– Dlaczego?! – Domagałem się odpowiedzi.

– MA-MA CHCE CIĘ PO-ZNAĆ.

– To niech mnie pozna! Zapraszam! Niech przyjdzie i... Szlag by was wszystkich trafił! Dajcie mi stąd wyjść!

Teraz to był już regularny krzyk. Przestałem się kontrolować i przestałem się powstrzymywać. Darłem się wniebogłosy, przekrzykując mechaniczny głos instrumentu.

Na górce coś zaszurało. Musiałem obudzić właścicielkę lub chociaż zwrócić jej uwagę. Miałem to w dupie.

– PIERW-SZE PIĘ-TRO. PO-KÓJ NU-MER DWA.

Głos urwał się nagle, kłapa instrumentu opadła na klawisze, waląc z ogromną siłą. Gdyby wciąż były tam moje palce, zostałyby połamane w drzazgi. Instrument zawył żałośnie, coś w środku zaklikało, zerwało się, upadło.

Na schodach za recepcją zaszurały kroki. Właścicielka zeszła na dół w szlafroku, obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem, wskazała podbródkiem instrument.

– Wie pan, ile takie coś kosztuje? Będzie mi pan tu pianino rozwalać?

– Doczepiła się, stara raszpla, jakby to była moja wina.

– Nic nie rozwalam. Samo spadło.

– Samo spadło! Chyba mnie Bóg pokarał takimi gośćmi, naprawdę. Pijak, awanturnik i cholera wie co jeszcze!

– Spierdalaj. – Wymruczałem pod nosem odpowiedź, ale tak, żeby mnie nie dosłyszała. Niech się zastanawia.

– Co tam pan mówisz?

– Mówię, że przepraszam. Musiałem nieostrożnie opuścić klapę. Nie zauważyłem.

– Nie zauważył, nie zauważył – dalej handryczyła się kobieta, choć było widać, że trochę ją udobruchałem – to niech na drugi raz nie rusza. Proste? Proste, ten tego.

– Już nie będę ruszał – obiecałem, po czym szybko zszedłem jej z pola widzenia i uciekłem na schody na piętro, żeby nie ryzykować dalszej dyskusji, na którą nie miałem w ogóle siły.

Idąc tam, miałem to dziwne wrażenie, że zarówno klatka schodowa, jak i ściany korytarzy zaczynają się zwięzać. Z każdym kolejnym prowadzącym mnie na piętro krokiem czułem się coraz bardziej klaustrofobicznie. Zupełnie jakbym występował w filmie przygodowym, w którym główny bohater natrafia na pułapkę w egipskim grobowcu, pułapkę, która uruchamia mechanizm zgniatający. Ostatnim, co zarejestruje umysł pechowego odkrywcy, będzie trzask jego własnej czaszki.

Wrażenie minęło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

Gdy tylko wydostałem się na korytarz na pierwszym piętrze,

pomyślałem o pokoju z numerem dwa. Zrozumiałem, że wiadomość przekazana mi przez Dawida nie miała w ogóle charakteru prośby.

Pierwsze piętro, pokój numer dwa.

Czy chciałem tam wchodzić?

Nie.

Tak.

Nie wiem.

Jakie to jednak miało znaczenie? Nawet jeśli nie chciałem, najwyraźniej zabrano mi wszelką decyzyjność. Postawiono mi ultimatum, choć jednocześnie nadzieja – ta paskudna dziwka – podpowiadała, że jeśli tylko zrobię to, czego życzy sobie matka Dawida, będę mógł stąd odejść. Będziemy mogli, poprawiłem się w myślach. To, co mówił dzieciak, brzmiało jak prosty warunek. *Mama chce cię poznać*. Proszę bardzo.

I jeśli wszystko, co muszę zrobić, aby zniknąć stąd raz na zawsze – nawet gdybym musiał w tym celu po raz kolejny brodzić w śniegu po pas – to rozmowa z duchem... to bardzo chętnie. Nie widzę problemu. A potem wrócę do domu rodziców i będę udawać, że wszystko jest w porządku. Znajdę pracę, przestanę narzekać. Kiedyś może nawet komuś opowiem, jak to spędziłem parę dni i nocy w jednym hotelu z duchami. Będę tym straszyl jakieś dzieciaki. Może nawet własne. Tak, jak robiła to moja matka.

Niegdyś poprosiłem ją o opowiedzenie mi historii do snu. Matka usiadła obok – do dziś pamiętam nawet, w jaki sposób łóżko wgniotło się pod jej ciężarem – i zapytała, czy na pewno chcę słuchać takich rzeczy.

– Jasne, że chcę! – odpowiedziałem.

Byłem wyjątkowo głupim dzieckiem.

– Miałam wtedy tyle lat, co ty dzisiaj – zaczęła matka – i właśnie kładłam się do snu. Nie mieliśmy wielkiego domu i musiałam spać w jednym łóżku z siostrą, czyli z ciotką Marysią...

Kojarzyłem ciotkę Marię jak przez mgłę. Widziałem ją w życiu raz czy dwa, ale nie powiem, żeby zrobiła na mnie jakiegokolwiek wrażenie. Ot, kolejny członek gigantycznej rodziny. No ale wróćmy do opowieści mojej matki:

Nie mieliśmy wielkiego domu i musiałam spać w jednym łóżku z siostrą, czyli z ciotką Marysią. Nie potrafiłam od razu zasnąć, więc po położeniu się czekałam jeszcze na siostrę, która długo się nie pojawiała. W końcu stwierdziłam, że mam ją w nosie. Odwróciłam się do ściany i zaczęłam drzemać.

Marysia w końcu doczłapała do pokoju, zgasiła światło i wpełzła pod kołdrę. Wydała mi się jakaś dziwnie lekka, ale w tamtym momencie nie zwróciłam na to uwagi. Od czasu do czasu ocierała się stopą o moją stopę

i wtedy czułam, jak bardzo jest zimna.

„Kąpałaś się w zimnej wodzie czy co?” – zapytałam ją wreszcie, ale Marysia nie odpowiedziała. W końcu miałam jej tak bardzo dość, że po prostu odwróciłam się i w całkowitej ciemności dałam jej kuksańca w ramię. Marysia uciekła w kąt łóżka.

Wciąż jednak nie byłam w stanie zasnąć, więc wsłuchiwałam się w dźwięki domu. Słuchałam, jak trzeszczy dach smagany wiatrem, jak szyby delikatnie dzwonią w ramach, ale przede wszystkim docierało do mnie, że mój tato rozmawia z kimś w kuchni. Wytężyłam słuch, żeby dowiedzieć się, kto może być takim późnym gościem.

Rozpoznałam głos od razu. Ojciec rozmawiał z nikim innym jak z moją siostrą. Mówiła mu, że nie śpi jeszcze dlatego, bo musiała posiedzieć nad lekcjami. Rozumiesz? Siostra od kilkunastu minut leżała ze mną w jednym łóżku, a jednocześnie rozmawiała z ojcem w kuchni. To głupie! – pomyślałam. To była moja pierwsza myśl, zanim jeszcze wybudziłam się z tego stanu pomiędzy snem i jawą. Druga myśl była taka, że przecież Marysia nie może się rozdzielić. Skoro jest w kuchni i rozmawia z ojcem, to obok mnie leżeć musi...

Nigdy nie dowiedziałam się, kto leżał obok. Moja prawdziwa siostra w tym właśnie momencie weszła do pokoju i zapaliła światło. Odwróciłam się gwałtownie, przerażona do granic możliwości. Spojrzałam na drugi kraniec łóżka – było puste.

Moja matka miała raczej kiepską wyobraźnię. Przez całe życie nie przeczytała ani jednej książki, za filmami też nie przepadała, a już na pewno nie za horrorami. Po czasie dotarło do mnie, że nie byłaby w stanie zmyślić tej sceny. Naprawdę opowiedziała mi to, co sama przeżyła. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, co czyniło tę relację jeszcze straszniejszą.

I teraz, gdy tak stałem na schodach, rozważając zapukanie do pokoju numer dwa, przypominały mi się wszystkie straszne historie, jakie usłyszałem w życiu. A wierzcie mi, słyszałem ich sporo. Żadna jednak nie przebiła relacji mojej matki, przekazywanej z całkowitym przekonaniem, autentycznością i trwogą.

Wtedy gdy matka opowiadała mi o leżeniu po ciemku we własnym pokoju, czułem, że oboje umieramy ze strachu. Nie wiedziałem, dlaczego postanowiła wraz ze mną wrócić do tego akurat dnia w swoim życiu. Mogła mi opowiedzieć tuzin innych bajek, z których każda okazałaby się mniej przerażająca. A mimo to pewnego dnia z własnej woli zasiała w mojej pamięci ziarno strachu, które miało wykiełkować w najmniej spodziewanym momencie, kilkanaście lat później.

Wiedziałem jednak, że dla mnie – w tej właśnie chwili – istnieje tylko jeden sposób na ucieczkę. Jeśli musiałem stawić czoła strachowi, żeby

się stąd wydostać, to właśnie to należało zrobić. To było racjonalne myślenie; może ostatnie jego podrygi, ale wciąż. W końcu zdecydowałem, że nie dam rady zrobić tego teraz. Wejdę do tego pokoju jutro z samego rana, ale dziś nie byłem już w stanie wykrzesać z siebie wystarczająco dużo silnej woli. Dość miałem wrażeń jak na jeden dzień.

Marzyłem tylko o jednym. O iluzorycznym bezpieczeństwie własnego pokoju, ciepłe kołdry, o przyjemnie gorącej wodzie, która pozwoli mi się zrelaksować i nabrać odwagi do dalszego działania.

No, właściwie to była jeszcze jedna rzecz, na którą w skrytości liczyłem – na to, że Denatka postanowi spędzić ze mną w jednym łóżku kolejną noc. Nawet jeśli jej nie ufałem, wciąż była przecież jedyną osobą, która wraz ze mną siedziała w tym samym gównie. A do tego – z jakiegoś powodu dotarło to do mnie dopiero teraz – cholernie potrzebowałem bliskości drugiego człowieka.

Ostatni raz kochałem się z Magdą ponad miesiąc temu. Dla kogoś z życiem tak stresującym jak moje, miesiąc to cholernie duży szmat czasu. Mówcie, co chcecie, możecie nawet wyzywać mnie w myślach od barbarzyńcy i zwierzaka, ale chętna szesnastolatka w łóżku jest lepsza niż brak chętniej szesnastolatki w łóżku.

Gdy jednak pojawiłem się z powrotem w naszym pokoju, moje plany na wieczór zostały boleśnie zweryfikowane. Denatki bowiem tam nie było.

* * *

Na początek zajrzałem oczywiście do łazienki, ale tam też nie znalazłem dziewczyny. Dziwne, pomyślałem, bo gdzie niby miałyby się ulotnić? Tym bardziej że na łóżku zostawiła swój telefon. Czy ktokolwiek jest w stanie wyobrazić sobie nastolatkę, która ruszyłaby się gdziekolwiek bez komórki?

Sprawdziłem więc wszystkie korytarze w hotelu, a potem, solidnie już przestraszony, zajrzałem także na strych. Gdy to nie pomogło, przespacerowałem się dookoła pensjonatu, przeczesując śnieg i nawołując. Natrafiłem na leżące tam zwłoki myszy i zwyczajnie mnie zemdlilo. Schowałem resztki martwego gryzonia pod warstwę śniegu.

– Denatka! Natalia! – krzyczałem, szukając dziur i śladów śniegu. Nie wiązałem z tym zbyt wielkich nadziei.

Po pierwsze dlatego, że Denatka nie byłaby chyba jednak aż tak głupia, żeby wyruszać w pojedynkę na wyprawę w śniegu do pasa, tym bardziej że próbowaliśmy tego wcześniej. Po drugie, no właśnie, próbowaliśmy tego wcześniej. Skutecznie przekonaliśmy się wówczas, że ślady w śniegu potrafią bardzo szybko zniknąć.

Znów ta przekłeta niepewność. Logika podpowiadała, że jeśli nie potrafię znaleźć jej śladów, to musi znajdować się przecież w środku.

Jednocześnie jednak wiedziałem, że każda moja myśl i każde przypuszczenie mogą się natychmiast okazać błędne. Co jeśli dziewczyna umiera właśnie w śniegu dwieście metrów dalej, a ja nie mogę nic z tym zrobić? Kurwa mać!

– Denatka! – zawołałem jeszcze raz. Bez rezultatu.

Wróciłem do środka i zacząłem maltretować dzwonek przy recepcji.

– Halo! Jest tam ktoś! – poganiałem pracowników.

– Idę przecież! Po co się tak drze? – Stara właścicielka schodziła po schodach, stękając i sapiąc jak zdezelowany parowóz.

– Widziała pani moją... siostrę? – zapytałem, zanim jeszcze kobieta dotarła na ostatni schodek. – Nigdzie nie mogę jej znaleźć!

– Tę małą, bladą taką?

– Tak – zawarczałem gniewnie.

O kogo innego mógłbym bowiem pytać? O Świętego Mikołaja? Przecież musiałaś widzieć ją dziesiątki razy, głupia babo!

– Nie widziałam nigdzie. A co? Może poszła na spacer?

– Nie wzięła ze sobą telefonu, a poza tym... Przecież tam jest wciąż od cholery śniegu! Dokąd niby miałyby pójść?

Na ten argument tęgie babsko wzruszyło ramionami, wszak trudno było o lepszy.

– Jak ją zobaczę, to dam znać – poinformowała mnie. – Ale wie pan, pewnie gdzieś siedzi i się wygłupia. Dzieciaki tak mają. A może już siedzi w pokoju. – Mruknęła do mnie.

Mimo całej irytacji, jaką ostatnimi czasy wzbudzała we mnie ta kobieta, tym razem poczułem wobec niej falę wdzięczności. Desperacko potrzebowałem zapewnienia, że wszystko jest w porządku.

Chwilę później przekonałem się, że nic nie jest w porządku. Denatki wciąż nie było. Sprawdziłem pozostałe pokoje, próbując je otworzyć, omijając jedynie kwaterę zamieszkaną przez matkę właścicielki i pokój numer dwa na pierwszym piętrze. Przy tym ostatnim nie zbliżyłem się nawet do drzwi, zawołałem jedynie:

– Halo, Denatka! – Nikt mi jednak nie odpowiedział.

Wróciłem do siebie w podłym nastroju. Zgubiłem zgubę. Jeszcze do niedawna mogłem mieć przeświadczenie, że gdy cała Polska szuka Denatki – kto wie, może tak właśnie było – ona jest ze mną i nigdzie się nie wybiera. Ten kontrast dodawał mi otuchy i w pewien dziwny sposób także poczucia własnej wartości. Ze wszystkich osób na świecie tylko ja wiedziałem, gdzie podziewa się młoda warszawianka. Cała ta wyprawa była naszą przygodą, bo to przecież ona namówiła mnie, aby wsiąść do pociągu do Sanoka. Gdyby nie ona, nigdy bym się tu nie znalazł, a teraz... miałem zostać całkowicie sam, tak? W obcym miejscu, bez ani jednej żywej przyjaznej duszy?

Denatka, do jasnej cholery, gdzie jesteś? Bo przysięgam, że jeśli to

głupi żart, to nie chciałbym być w twojej skórze! Niewiele jednak wskazywało na to, że dziewczyna postanowiła sobie ze mnie zakpić. Kolejne godziny mijały, a ja na zmianę wpatrywałem się w drzwi i w telefon Natalii. Wiem, to idiotyczne. Po pierwsze nie było tu zasięgu, po drugie Denatka nie miała komórki, a gdyby nawet jakimś cudem znalazła mój aparat albo jakikolwiek inny, to – po trzecie – w ogóle nie wymieniliśmy się numerami, ale tak właśnie działa ludzka psychika. Gdy bardzo czegoś chcesz – szukasz możliwości, nawet tych najbardziej absurdalnych. Szczególnie wówczas, gdy mniej absurdalne zostały już do cna wyczerpane.

Zacząłem się poważnie zastanawiać. Za oknem wiatr wył jak stado wygłodniałych wilków, a ja rozbijałem na czynniki pierwsze algorytm potencjalnego działania Natalii. Nie wzięła telefonu? Czyli wychodziła tylko na moment. Na dół, kupić sobie jakieś przekąski lub zamówić obiad. Tyle że ja przez cały ten czas byłem na dole. Niemal na pewno nie mógłbym jej nie zauważyć, a nawet jeśli, to ona zauważyłaby mnie. Zresztą, gdyby chciała sobie coś kupić, musiałaby rozmawiać z właścicielką, która jej przecież nie widziała. Gdyby zaś z kolei faktycznie chciała wyjść z hotelu, to z całą pewnością zabrałaby komórkę, chociażby po to, żeby co jakiś czas sprawdzać zasięg.

Denatka, gdziekolwiek była, wciąż musiała się znajdować w budynku, na tym lub niższym piętrze. Pomyślałem o pokoju numer dwa...

Nie, tam przecież szukałem, a przynajmniej krzyczałem pod drzwiami. Obiecałem sobie też, że dziś nie zamierzam tam wchodzić, choćby nie wiem co. Zostało więc tylko jedno miejsce, którego do tej pory nie sprawdziłem. Pokój mieszkającej obok staruszki, matki właścicielki tego przybytku. Na samą myśl o tym dziwnym miejscu przeszedł mnie dreszcz i przez chwilę zastanawiałem się, którego pokoju boję się bardziej: numeru dwa na pierwszym piętrze czy numeru jeden na drugim. Po wyobrażeniu sobie, że znowu będę musiał stanąć twarzą w twarz z zasuszoną staruszką zza ściany, ścisnęło mnie w żołądku.

A jeszcze bardziej bolało mnie to, że ponownie się przy niej zbłąźnię. „Przepraszam, czy nie widziała pani mojej siostry?”. Idiotyczne pytanie względem kogoś, kto nie wysunął nosa za drzwi od paru tygodni, jeśli nie miesięcy. Zastanawiałem się, skąd ta kobieta w ogóle bierze jedzenie. Pewnie Sandra z baru musi codziennie coś jej przynosić, a potem jeszcze radzić sobie z jej fochami, bo przecież to matka właścicielki i jeśli nie zasmakują jej ziemniaki, to ma święte prawo zbesztać pomoc kuchenną. Aż pożałowałem dziewczyny. Prawie tak bardzo, jak pożałowałem sam siebie.

Gdy po raz kolejny stawałem przed pokojem z numerem jeden, nie

było wcale lepiej. Znów spocily mi się dłonie, ale to nie stanowiło już niczego dziwnego; od kilku dni chodziłem potwornie zestresowany i praktycznie wszystko, co działo się dookoła, dawało mi dodatkowo popalić. Pod drzwiami tej staruszki skumulowały się chyba wszystkie moje lęki. To tutaj moja psychika zaczynała się na poważnie rozsypywać.

Pieprzyć to, muszę znaleźć Denatkę.

Zapukałem. Jeśli kobieta nie widziała dziewczyny, a najpewniej nie widziała, po prostu będę miał to z głowy. Ot, kolejny punkt do odhaczenia na liście.

Drzwi otworzyły się powoli. Tym razem wewnątrz było jasno; gdy skrzydło uchylało się, zauważyłem wyciekające z środka promienie światła, a potem...

– Ty głupia pizdo! – wyszeptałem przez ściśnięte gardło.

W drzwiach stał nie kto inny, jak Denatka, trzymająca w dłoni kieliszek z winem. Z początku czułem ogromną chęć, żeby wytrącić jej go z dłoni, ale powstrzymałem się resztką woli. Zamiast tego bezpardonowo wyciągnąłem dziewczynę na korytarz i zatrzasnąłem za nią drzwi.

– Co ty odpierdalasz? Wiesz, co ja tu przeżywam? Biegam po całym hotelu jak debil i prawie umieram ze strachu, a ty nie raczysz mi nic powiedzieć i walisz sobie wino z...? – Nie skończyłem, bo nie chciałem wyzywać starej kobiety od najgorszych.

– Tak, no i co? Będziesz mi teraz matkował?

– Tak, cholera, będę ci matkował. Mogłaś chociaż powiedzieć. Przecież to wszystko, co tutaj się dzieje... Denatka, tak się po prostu nie robi.

– No dobra, sorry, zapomniałam. Zostawiłam telefon na łóżku, żebyś nie myślał, że poszłam gdzieś daleko.

– No właśnie! Czy ty się urodziłaś dzisiaj? Myślałem, że...

– Że co?

– No właśnie, że nie wiem co! Przecież tu wszystko działa na opak. Zostawiasz telefon na łóżku i co to ma niby znaczyć? Może teleportowało cię gdzieś w śnieg, jak te okulary? Albo, nie wiem, leżysz gdzieś i zdychasz? Skąd miałem wiedzieć? Nie mogłaś chociaż...

„Napisać czegoś na kartce?” – Pewnie oboje pomyśleliśmy o tym samym.

– Przeprosiłam! Czego jeszcze chcesz? Mam ci obciągnąć na zgodę?

– Tak, przynajmniej byłyby z ciebie jakiś pożytek – wypaliłem, zanim zdążyłem pomyśleć o konsekwencjach.

Denatka wzięła głęboki oddech, szykując się do jakiejś ostrej riposty, ale zaraz zamiast tego wypuściła powietrze nosem, jak wściekły byk.

– Przesadziłeś – powiedziała powoli.

– Nie, to ty przesadziłaś. Najpierw przez ciebie prawie nie zginęliśmy w śniegu, a potem...

– A potem co, no?!

– A potem wyładowaliśmy tutaj, odcięci od świata jak jakieś zaszranie zwierzęta w klatkach. Moglibyśmy razem doczekać do roztopów, wspólnie to znieść, ale nie, ty po prostu musisz mnie przyprawiać o cholerny zawał serca!

– Moja wina, tak? Nikt ci nie kazał ze mną jechać! A może przykułam cię do siebie kajdankami? Sam chciałeś, to teraz nie zwalaj winy na mnie! Siedzisz w tym tak samo jak i ja.

– Dokładnie. Dlatego staram się coś zrobić, żebyśmy mogli się stąd wydostać.

– Na przykład rzucając komórkę w śnieg?

– Ja wcale nie...

– Albo wymyślając jakieś historyjki o duchach?

Teraz przegięła. Gdybyśmy nie stali na korytarzu, pod drzwiami tej starej hetery, byłbym się na nią wydarł najmocniej jak potrafię. Byłem wściekły. Powiedziałem jej prawdę, a przecież mogłem wszystko ukrywać. Potraktowałem jak dorosłego, rozsądnego człowieka. Może to był mój błąd.

– A okulary? Też sobie wymyśliłem?

– Może je po prostu zabrałeś? Chciałeś mnie nastraszyć? A ta kartka pod drzwiami?

– Co z nią? Że co, że to niby teraz moja robota? Powiedziałaś, że mi wierzysz – zaprotekowałem.

– Może wierzyłam ci wtedy.

– A teraz? Myślisz, że ja to wszystko zrobiłem, tak?

– Słuchaj, Tomek, a co ja mam sobie niby pomyśleć? Tu się nic nie składa w kupę.

– No właśnie! I dlatego powinniśmy, nie wiem, grać do jednej bramki, a nie odpierdalać takie krzywe akcje.

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, zanim mnie zwyzywałeś. Wiesz co? Chuj mnie to boli. Wracam do środka.

– Co to w ogóle za towarzystwo? Teraz się zadajesz z Szelobą?

– Z kim? – zapytała zdezorientowana.

– Pogadamy, jak przeczytasz więcej książek.

– Ehe, pokaż mi jeszcze, jaka jestem głupia, panie intelektualisto bez pracy, pieniędzy i dziewczyny.

Kolejny cios prosto w splot słoneczny. Zabolalo.

– Jak ci chodzi o panią Basię, to bardzo miła z niej kobieta – kontynuowała Natka – a do tego załatwiła wino. Może byś się załapał, gdybyś nie był takim pacanem. No to cześć. – Denatka odwróciła się, gotowa wracać do środka.

Wyrwałem jej kieliszek z winem i wypilem całość dwoma wielkimi łykami.

– Cześć i dzięki za wino – rzuciłem na odchodne.

– Frajer! – zawołała za mną.

Po powrocie do siebie wciąż byłem roztrzęsionym kłębkim nerwów. Za jakie grzechy los pokarał mnie takimi babami w życiu? Teraz Denatka, emocjonalnie i społecznie upośledzona, samolubna smarkuła, a wcześniej Magda, pieprzona blachara, która odwróciła się do mnie plecami, jak tylko powinna mi się noga.

Choć może nie powinienem być dla Magdy tak surowy. Tamta relacja to co innego, po prostu wyczerpaliśmy wszystkie ślepaki i w końcu musieliśmy zacząć strzelać naprawdę. Zraniliśmy się wiele razy i w gruncie rzeczy jej pretekst do rozstania nie był wcale taki banalny.

A co najgorsze, gdyby Magda – po zobaczeniu tego obrazka, po zobaczeniu, w jakiej znajduję się obecnie sytuacji – rzeczywiście postanowiła nazwać mnie niedojrzałym emocjonalnie chłopcem z umysłem licealisty, to miałyby całkowitą rację.

Teraz już zdawałem sobie z tego sprawę. Z własnej woli dałem się omotać Denatce, z własnej woli wsiadłem do pociągu i z własnej woli wylądowałem tutaj. Dlaczego? Czego oczekiwałem po tej wycieczce? Odkupienia? Odmiany? Uśmiechu losu, który na zawsze zaczerpuje moje życie jak we wzruszających komediach romantycznych?

Pieprzony idiota! Trzeba było jechać do domu, tam, gdzie jest moje naturalne, przyrodzone miejsce. U boku rodziców, jak przegryw, którym faktycznie jestem. Wydawało mi się, że mogę wziąć świat za rogi i zrobić coś szalonego, a wpadłem w jeszcze większe gówno niż zawsze.

Niech szlag trafi Denatkę, nie będę się więcej nią przejmować. Niech sobie robi, co chce. Od tej pory nie jesteśmy tu razem; jestem ja i jest ona, przypadkowo dzielący jeden pokój. Od razu przeszła mi ochota, żeby spędzać z nią noc. Przeszło mi też całe to głupawe zauroczenie, jakiego nabawiłem się po paru butelkach koncertowych szczochów.

Powiedziała, że mi wierzy, a teraz... No ale czego innego mogłem się spodziewać? Jak bardzo naiwnym trzeba być, aby mieć nadzieję, że obcy człowiek weźmie nasze słowa za pewnik?

– Taka jesteś mądra, smarkuło? Tak? – mruzczałem ze złością, kręcąc się po pokoju. – To gnij sobie tam. Ja nie potrzebuję twojego towarzystwa.

Kłótnia z nastolatką musiała mocno mnie wyczerpać, bo naraz poczułem się bardzo zmęczony. Tak zmęczony, że z ledwością udało mi się dojść do łóżka.

Przeklęty stres, myślałem, wsłuchując się we własny puls. Serce uderzało nierównomiernie, jak zawsze, gdy czegoś się przestraszyłem lub czymś się przesadnie przejąłem. Arytmię dostałem w spadku po

ojcu, on zaś dostał ją w spadku po swoim własnym. Jesteśmy rodzinie upośledzeni, całkiem jak Habsburgowie. Jeszcze kilka takich akcji, to tu wykituję.

To była moja ostatnia myśl, zanim sen bez reszty mnie pochłonął.

* * *

Nie wiem, jak długo spałem, ale gdy się obudziłem, słońce zaczynało już skrywać się za horyzontem. Dziwne, pomyślałem, świadom faktu, że w takim razie musiałem przespać blisko dwadzieścia godzin. Coś takiego nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło. Do tego lekko bolała mnie głowa, jakbym dzień wcześniej wypił nie jedną lampkę wina, ale co najmniej dwie butelki.

– Starość nie radość – wyplułem z siebie życiową mądrość, a potem wstałem z łóżka.

Spróbowałem znaleźć telefon, żeby sprawdzić, która jest godzina. Zaraz jednak przypomniało mi się, że przecież mój aparat utonął w zwałach śniegu. Rzuciłem okiem na łóżko Denatki – komórka leżała dokładnie w tym samym miejscu. Czyli wcale nie wracała na noc? Przespała się u swojej nowej koleżanki?

W ogóle mi to nie przeszkadzało. A proszę ja cię bardzo! Możesz tam siedzieć do usranej śmierci, a przynajmniej do czasu roztopów. Będę musiał pamiętać, żeby uciec stąd jak najszybciej, póki policja – lub ktokolwiek inny – nie zjawi się po nastoletnią uciekinierkę. Potem już nic nie będzie mnie to obchodziło.

Sprawdziłem godzinę na telefonie dziewczyny. Było grubo po szesnastej, z czego wynika, że faktycznie musiałem przespać blisko dobę. Popieprzona akcja. Gdy wstałem z łóżka, odnotowałem, że czuję się względnie dobrze. Żadnych typowych porannych zawrotów głowy, żadnego chronicznego zmęczenia i chęci, by po raz kolejny zakopać się w pościeli. Łeb bolał tylko trochę, ale za to nie łamało mnie w karku i nawet nos nie odezwał się typowym porannym katarem.

Potrzebowałem każdej z tych kilkunastu godzin snu. Wcześniej nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że mój organizm był tak bardzo wycieńczony i dopiero zestawienie wczorajszego samopoczucia z dzisiejszym dało mi jaśniejszy obraz sytuacji.

Na śniadanie zszedłem sam – wszak Denatka wciąż nie zamierzała się pokazać. Uśmiechnąłem się do barmanki Sandry, rzuciłem nawet jakimś wyjątkowym sucharem. Byłem w niecodziennie dobrym humorze, zamówiłem więc potężny zestaw śniadaniowy, na który składała się mocna kawa i talerz wędlin. Spalaszowałem posiłek ze smakiem, nie licząc może pewnego drobnego incydentu. W jednym z plastrów schabu znalazłem małą metalową kulkę, na której niemalże połamałem sobie ząb.

– Co to jest? – zapytałem dziewczyny za barem.

Sandra spojrzała na mnie dziwacznie, jakbym zadał najgłupsze pytanie na świecie i podrapała się po policzku.

– Śrut – oświadczyła. – Ludzie z miasta to chyba nie wiedzą, skąd się bierze dziczyzna, co? Dobre młode mięso. Nie ma co wybrzydzać. Czasem jakiś śrut się uchowa.

– No cóż... – faktycznie, nie przyszło mi to na myśl, ale też nigdy nie jadłem dziczyzny z prawdziwego zdarzenia – chyba masz rację, paskudny ze mnie mieszczuch. Drzewa to ja widziałem tylko w Google – zażartowałem, ale dziewczyna albo nie załapała dowcipu albo zignorowała go, po czym zniknęła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Tyle było z mojej porannej chęci na socjalizację.

Potem wrzuciłem na plecy kurtkę i wyszedłem zapalić przed hotel, żeby przy okazji inhalowania płuc trucizną złapać także trochę świeżego powietrza. Wszak byłem w Bieszczadach, więc wypadałoby, naprawdę wypadałoby wynieść z tego coś więcej niż traumę i zestaw problemów kardiologicznych. Po wypaleniu papierosa przespacerowałem się wokół budynku, od czasu do czasu zacierając marznące dłonie. Nie chciałem jeszcze wracać do środka i miałem ku temu kilka niezłych powodów.

Po głowie cały czas wierciła mi się myśl o tym, co będę musiał dziś zrobić – zajrzeć do pokoju numer dwa. Pewnie dziwicie się, że na tym etapie potrafiłem podejść do sprawy ze względny spokojem, że przeszedłem do porządku dziennego nad czymś tak skrajnie nienormalnym, jak duch dziecka namawiający mnie do złożenia mu wizyty.

No cóż, to faktycznie trochę popieprzone, ale chyba na tym właśnie polega bycie człowiekiem – na zdolności do adaptacji. Jeśli ktoś natrafia na takie okoliczności nagle, bez przygotowania, przeżywa szok, tak jak ja przeżywałem go za pierwszym i drugim razem. Po czasie jednak dociera do nas, że jeśli żyjemy w świecie z krzywego zwierciadła, gdzie wszystko jest pozbawione sensu, a każdy opór staje się bezcelowy, to prawdziwy problem leży w nas i w naszej psychice.

To podświadome działanie, ale nie umniejsza to jego skuteczności. Po tygodniu spędzonym w zamknięciu każde zwierzę przyzwyczaja się do klatki, którą od tej pory postrzegać będzie jak swoją bezpieczną przystań. Pewnie dlatego długoletni więźniowie nie potrafią oswoić się z ponownym życiem na wolności – bo pojmują swoje uwięzienie jako normalny stan rzeczy.

Potrzebowałem naprawdę długiego snu, żeby to zrozumieć.

Widzieliście pewnie setki takich obrazków albo nawet znacie je z własnego życia, czego jednak wam nie życzę. Bo to mało było takich przypadków?

Bity pies, który potem boi się najłżejszego nawet dotyku. Dziecko trzymane w piwnicy przez sadystycznego ojca-gwałciciela, które przez resztę życia będzie chować się w ciemnych pomieszczeniach, niezdolne do nawiązania jakiegokolwiek zdrowej relacji. Ludzie wychowywani ze zwierzętami, chodzący na czworaka, bo to jedyny wzorzec wychowawczy, który poznali.

Takich przykładów jest mnóstwo, każdy z nich bardziej absurdalny od poprzedniego. Nic dziwnego, że po blisko tygodniu spędzonym w tym miejscu, wziąłem opcjonalny dialog z duchem za coś relatywnie zwyczajnego, jak poranne mycie zębów. O ile oczywiście ma się szczoteczkę i pastę.

Zacząłem to wszystko postrzegać jako cykl, który po prostu musi dobiec końca. Jak w grach RPG. Masz do wykonania zadanie, bez którego fabuła nie posunie się dalej. Możesz przez resztę życia okrążyć rozwiązanie, orbitować wokół niego jak Ziemia wokół Słońca, ale jeśli nie postawisz ostatecznego kroku w kierunku swojego przeznaczenia, to – pomimo najszczerzych nawet chęci i największych starań – zupełnie nic się nie stanie. Przez kilka ostatnich dni ta idea dojrzewała w mojej głowie, a dziś rano obudziłem się o tym przekonany. Jeśli chcę wiedzieć, co tu się dzieje, muszę wejść do pokoju numer dwa. I muszę to zrobić dzisiaj.

Zimno mocno dało mi się we znaki, wróciłem więc do siebie, wcześniej zostawiając kolejne dwie stowy na recepcji. Pomimo tego że wyskakiwałem właśnie z ostatnich pieniędzy, uśmiechnąłem się do właścicielki, zagałem nawet jakimś żartem. Ostatecznie ta kobieta nie była przecież moim wrogiem i nie było sensu tak jej traktować. Wszyscy znaleźliśmy się w podobnie złej sytuacji przez załamanie pogody. To tyle. Trzeba jakoś przetrwać pod jednym dachem, a jeśli będziemy na siebie burczeć, stanie się to nieskończenie trudniejsze.

Właścicielka musiała zauważyć, że jestem w dobrym humorze, zapytała bowiem:

– I co tam? Zguba się znalazła?

– Tak, nic poważnego. Siostra czasem lubi zaleźć nam za skórę, to tyle – zapewniłem.

– To dobrze, bo już zaczynałam się martwić. Wie pan, te śniegi i tak dalej... Nie wydawało mi się, żeby miała wyjść, ten tego, na zewnątrz, ale gdyby się nie znalazła, musielibyśmy coś z tym robić.

Przez chwilę chciałem nawet jej powiedzieć, gdzie Denatka się znalazła i w jakich okolicznościach. Uznałem jednak, że historia o matce właścicielki upijającej moją nieletnią siostrę to nie jest coś, czego chciałyby słuchać. W najgorszym wypadku doprowadziłoby to do wybuchu kolejnej kłótni, a na to w ogóle nie miałem ani siły, ani ochoty. Nie mówiąc już o zdemaskowaniu całej tej maskarady z „rodzeństwem”.

Nawet jeśli Denatka nie uważała i robiła głupie rzeczy, ja wcale nie chciałem odpuszczać i rezygnować z najbardziej podstawowej ostrożności.

Na dalszą rozmowę nie miałem już ochoty, musiałem przygotować się do czegoś dużo ważniejszego.

CZĘŚĆ DRUGA
RZEŻ

ROZDZIAŁ VI

Podszedłem do drzwi z numerem dwa, zapukałem. Echo uderzeń niosło się po całym korytarzu. Bez odpowiedzi.

A co, jeśli to wszystko to po prostu taki żart? Żart, którego jestem jednocześnie sprawcą i ofiarą? Jakiś rodzaj psychicznej autoagresji albo autoeksperymentu, przeprowadzonego przed podświadomością na świadomości? Obiekcje i wątpliwości na zmianę opuszczały mnie i wracały. To było jak balansowanie na linie, jak spacer na ostrzu noża.

W jednej chwili przechylasz się w lewo i wydaje ci się, że duchy w pokoju obok to nic dziwnego, że już całkowicie nadażasz za każdą niespodziewaną rzeczą, a potem nagle przypominasz sobie o istnieniu czegoś takiego jak zdrowy rozsądek i myślisz „co ja tu, do diabła, właściwie robię?”. Dokładnie tak samo działa to w drugą stronę. Przechylasz się w prawo, na moment tracisz równowagę, jakiś element rzeczywistości przestaje być tym, czym jest zawsze, i wówczas gotów jesteś przysiąc, że przecież nie ma w tym absolutnie nic dziwnego.

Mózg wykonuje dobrą robotę, uzupełnia luki w rzeczywistości, dostosowuje siebie i swojego posiadacza do otaczającego świata. Wygładza tafłę rozumu, naprawia pęknięcia na ekranie, żeby obraz zawsze był krystalicznie czysty. Gdy tylko pojawią się rysy, jakieś zakłócenia na drodze oko-mózg, ten ostatni natychmiast bierze się do pracy. Dzięki temu możemy w ogóle egzystować, ale możemy też wpaść w pułapkę, z której nie sposób potem się wydostać.

Zapukałem ponownie i przekręciłem gałkę w drzwiach. Były otwarte.

Wnętrze tego pokoju nie różniło się od naszego prawie wcale. Niezgodność stanowiły chyba jedynie stopień zabrudzenia, jak i to, że wstawiono tu łóżce małżeńskie zamiast dwóch łóżek jednoosobowych. Rozejrzałem się, szukając... kogoś? Czegoś? Postąpiłem kilka kroków w kierunku środka pomieszczenia. Pusto. Pokój był niezamieszkały, o czym świadczył chociażby fakt, że warstwa kurzu na meblach pozostawała gruba i zupełnie nienaruszona.

Dałem się zrobić w balona, ale komu? Swojemu własnemu mózgowi, czy może jednak tajemniczemu widmu chłopca?

Nagle usłyszałem za sobą świst powietrza. Odwróciłem się błyskawicznie, tylko po to, żeby dostrzec, że drzwi wejściowe do pokoju właśnie zatrzasnęły się, wydając głuchy łoskot.

Przecież... nigdy nie zamykały się tak szybko. Miały spowalniającą hydraulikę, co zauważyłem już wielokrotnie. Dopadłem do drzwi, próbując je otworzyć – bezskutecznie. Ani drgnęły, zupełnie jakby we wszystkie szpary i zawiasy ktoś poupychał betonową zaprawę. Zostałem uwięziony!

W panice rozejrzałem się, podbiegłem do okna. Warstwa śniegu była wysoka i zawsze mogłem zaryzykować skok. Spróbowałem otworzyć skrzydło, klamka była jednak zablokowana, zupełnie tak samo jak ta w drzwiach. Jakby zacementowana lub... zamrożona. Nagle bowiem dotarło do mnie, że w pokoju jest przeraźliwie zimno. Gdy oddychałem – coraz szybciej i szybciej – przed moimi ustami materializowała się potężna chmura pary.

Musiało tu być kilkanaście stopni na minusie, może nawet zimniej niż na zewnątrz. Nie miałem więc czasu do stracenia, trzeba było uciekać, nawet jeśli kosztem wybitego okna. W przeciwnym razie zamrznę tu, ubrany zaledwie w cienki sweter. Ruszyłem ku krześłu, by przy jego pomocy wydostać się z pokoju, ale krzesło to... było zajęte.

W tym momencie mógłbym równie dobrze rozpuścić się, rozplynać i wsiąknąć w dywan albo rozsypać jak udający człowieka pomnik z piasku. Przestać istnieć. Usłyszałem – a może tylko tak mi się wydawało – że coś pod moją czaszką zaklikało, wydało dźwięk jak przy włączaniu lub wyłączaniu światła. Wraz z tym dźwiękiem to coś wewnątrz mojej głowy zmieniło położenie, przestawiło się, weszło na inne tory rozumowania. Wyłączyłem tryb *normalność* i wszedłem w tryb *absolutne popierdolenie*. Bo przecież jeszcze przed chwilą jej tu nie było! Przecież człowiek siedzący na krześle to nie szpilka w stogu siana, którą można przeoczyć. Nie było jej tutaj!

Na krześle siedziała bowiem blada kobieta, na oko trzydziestoletnia. Ubrana w tę samą letnią suknię, którą widziałem na niej wcześniej, a która nijak nie pasowała do temperatury w pomieszczeniu i aury za oknem. Patrzyła na mnie z uprzejmą ciekawością, całkiem jak gdybym był muzealnym eksponatem albo rzadkim gatunkiem zwierzęcia zamkniętym w klatce, ale... przecież byłem zamknięty w klatce, czyż nie?

Kobieta miała wysokie czoło, szeroką twarz i spojrzenie zupełnie jak panująca wewnątrz temperatura – lodowate. Emanowała z niej absolutna pewność siebie. Mógłbym przysiąc, że wyglądała jak... Mona Lisa, tyle że inna niż włoski oryginał; bezlitosna, chłodniejsza, zdystansowana i gotowa na wszystko.

Gapilem się na nią, stojąc na środku pokoju niczym przysłowiowy słupek soli, choć do okoliczności bardziej pasowałoby: sople lodu. Czułem, że krew w moich żyłach to zwalnia, to znowu przyśpiesza, a przełyk na zmianę zaciska się i rozluźnia, zaś słowa próbują wydobyć się z gardła wrzaskiem – tylko po to, żeby zaraz zamrzeć, zduszone łękiem.

Nie byłem pewien, czy dziwna kobieta oczekuje ode mnie, abym odezwał się pierwszy, czy też zwyczajnie rozkoszuje się moim przerażeniem. Na jej twarzy nie dostrzegłem jednak ani śladu satysfakcji, jedynie perfekcyjną obojętność właściwą człowiekowi, który

widział już wszystko, który w swoim życiu oglądał najbardziej przerażające zbrodnie i krzywdy.

Czy jednak istota siedząca na niepozornym drewnianym krześle w ogóle była człowiekiem? Czy gdybym w szaleńczym afekcie zerwał się do skoku i rzucił na nią, to poczułbym dotyk gładkiej skóry, czy też może raczej przeleciałbym przez półmaterialną, chłodną substancję? Jej *ciało*, pokryte delikatną białą poświatą, sugerowało raczej to drugie.

Nie zamierzałem zresztą sprawdzać. *Zamiar* to słowo, które pasuje do innych okoliczności. Gdy stałem wówczas przed tym dziwnym kobiecym widmem, pozbawiony zostałem wszelkich, najbardziej elementarnych nawet zamiarów; już tylko fizjologia w swojej najprostszej formie i adrenalina buzująca w organizmie.

Czekałem na jakiś jej ruch lub słowo, czekałem długo, nie mogłem jednak trwać tak w nieskończoność. Wkrótce nie wytrzymałem napięcia, rozprężyłem się, osłabłem na ciele i umyśle. Niepewność może złamać nawet najtwardszych, a ja przecież nie byłem szczególnie mocnym zawodnikiem.

– C-czego ode mnie chcesz? K-kim jesteś? – wydusiłem z siebie, opadając na łóżko jak ludzka wydmuszka. Usiadłem na brzegu, rękoma zaparłem się o policzki.

Edward Munch, *Krzyk*.

– Dawid powiedział mi, że chcesz ze mną rozmawiać – kontynuowałem – a j-ja chcę stąd odejść. Chcę wyjść z tego hotelu i nigdy nie wracać. Dlaczego nie da się opuścić tego miejsca? Czy to wy mnie tu trzymacie? Jeśli t-tak, to...

To co? Co mogłem tak naprawdę zrobić? Zagrozić jej? Zacząć błagać? Krzyczeć i tupać nogami jak przerażony zając, do którego coraz bardziej zacząłem się upodabniać. Nie wiedziałem, co więcej mógłbym powiedzieć. Mój głos i tak wyłączył się samoistnie, a gardło zaskrzeczało i wyrzuciło z siebie obłok pary.

– Nie musisz się mnie bać, nie zrobię ci krzywdy – powiedziała cicho kobieta.

Właściwie, to *nie powiedziała*. Nie zauważyłem, aby poruszała ustami. Treść po prostu pojawiła się w mojej głowie, jak myśl, jak przeczytana w książce obco brzmiąca, artykułowana cudzym głosem kwestia dialogowa. Niemniej głos ten był zupełnie inny, niż sobie go wcześniej wyobrażałem. Miły dla ucha, aksamitny, jakże nie pasujący do lodowatego wizerunku istoty.

To był tembr czulej opiekunki, matki martwiącej się o los swojego dziecka, ale jednocześnie dało się w nim wyczuć niewysłowione wręcz pokłady smutku i melancholii.

Gdy tylko go usłyszałem, moje ciało rozluźniło się, kark i ramiona przestały kłuć milionem małych igieł. I choć wbrew sugestii widma nie

przestawałem się bać – jak bowiem miałbym! – to strach złagodniał, schował kły, przestał być paniką i zamienił się w wątpliwość i bierne oczekiwanie.

– O co tu chodzi? – zapytałem.

– Nasze wspólne nieszczęście. – Kobieta-widmo wstała z krzesła i poczęła spacerować po pokoju, nie wydając przy tym żadnego, najłżejszego nawet dźwięku. Przemieszczała się z lekkością pchanego wiatrem babiego lata. Czy wspomniałem o jej włosach? Czarne i długie, ciągnęły się za nią jak peleryna z cienia. Była piękna, lecz nie pięknem kobiety, której można pożądać; raczej pięknem dzikiego i niebezpiecznego zwierzęcia, przed którym należy mieć się na baczności.

Dlatego nie spuszczałem z niej spojrzenia, czujny i uważny jak kot. Mimo zapewnień, że nic mi z jej strony nie grozi, jakoś nie bardzo potrafiłem w to uwierzyć.

– Czy to ty nie pozwoliłaś nam wydostać się hotelu? – Włożyłem w to pytanie całą stanowczość i butność, na jaką było mnie stać. – To ty podrzuciłaś okulary?

Matka Dawida zachichotała nerwowo.

– Może. – Głos rozlał się w mojej głowie ciepłą plamą.

– D-dlaczego?

– A może nie...

Widmo przystało przed oknem. W tym właśnie momencie szyba pokryła się siatką lodowych malunków, pajęczyną mrozu. W kobiecie od początku było coś głęboko smutnego, ale teraz posmutniała jeszcze bardziej. Jakby moje pytanie poruszyło jakąś delikatną, wewnętrzną strunę. Dało się to wyczuć w powietrzu, które zafalowało niespokojnie.

– Nie wiem – powiedziała w końcu, po długim namyśle. – To nie jest wcale takie proste. Większość rzeczy jest raczej trudna. Im więcej mija czasu.

– Czasu? Jakiegoś czasu?

– Słowa nie pomagają.

To był bez wątpienia najdziwniejszy dialog, jaki prowadziłem w życiu. Miałem wrażenie, że kobieta – choć stara się odpowiadać na moje pytania – odpowiada na zupełnie inne. Trochę tak, jakbyśmy wysyłali w eter sygnał radiowy, który po drodze przechodzi poważną modyfikację i trafia do odbiorcy w zmienionej, absurdalnej formie. I gdy tak patrzyłem na nią w niezrozumieniu, dotarło do mnie, że ona czuć musi to samo. O ile oczywiście czuła cokolwiek.

– Słowa nie pomagają – powtórzyła ze smutkiem, a potem przywołała mnie skinieniem dłoni.

Wstałem, aczkolwiek z pewnym oporem. Zbliżałem się do niej powoli i ostrożnie, jak do dzikiego zwierzęcia, które staram się oswoić. Stałem blisko, bardzo blisko, na tyle blisko, że czułem bijący od niej

nadnaturalny chłód. Zjawa pokazała palcem szybę i malujące się na niej pióropusze mrozu.

– Patrz – powiedziała. – Z bliska.

Spojrzałem na urzekające fraktale ze szronu. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział coś piękniejszego. Zagłębiłem się w świat śnieżnych gałęzi i kwiatów, które mieniły się tysiącami kształtów, milionami rozbłysków. Na dole szyby wyrastały lodowe paprocie, wyżej zaś las rozkwitał feerią zamarzniętych klonów i dębów. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, czubkiem nosa niemalże dotykając okna. Lodowa płaskorzeźba nagle poruszyła się. Nieistniejący wiatr porwał liście z lodu, poruszył glacialnymi gałęziami, trzepotał zgrabiętymi łądogami paproci, które szumiały ledwie słyszalnym szeptem.

Pokażę ci – mówiły. Chodź ze mną.

Poszedłem.

* * *

Pokój rozmazał się, a potem zniknął, podobnie jak okienna szyba. Nie było już malunków z mrozu, tylko prawdziwy las. Znow stałem po kolana w śniegu, targany silnym wiatrem. Rozejrzałem się. Jak okiem sięgnąć, gdziekolwiek nie spojrzeć, jedynie biały dywan śniegu i wyrastające z niego szpony ogołoconych z liści drzew.

Coś usłyszałem. Czyjeś kroki lub głos, a może obie rzeczy naraz.

– Halo – zawołałem – jest tu kto?! – Nie doczekałem jednak żadnej odpowiedzi.

Po chwili okazało się, że faktycznie mam towarzystwo. Przez śnieg przedzierały się trzy osoby. Kobieta i mężczyzna trzymający na rękach dziecko. Od razu rozpoznałem matkę Dawida, której blada, przemarznięta twarz wyrażała niewiarygodne udrczenie. Ruszyłem w ich kierunku, biegiem, rozrzucając wokół siebie tumany śniegu. Żadne z nich nie zwróciło jednak na mnie uwagi.

Przebiegłem obok, machając rękami i wydzierając się w niebogłosy niczym wariat.

– Gdzie jesteście?! Co tu się dzieje?! – krzyczałem bezskutecznie.

Oni jednak minęli mnie, jakbym był powietrzem, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

A więc to tak – pomyślałem. Teraz to ja jestem widmem.

Nie przeraziło mnie to nawet w połowie tak bardzo, jakby mogło. Wziąłem to za pewnik, gdzieś w głębi duszy wiedząc, że pomimo wszystko jestem tu bezpieczny. Nie czułem nawet zimna, czego nie można było powiedzieć o trójce podróźnych.

Kobieta trzęsa się jak osika, próbując zatrzymać odrobinę ciepła, otuliła dłońmi wątłe ramiona. Mężczyzna z kolei wyglądał na zupełnie wyczerpanego. Gdy spojrzałem w dół, dostrzegłem, że zostawia za sobą

plamy krwi. Na nodze miał paskudne rozdarcie, nogawka jego spodni była dosłownie w strzępach. Dostrzegłem charakterystyczny kształt rany pozostawionej przez myśliwski potrzask.

Facet mocno kulał, z trudem pokonując kolejne metry. Nie mógł jednak postawić Dawida na ziemi, bo chłopiec był nieprzytomny. Zresztą nawet gdyby był przytomny, głową sięgałby co najwyżej parę centymetrów ponad śnieg.

Szliśmy tak przez kilkanaście, może kilkadziesiąt minut. Wyczerpana rodzina przodem, a ja za nimi niczym cień. W końcu mężczyzna nie wytrzymał. Na moment przed upadkiem położył chłopca na śniegu, po czym runął w zaspę. Kobieta krzyczała dziko, wzywała pomocy i rozpaczała, ale wszystko to było dla mnie bezgłośnie. Oglądałem jedynie przerażającą pantomimę niemego bólu.

Matka Dawida nachyliła się nad mężczyznę, zbliżyła twarz do jego twarzy. Rozmawiali o czymś, nie było mi jednak dane dowiedzieć się, jakie słowa padają z ich ust. Nie musiałem tego wiedzieć; doskonale zdawałem sobie sprawę, że to pożegnanie. Kobieta obsypała swojego męża kaskadą pocałunków, ale on już zdawał się tego rejestrować. Odpływał w błogi niebyt.

To była smutna scena. Gdy na twarzy kobiety zalśniły łzy i w rozpacz zaczęła pięściami okładać leżące w śniegu ciało, dyskretnie odwróciłem wzrok. Nie chciałem tego widzieć. Nie chciałem w tym uczestniczyć. Wiedziałem jednak, że zaraz będzie musiała go zostawić. Miała do uratowania jeszcze jedno życie. Nie myliłem się.

Gdy po chwili ponownie spojrzałem w ich kierunku, zauważyłem, że kobieta przerzuciła sobie chłopca przez ramię i ruszyła dalej. Musiała zrobić to, co na jej miejscu zrobiłaby każda matka. Iść przed siebie do utraty tchu, dopóki mięśnie nie odmówią jej posłuszeństwa, dopóki płuca nie zapadną się pod przekraczającym ludzką wytrzymałość wysiłkiem.

Przechodząc obok leżącego w śniegu mężczyzny spojrzałem na jego twarz. Oczy miał otwarte, szkliste. Co rusz na jego powiekach lądował płatek śniegu i natychmiast się rozpuszczał. Człowiek ten jednak już nie reagował. Był martwy. I tylko roztapiający się na twarzy śnieg tworzył iluzję życia, zamieniając się w skapujące po policzkach udawane łzy.

Nasz dalszy marsz nie trwał zbyt długo. Dostrzegłem przed sobą znajomy widok. Wyrastający ze śniegu dwupiętrowy budynek, którego miałem nadzieję nigdy już nie zobaczyć. Pensjonat „Czarna Polana” wyglądał identycznie, jak tamtego pamiętnego dnia, gdy sam trafiłem w jego progi. Kobieta przede mną też już go zauważyła, pognęła w kierunku hotelu na złamanie karku. Krzyczała coś, najpewniej wzywając pomocy. Podążyłem za nią. Gdy dotarliśmy na schody, nie bawiła się w używanie dzwonka. Wtargnęła do środka niczym bandyta,

przebrnęła przez przedpokój z synem na ramionach. Dopadła recepcji, poczęła gorączkowo walić w ustawiony tam dzwonek, krzyczeć, szaleć po wnętrzu jak przerażone do granic możliwości zwierzę.

Po chwili schodami zeszła znajoma mi już osoba. Właścicielka pensjonatu z niedowierzaniem przyglądała się scenie. Próbowwała uspokoić matkę Dawida, ale z równym prawdopodobieństwem mogłaby próbować zatrzymać pędzący pociąg. Ta druga co rusz pokazywała za okno, a z jej ust wyczytałem, że chodzi o pozostawionego tam męża. „Pomocy”, „tam”, „prędko” – mówiła, trzęsąc się z zimna. Miała na sobie tylko dzinsy i cienką wiatrówkę.

W mózgu właścicielki jakby coś w końcu zaskoczyło. Poczłapała, jak na swoje możliwości całkiem szybko, w kierunku schodów, oparła się o futrynę i zaczęła kogoś nawoływać. Tak mi się przynajmniej zdawało, bo przecież nie mogłem usłyszeć żadnego dźwięku. Po chwili okazało się, że miałem rację; po schodach zszedł starszy mężczyzna, którego do tej pory nie miałem okazji zauważyć. Przypomniało mi się, że recepcjonistka wspomniała kiedyś coś o swoim mężu, to musiał być on. Facet wyglądał jak dokładne przeciwieństwo żony. Wysoki, przeraźliwie chudy, ze skórą opinającą się na kościach jak lateksowy kostium. Był praktycznie łysy, nie licząc strzępków włosów powyżej uszu, upodabniających go do antropomorficznego rysia. W dłoniach trzymał dwie stare metalowe latarki.

Chłopca położyli na stojącej w rogu kanapie i przykryli warstwą koców, a potem mąż recepcjonistki wraz z matką Dawida wyszli na zewnątrz. Nie mogli wiedzieć tego, co ja już wiedziałem: że ojciec Dawida jest absolutnie, bezapelacyjnie martwy. Postanowiłem nie iść za nimi, bo nie chciałem ponownie przeżywać dramatu kobiety, która właśnie straciła swoją drugą połówkę. Wolałem zostać tu, w cieple, a raczej *cieple*, jak już bowiem wspomniałem, nie odczuwałem żadnej różnicy temperatur.

Stałem nad Dawidem, patrząc się na jego posiniałą twarz. Na szczęście chłopiec oddychał i nie zanosilo się na to, żeby miał przestać. Po chwili odnotowałem też, że wracają mu kolory. Wtem recepcjonistka ruszyła w kierunku baru. Podążyłem za nią, tylko po to, aby zatrzymać się tuż przy oknie. Kobieta wyglądała, sprawdzając jak daleko znajduje się misja ratunkowa. Przylepiłem się do szyby obok niej, tak że staliśmy praktycznie twarzą w twarz. Gdybym chciał, mógłbym policzyć piegi na jej nalanej twarzy, ale ona – podobnie jak inni w tej dziwnej wizji lub śnie – nie zauważała mojej obecności.

Za oknem widziałem, jak światła latarek znikają w oddali. Musiało minąć jeszcze kilka długich minut, zanim para poszukiwaczy dotrze do leżących w śniegu zwłok.

Wtem potężna kobieta nadzwyczaj zwinnie odskoczyła od okna i

popędziła w kierunku recepcji. Ja oczywiście podążyłem za nią, zdziwiony tym nagłym porywem. Właścicielka „Czarnej Polany” przystanąła nad śpiącym, wyziębionym dzieckiem, zagryzła wargi, jakby rozwiązywała w pamięci trudne matematyczne działanie, a potem...

Sięgnęła po leżącą na kanapie niewielką poduszkę i przycisnęła ją do twarzy chłopca.

– Co ty robisz! Zostaw go! – wykrzyknąłem odruchowo, choć przecież nie mogła mnie usłyszeć.

Ruszyłem na nią, zdecydowany powstrzymać próbę morderstwa, ale gdy postanowiłem użyć siły, moje niematerialne dłonie po prostu przeniknęły przez jej ciało. Nie miałem żadnych szans na zatrzymanie jej, mogłem jedynie w przerażeniu patrzeć, jak napiera ciężarem całego ciała, odcinając dopływ powietrza swojej ofierze.

Z początku nic się nie działo, jednak po kilkunastu sekundach chłopiec zaczął drgać, szamotać się, szarpać brzegi duszącego go jaśka; bez skutku, bo nawet gdyby był w pełni sił, nijak nie mógłby odeprzeć parcia gigantycznego cielska. W końcu jego ręce opadły, pozostawiając jedynie małe wgłębienia w fakturze poduszki, która i tak zaraz powróciła do pierwotnego kształtu.

Stałem zaszokowany, nie wiedząc, co mam zrobić. Obserwowałem, jak właścicielka pensjonatu podnosi się, otrzepuje jasiek i kładzie go na swoje miejsce, jak gdyby nigdy nic. Pozbawionym jakichkolwiek emocji wzrokiem przyglądała się leżącemu na kanapie zwłokom dzieciaka, jakby chciała zapamiętać, utrwalić na wieczność ten obraz. W jej spokoju czaiło się coś głęboko nieludzkiego, potwornego. Gdyby była zwykłym człowiekiem, musiałaby jakkolwiek zareagować na dokonane przed chwilą morderstwo. Roześmiać się, zapłakać, złapać za głowę, spanikować; po czymś takim po prostu musi pojawić się reakcja będąca efektem wstrząsu.

Właścicielka stała jednak zupełnie nieruchomo, jakby nie docierało do niej, co zrobiła przed chwilą. Patrzyła na zamordowane dziecko tak, jak patrzeć można na sufit w sypialni – z całkowitą obojętnością, wręcz znudzeniem.

A potem wróciła za ladę, pociągnęła łyk (zapewne już zimnej) kawy z kubka i oddała się sprawdzaniu dokumentacji.

– Co to, kurwa, jest? – zapytałem sam siebie na głos. – Kto jest w stanie zrobić coś takiego?

Nie było jednak nikogo, kto mógłby udzielić mi odpowiedzi. Tylko morderczyni, leniwie przerzucająca karty księgi gości, od czasu do czasu śliniąca palec w nieświadomym geście. Ona jednak nie mogła mnie nawet zobaczyć.

Nie wiem, ile trwało moje dalsze oczekiwanie na rozwój wypadków. Pół godziny? Godzinę? Czas tutaj zdawał się płynąć inaczej. Wkrótce

jednak dwuosobowa wyprawa ratunkowa wróciła do hotelu. Kobieta była zapłakana i jeszcze bardziej blada niż wcześniej. Z kolei mąż właścicielki nie wyrażał żadnych emocji. Stanął po prostu w progu i powoli pokręcił głową, co mogło oznaczać tylko jedną, dla mnie od dawna oczywistą już ewentualność – nie udało się go uratować. Facet był martwy. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

Zagubiona turystka uklękła przy swoim dziecku, szlochając i ścierając łzy z twarzy. Nagle zatrzymała się, przestała reagować, zamarła w pół ruchu jak bohaterowie filmów po wciśnięciu przycisku pauzy. Spojrzałem w jej rozszerzające się w bezbrzeżnej trwodze źrenice. Niemy krzyk wypełnił całe pomieszczenie. Zrozumiała, że jej syn również nie żyje.

Wówczas stojący pod drzwiami mężczyzna jednym susem – był zadziwiająco sprawny jak na swój wiek – doskoczył do klęczącej kobiety, złapał ją za głowę i sprawnym ruchem skrzył jej kark. Zwłoki matki upadły na zwłoki dziecka.

– O Jezu... – wyszeptalem, zasłaniając usta dłońmi.

Spojrzałem na otyłą kobietę za ladą recepcji. Nie podniosła nawet wzroku znad swojej lektury.

* * *

– Nie, nie, nie! N-nie! Nie...! – krzyczałem, leżąc na łóżku.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jestem w stanie usłyszeć szum wiatru za oknem i dźwięki wydawane przez pościel, na której wiłem się jak w agonii. Znów byłem w swoim prawdziwym ciele i korzystając z tego faktu, zerwałem się na równe nogi.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobili? – pytałem, wpatrując się w stojącą przy oknie, eteryczną postać kobiety, którą przed chwilą zamordowano na moich oczach. – Czy to prawda? Czy to w ogóle prawda? Powiedz mi! Muszę... Muszę wiedzieć!

Zamiast odpowiedzi czekało mnie tylko wzruszenie ramion, zimna obojętność widma, które od dawna już nie posiadało ciała i właściwych mu emocji.

– Czego ode mnie chcesz? Teraz już możesz mi powiedzieć, tak? Możesz mnie już wypuścić? – Strzelałem pytaniami jak z karabinu. Adrenalina buzowała mi w żyłach, przez co świat wokół znacznie zwolnił.

Potrzebowałem jakichkolwiek faktów; już, teraz, natychmiast. A jeszcze bardziej potrzebowałem możliwości ucieczki. Po czymś takim nie zostaną tu nawet przez godzinę dłużej, choćbym miał brodzić przez śnieg aż do śmierci. Tam byłaby to śmierć na własnych warunkach, a tutaj...

Modliłem się, żeby nie było to prawdą, żeby to wszystko okazało się

po prostu złym snem. Chciałbym się teraz obudzić i znaleźć we własnym łóżku, na dzień przed wyjazdem. Pójść do pracy z obolałym kręgosłupem i przerzucić wszystkie butelki w magazynie, nawet gdybym musiał to zrobić sam. Przeprasić za wszystko Magdę i zrobić co w mojej mocy, żeby ten związek nie rozpadł się, tym samym sprowadzając na mnie przekleństwo.

Otwierałem oczy z całej siły, biłem się i szczypałem po ciele, ale sen wcale nie chciał odejść. Bo to nie był sen, tylko jego jedyna i najgorsza jednocześnie alternatywa: rzeczywistość. Zaszłochałem i przetarłem oczy, które nagle stały się bardzo wilgotne.

– Po prostu powiedz mi, czy to jest prawda – zwróciłem się do bladej kobiety.

Z całego serca pragnąłem, żeby ten koszmar już się skończył, ale w tym celu potrzebowałem jakiegoś dogmatu, pewnika, aksjomatu.

– Zabili nas, uwięzili nas tu na lata. To jedyna prawda, jaką mam – wyszeptwała zjawa. – Nie pozwolę im stąd odejść, nigdy, ale oni nie pozwalają odejść mi.

Poczułem, że zaraz zwymiotuję. Resztką woli spróbowałem się uspokoić, powstrzymać napływ gorzkiego, palącego płynu, który chciał wyrwać się z mojego gardła.

– A ja? Czy j-ja mogę stąd odejść? Czy mogę stąd u-uciec? – Zaszczękałem zębami. W pokoju było niesamowicie zimno.

Stojąca przy oknie postać zwróciła swoje lodowe oblicze w moim kierunku, spojrzała mi głęboko w oczy; wypełniła sobą cały wszechświat. W tym momencie nie istniało dla mnie nic innego. Czarny klawisz pianina, pomyślałem.

– Znajdź nas – powiedziała zjawa silnym, głębokim, wgryzającym się prosto w świadomość głosem. Był jak litery wypalane rozżarzoną żelazną prętą na moich zwojach mózgowych. – Znajdź nas i uwolnij. Pochowaj nas. Wtedy będziesz mógł odejść. Wtedy wszyscy będziemy mogli odejść. Nie wcześniej.

– Jak? Ja nawet...

– Nie wcześniej – ucięła tembrem ostrym jak skalpel. – A teraz odejdz.

Na galaretowatych nogach cofnąłem się w kierunku drzwi, nie spuszczaając z niej oczu. Stała przy parapecie, wodząc spojrzeniem po bezkresnej śnieżnej równinie za oknem.

Złapałem za gałkę, przekręciłem ją – ustąpiła. Drzwi stanęły otworem.

– I jeszcze jedno – wyszeptwała. – Przestań nas jeść.

* * *

Horror, którego ludzka jaźń nie jest w stanie pojąć.

Odbijałem się od ścian jak w pijackim amoku. Czepiałem się ich

pazurami, by nie stracić oparcia. Szarpałem tapety, ryłem połamanymi pazurami tynk. Z moich ust dobiegał jedynie cichy skowyt, przejaw najczystszej, najbardziej pierwotnej paniki.

Przestań nas jeść.

Nie zliczę, ile razy zwymiotowałem, próbując dostać się do pokoju piętro wyżej. Co rusz zostawiałem na stopniach plamy z nadtrawionego jedzenia i z krwi sączącej się z podrażnionego przełyku. W ustach czułem jedynie żółć i słony posmak metalu, który raz za razem podrywał mnie do kolejnych torsji.

Przestań nas jeść.

Wiedziałem już, że to nie były omamy ani halucynacje obłąkanego umysłu. Wszystko powskakiwało na swoje miejsce. Cały bezsens ostatnich kilku dni nagle znalazł swoje logiczne wytłumaczenie. Rzeczy zaczęły do siebie pasować jak odpowiedni klucz do właściwego zamka.

Przestań nas jeść.

Pierwsza noc tutaj i gruby, czarny włos znaleziony w pieczeni. Dziwny smak mięsa, które wydawało się być łykowate i niedopieczone. Potem szynka Denatki, uskarżającej się na zły posmak. Czarna kulka z dziurką w środku, znaleziona w kawałku schabu.

CZARNA KULKA Z DZIURKĄ ZNALEZIONA W KAWAŁKU SCHABU!

Dobre młode mięso, nie ma co wybrzydzać.

Czarna kulka z dziurką – już gdzieś ją widziałem. Mózg podsunął mi przerażający obraz, którego obawiałem się najbardziej na świecie. Denatka pokazująca język. Pieprzona alternatywka, pomyślałem wówczas. Kolczyk w języku, dokładnie taki sam, jak...

To nie może być prawdą, błagam, niech to nie będzie prawdą.

Na czworaka wspinałem się po schodach, cały obrzygany, zwariowany, roztrzęsiony na tyle, że szczękającymi zębami raz po raz gryzłem się po wargach. Nie szkodzi, nie szkodzi, panie Tomku. Już parę razy zasmakował pan ludzkiego mięsa. Kanibalizm i autokanibalizm; czy to aż taka różnica?

Modliłem się do każdego dowolnego bóstwa z prośbą o cud lub o śmierć, jeśli cud nie nastąpi. Byleby tylko Denatka czekała w pokoju, Boże, oddałbym wszystko, mogąc ją zobaczyć leżącą na łożku.

Przypomniała mi się jej wystająca spod pościeli łydka. *Dobre młode mięsko*. Kolejny raz wyrzygałem się na podłogę, na spodnie, na buty. Pełzłem we własnym bełcie, byleby tylko znaleźć się w pokoju, w mojej bezpiecznej przystani. Byleby tylko zobaczyć Denatkę.

Do środka wpadłem z dzikim rykiem na ustach, rozszalałymi ze strachu oczami szukając Natalii. Wewnątrz nie było jednak nikogo oprócz mnie.

– Neeee, nieeee! – zawyłem, bijąc pięściami w ścianę, na której zostawały krwawe plamy z roztrzaskanej na kncykach skóry.

* * *

Przesiedziałem pod drzwiami kilka dobrych godzin, powoli przechodząc ze stanu absolutnej paniki do stanu zimnej katatonii. Jakoś udało mi się powstrzymać wymioty, a gdy w przerwach pomiędzy szlochaniem znajdowałem w sobie nieco siły, szedłem napić się wody z kranu i wracałem do pierwotnej pozycji, którą uznałem za jedyną bezpieczną. Siedząc pod drzwiami, miałem pewność, że nikt niepostrzeżenie nie dostanie się do środka.

Od czasu do czasu wstawałem i omiatałem wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu Denatki, jakby dziewczyna miała nagle wyskoczyć z szafy jak głowa klauna na sprężynce. Nic z tego. Jedynym dowodem jej niedawnej tutaj obecności była leżąca na łóżku komórka. Najsmutniejszy widok świata.

To w sumie ciekawe, myślałem, że technologia stawia nas w takiej sytuacji. Ktoś zostawia po sobie smarftona, nowoczesny model z dostępem do wszystkich portali społecznościowych, sklepów i aplikacji. Zostawia po sobie pudełko, będące zapisem wszystkich jego życiowych decyzji, wszystkich wyborów, preferencji.

To pudełko „wie”, co dany człowiek lubił, wie, co jadał i pijał, wie, gdzie jadał i pijał. Zna jego styl mówienia i styl pisania, w końcu przez długie miesiące lub lata samo podpowiadało, w jaki sposób składać zdania w całość. Są w nim zdjęcia trupa, filmy z jego udziałem. Są personalizujące aplikacje i dziennik aktywności na Facebooku, sięgający lata wstecz. Ludzie biorą swoje telefony do pracy, na spacer, na imprezy, do łóżka i do sracza. Nie istnieją żadne doskonalsze zapisy ludzkiej osobowości niż te małe pudełka, które codziennie nosimy ze sobą w kieszeniach lub torebkach.

Gdy człowiek umiera, chowamy go w ziemi i stawiamy pomnik, a potem, by pamiętać, przynosimy ze sobą znicze na grób. Jakże to głupie, jakże to absurdatne i prymitywne w sytuacji, gdy mamy obok siebie mózgi naszych bliskich zamknięte w krzemowych procesorach! Powinniśmy oprawiać je w ramy ze szkła i wieszać na ścianach, tak jak Celtowie wieszali głowy swoich zmarłych.

Powoli układałem sobie we łbie wszystko, co teraz będę musiał zrobić. Z początku nie potrafiłem zebrać myśli, lecz w końcu udało mi się wyłączyć rozpacz i skupić na tym, co konieczne. Mój ojciec mawiał, że w chwili słabości facet musi wziąć się w garść. Na rozpaczanie przyjdzie czas później. Miał rację. Powoli zaczęły docierać do mnie implikacje, które w innych okolicznościach uznałbym za oczywiste.

Po pierwsze stało się jasnym, że mieszkająca za ścianą stara kobieta jest w to wszystko zamieszana. Przerazająca starucha musiała upić Denatkę, a potem... Nie chciałem o tym nawet myśleć. Dlaczego

poprzedniego dnia zasnąłem na blisko dwadzieścia godzin? Może to nie była kwestia zmęczenia, lecz wina, do którego coś zostało dosypane, by skutecznie uspić ofiarę? Jeśli tak, dlaczego ja wciąż żyję, skoro leżałem tu nieprzytomny przez tyle czasu?

Nie wiedzieli. Z pewnością nie wiedzieli, że ja także napiłem się wina, przeznaczonego wyłącznie dla Natalii. Jedynym powodem, dla którego wciąż pozostawałem żywy, był czysty przypadek. Mnie planowali się pozbyć w inny sposób, być może już wkrótce.

Musiałem dostać się do pokoju starej wiedźmy. Musiałem pokonać strach, wejść tam, a potem dowiedzieć się najwięcej, jak tylko mogę. Po dobroci lub po złości.

Znajdź nas i uwolnij. Pochowaj nas. Wtedy będziesz mógł odejść. Nie wcześniej.

Było dla mnie jasne, że zjawa mówiła prawdę. Gdybym spróbował teraz uciec, byłby to daremny trud; znów pobłądziłbym w śniegu i wrócił w to samo miejsce. Zostałem przywiązany do tego pensjonatu lub zaklęty w momencie, gdy tylko przekroczyłem jego próg. Jedyna droga wiodła przez walkę, o ucieczce nie było nawet mowy.

Mam stawić im wszystkim czoła z gołymi rękami? Starej babie na pewno dałbym radę, jak jednak miałem przygotować się na starcie z gigantyczną właścicielką, jej mężem i Sandrą? Na początek, dotarło do mnie, muszę znaleźć jakąś broń, jeśli w ogóle chcę wyjść stąd żywy. Jestem następny na liście, czy mi się to podobało, czy też nie. Teraz nie wypuszczą mnie już z łap, skoro udało im się dojść tak daleko. Moją jedyną przewagę stanowił fakt, że cały ten klan ludojadów najprawdopodobniej nie podejrzewał jeszcze, że czegokolwiek się dowiedziałem. Ich niewiedza była moim błogosławieństwem. Moją szansą na wyjście z tego cało, na zachowanie organów na własność.

Naraz przypomniałem sobie, że na strychu widziałem przecież pordzewiałą siekiere. Stała oparta o sój z bigosem... lub czymkolwiek innym. Nie była to może najlepsza broń, ale jedyna broń, co w gruncie rzeczy jednak czyniło ją najlepszą.

Wiedziałem, że muszę zacząć działać szybko. Jeśli dam im wystarczająco dużo czasu, zdążą się przygotować, zdążą rozstawić sidła, w które z całą pewnością wpadnę. Byli tu u siebie i mieli do dyspozycji wszelkie możliwe środki, zaczynając od znajomości terenu, a na ostrych przedmiotach kończąc.

Nie ma czasu do stracenia, myślałem, próbując zmusić się do jakiegokolwiek aktywności. Choć nie znajdowałem się już w stanie szoku, przed oczami nieustannie przelatowały mi kadry z ostatnich kilku dni, sceny zapisane w pamięci. Mięso, mięso, mięso! Talerze ociekające tłuszczem, ludzkim tłuszczem! Chryste! Zanim udało mi się pewniej stanąć na nogach, minęły kolejne długie minuty, chyba najdłuższe w

moim życiu. Poszedłem do łazienki znowu napić się wody i przemyć twarz – z lustra patrzyła tam na mnie obca postać, której nie byłem w stanie rozpoznać.

Rozbiegane ślepia i ich gigantyczne źrenice, wory pod oczami, poszarpane i pogryzione usta – z tych najnowszych deformacji. Moja twarz wciąż była także pokiereszowana kopniakami kolegów z zakładu, które tu i ówdzie odbijały się żółto-zielonymi sińcami na bladej skórze.

Czy to naprawdę byłem ja? Czy aż tak można zmienić się po kilku dniach nieustannego stresu, po kilku dniach permanentnego wystawienia na czynniki szaleństwa? Zerknąłem na włosy, które gdzieś tam zaczynały powoli siwieć. Nie dałbym sobie teraz dwudziestu trzech lat, wyglądałem na co najmniej trzydziestkę. Paradoksalnie jednak ten widok dodał mi animuszu i siły potrzebnej do wykonania zadania. Zrozumiałem, że teraz walczę o wszystko. Albo ja, albo oni. Nie zamierzałem biernie czekać na swój koniec.

Powoli, najciszej jak to tylko możliwe, na palcach, wysunąłem się na korytarz. Plamy moich rzygowin wciąż leżały nienaruszone niczym miny przeciwpiechotne. To dobrze. Oznaczało to nie mniej i nie więcej niż to, że właściciele jeszcze ich nie odkryli i nie zaczęli niczego podejrzewać. Na strych dostałem się bez większych problemów, musiałem tylko uważać, aby opuszczana drabina nie wydała żadnego niepożądanego dźwięku. Porwałem siekiere – okazała się nie tak znowu tępa – i wróciłem na dół, by stanąć przed wrotami prowadzącymi do jaskini Szeloby.

Waga siekiery dodała mi siły i odwagi. Czułem, że teraz jest przedłużeniem mojej ręki, śmiercionośnym narzędziem zemsty, której dokonam z pełną premedytacją.

Obraz jak ze wszystkich klasycznych horrorów. Szaleniec biegający po hotelu z siekiere w dłoni, zakrwawiony, obśliniony, pokryty własnymi wymiotami. Wszystko się zgadzało, z wyjątkiem jednej rzeczy – to nie ja byłem tutaj czarnym charakterem. A może jednak? Przecież los wyznaczył mi jakąś rolę w tym przedstawieniu. Gdybym nie zostawił Denatki, gdyby nie doszło między nami do kłótni, być może jeszcze by żyła? Na dobrą sprawę wystarczyło tylko tyle, bym zachował spokój. Nie dał się wciągnąć w przekrzykiwanie i wzajemne złośliwości. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że jestem skończonym durniem i jako taki najpewniej umrę.

Co by na to powiedziała Magda? Powiedziałaaby pewnie, że niczego innego się po mnie nie spodziewała.

Znowu nie potrafiłeś utrzymać relacji z kobietą, Tomasz. Zobacz, co zrobiłeś. Idzie ci coraz gorzej, bo przecież kiedyś kobiety znajdujące się w twoim bezpośrednim towarzystwie nie kończyły martwe na talerzu. Powinieneś przemyśleć swoje życie. Może wybrać się na kolejną terapię?

Jak tak dalej pójdzie, to nie spodziewam się po tobie żadnych dobrych rzeczy.

Nie mogłem jednak pozwolić na to, żeby zdominowały mnie wątpliwości i wyrzuty sumienia. Na to przyjdzie czas później. Pamiętaj, co mówił ojciec. Masz jeszcze szansę tego nie spieprzyć, masz szansę wyjść z tego w jednym kawałku. Postaraj się, facet.

Postarałem się więc, postarałem się, aby moje nogi przestały drżeć, aby mój uchwyt na trzonku siekiery stał się pewniejszy. Stałem przed drzwiami pokoju numer jeden, przybrałem na twarz możliwie najbardziej pogodny uśmiech i miałem ogromną nadzieję, że naprawdę wygląda on pogodnie, a nie jak grymas gotowego na wszystko szaleńca i desperata.

Zastukałem raz, potem drugi; ze środka do moich uszu dobiegł dźwięk skrzypiącej sprężyny w łóżku. Tak, tak, chodź do mnie, potworze. Chodź bliżej, pokaż mi swoje wielkie uszy i wielkie zęby. Chodź tu, stara wilczyco. Dzielny myśliwy zaraz otworzy ci brzuch i wyciągnie z niego wszystko to, co nie powinno się tam znaleźć. A potem będziemy żyć długo i szczęśliwie albo bardzo krótko i bardzo nieszczęśliwie; żadna to obecnie różnica. Odłożyłem siekiere na bok, aby kobieta nie mogła jej zobaczyć.

Zamek w drzwiach zagruchotał jak stara zardzewiała zębatka. Coraz bliżej, tak, coraz bliżej. Drzwi uchyliły się, w sam raz na szerokość styliska od siekiery. Nie zamierzałem jednak zaczynać z grubej rury, co to to nie. Najpierw chciałem dać jej szansę, bo nie jestem przecież jakimś tam pierwszym lepszym szaleńcem.

Nie odezwałem się od razu. Pozwoliłem, by Szeloba wysunęła swoją pokrytą plamami i zmarszczkami twarz, by poczuła się skonsternowana.

– O co chodzi? – zapytała w końcu staruszka, uchylając drzwi nieco szerzej.

Jeszcze trochę, jeszcze trochę. Uchyl je jeszcze trochę, stara prukwo.

– Wie pani, kogo szukam. Gdzie jest dziewczyna?

– Nie wiem, gdzie jest dziewczyna. Tu jej nie ma. Wyszła wczoraj i więcej się nie pojawiła.

– Na pewno? – zadrwiłem, rezygnując ze sztucznego uśmiechu. Czulem, jak mięśnie mojej twarzy wracają do pierwotnego ustawienia, wyrażającego czystą grozę.

– Na pewno. – Szeloba próbowała zatrzasać mi drzwi przed nosem. Twoje niedoczekanie.

Uderzyłem w skrzydło całym ciężarem ciała, jednocześnie porywając stojącą obok siekiere. Wdarłem się do środka gwałtem, odpychając staruszkę, która wylądowała na podłodze na plecach i teraz próbowała się niezdarnie podnieść na wątłych ramionach. Szybko rozejrzałem się po wnętrzu, szukając jakiegokolwiek zagrożenia, które wymagałoby

natychmiastowej neutralizacji. W środku byliśmy jednak tylko my. W jednym Szeloba miała rację – Natalia była nieobecna.

Zamknąłem drzwi bardzo powoli, korzystając z tego, że starucha wciąż miała problemy z podniesieniem się z podłogi. No proszę, proszę. Taka byłaś straszna, a teraz leżysz tu przerażona, niezdolna do ruchu; machasz w powietrzu nagimi stopami jak przewrócony na skorupę żółw. Dobrze, bardzo dobrze.

– Dam ci tylko jedną szansę, maszkaro. Gdzie jest dziewczyna?

Twarz kobiety wykrzywił grymas bólu, gdy wsparta na łokciach próbowała udzielić mi odpowiedzi. Widziałem, że nie jest z nią zbyt dobrze. Bała się. I prawidłowo. Było się czego bać.

– Dziewczyna... – zacharczała – wyszła wczoraj i więcej jej nie widziałam.

– Skoro chcesz grać w takie gierki, to zagramy. Zagramy w grę pod tytułem *stara suka mówi prawdę*, co o tym sądzisz?

Nie czekałem na odpowiedź, lecz doskoczyłem do stojącej w rogu komody i zacząłem przetrząsać zawartość. W końcu znalazłem to, czego szukałem – nylonowe pończochy. Nachyliłem się nad staruchą, a gdy próbowała się odsunąć, uderzyłem ją z pięści w twarz. Zajęczała żałośnie i z powrotem wylądowała na deskach.

Oto jest najlepszy mecz bokerski tej dekady! W lewym narożniku Tomasz B., znany także jako szalenciec z siekierą! W prawym narożniku Szeloba, stare kurwisko, kanibalka i kłamczucha! Tomasz wygrywa w pierwszej rundzie przez nokaut, ha-ha-ha!

Obwiązałem jej nadgarstki pończochami, ciasno, aby nie miała żadnych szans się uwolnić, a potem wpakowałem jej do ust stare skarpety, żeby przypadkiem nie zaczęła głośno krzyczeć, gdy będę przeprowadzał dochodzenie. Starucha w trakcie straciła przytomność, wolny czas wykorzystałem więc na buszowanie po wnętrzu.

W życiu nie widziałem tak obrzydliwego pomieszczenia. Wszędzie wałały się brudne talerze i kawałki... jedzenia. Cały ten pokój przypominał dawno zapomnianą garkuchnię lub spiżarnię, w której nikt nie sprzątał od tygodni a nawet miesięcy. Przetrząsałem wszystkie szafki, zajrzałem nawet pod materace w łóżku. Znalazłem mnóstwo starych ubrań, alkohol domowej roboty i pieniądze. Wszystko to emanowało silnym smrodem zgnilizny i kału.

W jednej z szuflad trafiłem też coś, na widok czego włosy stanęły mi dęba – ubrania Natalii. Kolejny dowód; jakbym potrzebował ich więcej. Czulem, że będę miał bardzo dużo pytań do leżącej na podłodze kobiety, która właśnie zaczynała odzyskiwać przytomność. Poinformowałem mnie o tym jej żalosny jęk i przesączaające się przez parę starych skarpet błagania o pomoc.

– Chcesz, żeby ktoś ci pomógł, tak? Żeby cię uwolnił? – spytałem

najbardziej niewinnym głosem, jaki tylko byłem w stanie z siebie wydobyć.

Starucha pokiwała głową, zanosząc się szlochem. Rany boskie, alez od niej śmierdziało!

– Ja ci pomogę, naprawdę – zaoferowałem. – Pomogę ci bardzo chętnie, jeśli ty najpierw pomożesz mi. Zgadzasz się?

Szeloba znów pokiwała głową. To dobrze, może nasza współpraca nie będzie aż tak bolesna, jak mi się wydawało.

– Plan jest prosty. Ja zadaję pytania, a ty na nie odpowiadasz. Jak mi się spodoba odpowiedź, to może nawet puszcze cię wolno, ale jak mi się nie spodoba – znacząco spojrziałem na leżącą obok siekierę – to czeka nas bardzo nieprzyjemna rozmowa. Kapujesz?

Potakiwanie.

– Pytanie pierwsze. To ty zabiłaś Natalię, prawda?

Staruszka pokręciła głową. Niedobrze. Złapałem za siekierę.

– Mówiłem, żebyś mnie nie okłamywała, ale chyba nie wzięłaś mnie na poważnie. To nic nie szkodzi, zaraz wszystko naprawimy.

Wziąłem zamach, celując w stopę, ale nie trafiłem. Siekiera wbiła się w podłogę kilka centymetrów dalej. Szlag! Wyciągnąłem ostrzę i ponownie podniosłem je do ciosu, pomimo przytłumionych wrzasków i protestów staruszki. Tym razem siekiera opadła perfekcyjnie, niemal odcinając dwa największe palce lewej stopy. Trysnęła krew, oderwane mięso i kości zwiślały pod dziwnym kątem na kawałku skóry.

Powietrze wypełnił wytłumiony wrzask. Kobieta wydzieriała się wniebogłosy, tak że nawet knebel nie pomagał. Na wszelki wypadek wziąłem więc kłodrę i przykryłem jej górną część ciała, dopóki krzyki nie przeszły w ciche pochlipywanie i spazmy bólu. Musiałem być ostrożny, nie chciałem wszak, by ta stara raszpla zeszła na zawał albo się udusiła, zanim się czegoś dowiem. Nie chciałem też, by ktokolwiek z obsługi hotelu usłyszał jej jazgot. Na szczęście między nami znajdowało się obecnie wolne piętro, skutecznie tłumiące wszelkie dźwięki.

– Nie posłuchałaś, przykro mi. Ja naprawdę nie chcę tego robić, słyszysz? – pytając, podniosłem głos nadnaturalnie wysoko, bo ze stresu zaschło mi w gardle.

Nie kłamałem; naprawdę nie chciałem tego robić. Wiedziałem jednak, że nie mogę się wycofać. A nawet gdybym chciał, było już na to za późno. Teraz liczyły się jedynie pytania i odpowiedzi. Właściwe odpowiedzi.

– Ponawiamy pytanie. To ty zabiłaś Natalię?

Kobieta ochoczo pokiwała głową. Bardzo dobrze. Wyciągnąłem knebel z jej ust, wcześniej ostrzegając, że jeśli wyda z siebie chociaż jeden głośny dźwięk, wrócimy do zabawy z siekierą.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego? Uśpiłaś ją, tak? Uśpiłaś ją winem?

Najpierw wzbudziłaś jej zaufanie, a potem poczęstowałaś zatrutym alkoholem, prawda? Mów!

– Ja... J-ja... Panie Boże, jak boli!

– Do rzeczy albo będzie bolało bardziej.

– Nie chciałam tego robić, ale oni mi kazali! Kazali mi! Zmusili mnie do wszystkiego! Powiedzieli, że jak im nie pomogę, to... To zrobią ze mną to samo! Upiłam ją winem, żeby nie cierpiała. Przysięgam!

Nie potrzebowałam doktoratu z psychologii sądowej, aby wiedzieć, że kobieta łączy jak z nut. Widziałem to w jej oczach, które cały czas pozostawały zimne i bezlitosne.

– Kłamiesz.

– Nie, ja... J-ja nie..

Nie dałem jej dokończyć. Ponownie wepchnąłem w tę bezzębną dziurę w twarzy parę skarpet, złapałem za zwisające na kawałku skóry palce i... pociągnąłem, wyrrywając je wraz z grubym płatem naskórka.

Tym razem kobieta nie krzyczała. Zupełnie jakby zabrakło jej oddechu. Leżąc na podłodze, wyginała się i trzepotała jak pozbawiona tlenu, wyciągnięta na brzeg ryba. Ból, mogący zmusić człowieka do takiego zachowania, musiał być naprawdę niewiarygodny.

Przez warstwy bawełny i elastyny udało mi się dosłyszeć serię błagań, brzmiących trochę jak „przestań, przestań!”, wziąłem to więc za dobrą monetę. Może jeszcze mi nie uwierzyliście, ale naprawdę nie miałem ochoty na dalsze zabawy tego typu. Ręce spocily mi się tak bardzo, że pot dosłownie kapał mi z dłoni, a z każdym kolejnym wyciszonym wrzaskiem kobiety przechodziły mnie dreszcze obrzydzenia i spazmy przerażenia. Widok krwi ciekącej z amputowanych siekierą kikutów palców sprawił, że zrobiło mi się zwyczajnie słabo. Musiałem jednak wytrzymać, żeby dowiedzieć się więcej, a nie wątpiłem, że ta leżąca na podłodze kanalia tanio skóry nie sprzeda.

– Gdzie jest dziewczyna? – Pogładziłem pokryte krwią ostrze siekiery.

– Jeśli jesteś taką dobrą samarytanką i nie chciałaś tego robić, to z pewnością powiesz mi, gdzie ją trzymają. Gdzie trzymają jej ciało...

– Jest w piwnicy! Dziewczyna jest w piwnicy, tam trzymają wszystkie... Wszystkie...

– Trupy – skończyłem za nią.

Spojrzałem na nią jak na parszywego robaka, którym była. Brzydłem się wszystkim, co sobą reprezentowała. Była obrzydliwa sama w sobie; śmierdząca, pomarszczona, zakłamana. Znałem ten typ osoby aż za dobrze. Takie jak one kochają upajać się swoją władzą i uwielbiają pokazywać innym, jak bardzo nimi pogardzają. Pamiętałem doskonale pierwszą wizytę, podczas której zostałem potraktowany jak śmieć. Nie zamierzałem jej wcale darować.

– Musisz mi uwierzyć, proszę! Ja nie chciałam tego robić! Ja się wahałam, ja... – wciąż próbowała się bronić, ale ja wiedziałem już, że nie zmienię zdania.

– Skończ pierdolić, wiedzmo – warknąłem, po czym zakneblowałem ją ponownie, żeby przestała jęczeć.

Wszystko było jasne. Z początku szedłem po omacku i miałem świadomość tego, że jeśli popełnię błąd, stanę się zwykłym mordercą. Szaleńcem, który bez powodu rzucił się na Bogu ducha winną staruszkę. Ta rozmowa jednak dużo mi dała. Utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie zwariowałem. Starucha potwierdziła wszystko, czego się spodziewałem. Baba uratowała moją duszę, jednocześnie wydając na siebie wyrok śmierci. Na swój dziwny sposób byłem jej nawet wdzięczny. Dzięki niej przestałem błądzić we mgle. Dzięki niej zrozumiałem, że muszę iść dalej. To było moje *katharsis*.

Chwyciłem stojący na komodzie czajnik i wyrwałem z niego kabel zasilający. Tak, dobrze się domyślcie, co będzie dalej. Zerwałem izolację z miedzianych drutów, po czym wetknąłem po jednym w każdy z amputowanych siekierą kikutów. Głęboko, aż poczułem opór twardego mięsa. Potem oplątałem jej nogę kablem, żeby nie mogła wyrwać styków. Starucha wyła z bólu, jednocześnie wierzgając i próbując drugą stopą przydepnąć druty, ale jej wysiłki nie przynosiły pożądanego rezultatu. Nie zwracałem zresztą na to praktycznie żadnej uwagi. Zbliżyłem się do najbliższego kontaktu.

– Stare baby jebać prądem – mruknąłem, wsadzając bolce wtyczki do gniazdka.

Szeloba natychmiast podniosła się, wygięła w łuk i zaczęła się telepać. Słyszałem, jak jej kości trzeszczą, gięte siłą porażonych prądem mięśni, jak zawiązane na nadgarstkach nylonowe rajstopy naprężają się do granic wytrzymałości. Gdy z leżącego ciała zaczęły unosić się strużki śmierdzącego spalenizną dymu, wyciągnąłem wtyczkę z gniazdka i poczekałem, aż nabuzowane elektrycznością zwłoki z powrotem opadną na podłogę. Wówczas zbliżyłem się i szturchnąłem staruchę czubkiem buta. Była perfekcyjnie martwa.

Schowałem do kieszeni wszystkie znalezione pieniądze i paczkę krakersów. Niczego innego już w tym hotelu nie zjem, to bardziej niż pewne. Nie miałem zresztą czasu na bzdury takie jak posiłek. Przyszła pora, by zakończyć swój pobyt w tym paskudnym przybytku.

ROZDZIAŁ VII

Czasami człowiekowi potrzebny jest plan na wyjście z trudnej sytuacji. Przygotowanie się do działania, którego efektów lepiej nie pozostawiać przypadkowi.

A czasami nie.

Czasami należy po prostu wziąć w rękę coś ostrego i rozpętać piekło. Należy zamienić się w ludzki huragan, w taran, którego nie powstrzymają żadne bramy ani kraty, żadne błagania, lamenty i prośby. Dopóki działasz siłą rozpędu, nic nie może cię zatrzymać. Nie możesz się zastanawiać, nie możesz odpoczywać i nie możesz dopuścić do siebie myśli, żeby spuścić z tonu. Działanie na najwyższych obrotach to twoja jedyna szansa.

Dzyń, dzyń, dzyń.

Dzwonek na recepcji przeszedł w wysoki, piszczący pogłos. Zmysły miałem wyostrzone do maksimum. Słyszałem padający za oknem śnieg, słyszałem ruch wskazówek zegara w całym hotelu, rejestrowałem nawet ciche kroki gryzoni pod dachem. Kroki właścicielki nie były ciche, wręcz przeciwnie. Jej monstrualne cielsko przedzierało się przez wąskie korytarze zaplecza, szorując po wszystkich ścianach, jakby była węzłem pełzającym po kanalizacji. Coraz wyżej i wyżej, by w końcu wyłonić się w najmniej oczekiwanym momencie i zaatakować niczego nieświadomą ofiarę.

Nie była jednak węzłem; nie była też człowiekiem. Nie widziałem w niej już niczego ludzkiego, bo to, co musiałem zrobić, wymagało ode mnie wyparcia ze świadomości wszelkich struktur, mogących w krytycznej sytuacji wzbudzić litość wobec potwora, którego zamierzałem się pozbyć; którego musiałem się pozbyć. Była złem zaklętym w materii ciała. Dwunogim monstrum, które nie zasłużyło na litość inną niż ostateczny cios zadany zardzewiałym ostrzem.

Gdy zobaczyłem w drzwiach jej nalaną twarz, coś we mnie pękło. Zrozumiałem w pełni, że droga, którą wybrałem, jest drogą bez powrotu. Resztki wątpliwości i pochowane po kątach umysłu niedobitki rozsądku rozplynęły się właśnie w nicość.

Wiedziałem, że nie ma ze mną szans. Jej gesty były spowolnione, jakby poruszała się w gęstej smole. Ja zaś, nabuzowany adrenaliną jak nastrykiwane płynem mięso, każde, nawet najdrobniejsze drgnięcie rejestrowałem natychmiast i z perfekcyjną dokładnością. Nie musiałem nawet spuszczać wzroku ze świńskich ślepek kobiety. Ręka pamiętała, gdzie leży ciężki mosiężny dzwonek.

To był ułamek sekundy. Gdy tylko zbliżyła się do kontuaru, natychmiast porwałem dzwonek i zanim zdążyła otworzyć usta w

niemym proteście lub chociażby mrugnąć, dwukrotnie uderzyłem ją w nasadę nosa, prosto między oczy. Nie spodziewała się tego. Nie miała powodu, by się spodziewać.

Dzwonek wybrzmiał żalonym tonem, rozpadł się na kawałki, a z nalanej twarzy właścicielki trysnęła krew. Kobieta zatoczyła się do tyłu, jedną ręką łapiąc za głowę, drugą zaś szukając oparcia.

Nie potrzebowałem jej. Prawda była taka, że wszystko, co mogło mi się przydać, usłyszałem od staruchy na drugim piętrze pół godziny temu. To już nie była zabawa w przesłuchanie, tylko coś dużo bardziej prostego, zerojedynkowego, zwierzęcego. To eksterminacja w swojej najczystszej, najprostszej postaci. Symfonia śmierci, którą dyrygowałem.

A jednak znalazłem w sobie jeszcze coś ludzkiego, co w tym właśnie momencie odezwało się głosem delikatnego sprzeciwu. Coś, co chciało poznać prawdę, zanim wymierzy sprawiedliwość, co chciało usłyszeć przyznanie do winy i przeprowadzić natychmiastowy proces, będący gwarancją tejże sprawiedliwości. Co wierzyło w triumf dobra nad złem, nawet jeśli dobro pozbawione zostało w tym wypadku niemal wszelkich skrupułów.

Złapałem otyłe babsko za rudą czuprynę i przydzwoniłem jej głową o ladę. Próbowwała się wyrwać, ale pomimo różnicy wagi byłem od niej zdecydowanie silniejszy. Dwa tygodnie ciężkiej harówki na coś się przydały.

– Dlaczego... to... zrobiłaś... ty... nędzna... szmato? – Każde słowo akcentowałem kolejnym uderzeniem o blat.

Krew tryskała wszędzie wokół, pieniąc się jak świeżo rozlane do kufli piwo. Kobieta jęczała, zbyt zaskoczona intensywnością mojego ataku, by chociażby podjąć próbę obrony.

– Dlaczego?! – wydarłem się, zupełnie nie dbając o to, że reszta może mnie usłyszeć. Już dawno usłyszeli, nie miałem co do tego żadnej wątpliwości. W każdej chwili mogły pojawić się posiłki dla torturowanej, ale nic sobie z tego nie robiłem. Wiedziałem, że w tym dokładnie momencie nie mają ze mną żadnych szans, nawet gdyby rzucili się na mnie wszyscy razem.

Gniew wypełniał moje żyły i mięśnie, zamieniając je w najtwardszą, najmocniejszą stal. Czułem, że gdybym tylko chciał, mógłbym jednym ruchem oderwać ludzką głowę od ciała. To byłoby jednak pozbawione elementarnego sensu. Najpierw musiałem usłyszeć przyznanie się do winy.

Po którymś z rzędu ciosie, który wybił kanibalce kilka przednich zębów, puściłem jej bezwładne teraz ciało i pozwoliłem opaść na zimny parkiet. Nie była nieprzytomna i oddychała. To dobrze.

– Dlaczego to zrobiliście? – powtórzyłem się, ocierając z czoła nagromadzone tam pot i krew. – Więcej już nie zapytam.

Zamiast jednak odpowiedzieć na moje pytanie, pobita kobieta roześmiała się paskudnie, zarechotała niczym stara ropucha, krztusząc się własną krwią.

– Nie powiesz chyba, że nie smakowało – odparła w końcu, z trudem sepleniąc przez wybite zęby i powstrzymując kolejną falę upiornej wesołości. – Powiem ci, czemu to zrobiliśmy. Zrobiliśmy to, bo nic innego, nic na świecie, nie smakuje tak dobrze – powiedziała, a potem uśmiechnęła się najpaskudniejszym uśmiechem, jaki widziałem w całym swoim życiu. Jej nalana, ociekająca posoką twarz wykrzywiła się jednocześnie w grymasie bólu i ekstazy, jakby już samo wspomnienie spożywania ludzkiego mięsa sprawiało jej niewysłowioną przyjemność, zdolną wygasić lub zupełnie powstrzymać największe nawet cierpienie.

– Czy ona nie żyje? Czy nie żyje? – dopytywałem się, choć dobrze przecież znałem odpowiedź. Resztki nadziei szalały jednak po moim umyśle, niezaspokojone, absurdalnie domagające się potwierdzenia najbardziej oczywistej rzeczy na świecie.

– Oczywiście, że nie żyje. Ale nie martw się... Umierała długo, bardzo długo. Pod koniec krzyczała nawet twoje imię. „Tomek! Tomek, pomocy!”. – To leżące na ziemi, coraz mniej przypominające człowieka ścierwo znowu roześmiało się paskudnym charkotem. – A Tomek nie przyszedł na pomoc, nie przyszedł, ojoj – dodało takim głosem, jakby zwracało się do małego dziecka.

Zrobiło mi się czerwono przed oczami, w uszach poczułem łomot krwi. Złapałem za siekiere. Liczyłem na to, że chociaż w ostatnich chwilach swojego życia ten wijący się na podłodze potwór okaże odrobinę strachu. Myliłem się. Gdy wznosiłem topór do uderzenia, kobieta cały czas rechotała.

Przestała dopiero wówczas, gdy ostrze z obrzydliwym plaśnięciem zagłębiło się w jej czaszce, rozłupując ją jak skorupę orzecha. Paskudną breją trysnęły na mnie wymieszane płyny fizjologiczne oraz kawałki mózgu i kości. Gigantyczne obłe cielsko padło trupem niczym wieloryb trafiony harpunem. Wiedziałem jednak, że to jeszcze nie koniec. Najgorsze było dopiero przede mną.

* * *

Zagłębiłem się w czeluści hotelowego zaplecza, ostrożnie i delikatnie stawiając kroki na drewnianych schodkach. Nasłuchiwałem najlżejszych chociażby dźwięków, bo gdzieś tu kryli się pozostali: mąż zabitej przeze mnie potwory i ich kuchenna pomoc. Musieli tu być. Nie dawali jednak żadnego znaku życia i nawet moje wyczulone zmysły nie były teraz w stanie zidentyfikować ludzkiej obecności. Ta dwójka wiedziała już, co się święci. Zdawała sobie sprawę z tego, że po nich idę i nie zamierzała zdradzać swojego położenia, licząc najpewniej na możliwość ukrycia się

w doskonale znanym sobie otoczeniu.

Wiedziałem, że czekają na mnie cierpliwie, czekają aż popełnię jakiś błąd, a wtedy będą mogli zaatakować, wyskakując z mroku niczym przyczajony drapieźnik. Wnętrze było tutaj bowiem wyjątkowo przyciemnione i jedynie zawieszone na ścianach małe żółte lampki nieśmiało wydzierały czerni kolejne fragmenty otoczenia. Robiły to jednak bardzo nieudolnie i na kryjącym się za recepcją zapleczu panował konsekwentny, jednostajny półmrok.

Schody za recepcją wydawały się nienaturalnie długie. Wspiąłem się nimi na wysokość pierwszego piętra i odnotowałem, że tutaj stopnie dzielą się na dwie odnogi. Jedna wiodła dalej w górę, na wyższe piętro, druga z kolei zawracała w wąskiej klatce i prowadziła w przeciwnym kierunku – na dół. Wyobraźnia podpowiadała mi najbardziej szkaradne, najbardziej przerażające wizje tego, co znajduje się w piwnicy budynku. Wiedziałem już, czego mogę się spodziewać („Pochowaj nas”), ale człowiek nigdy nie jest w pełni przygotowany na horror, który swoją prawdziwą potęgę ujawnia dopiero wówczas, gdy staniemy z nim twarzą w twarz.

Postanowiłem pójść na górę, tam bowiem, spodziewałem się, będą na mnie czekać, gotowi i uzbrojeni. Gdybym bezmyślnie skręcił w dół, wpadłbym w pułapkę, z której mógłbym się już nigdy nie wydostać, pochowany za życia.

Pomimo tego, że poruszałem się niezwykle cicho, wciąż wydawało mi się, że robię zbyt wiele hałasu. Pojedynczy głośniejszy oddech lub skrzypnięcie deski mogło się stać sygnałem do ataku. Schody urywały się nagle pozbawioną drzwi futryną, prowadzącą do dalszych pomieszczeń, tonących w niemal absolutnej ciemności. Całym sobą wyczuwałem, że tam właśnie na mnie czekają; po jednej i drugiej stronie ościeżnicy, gotowi do zadania morderczego ciosu, gdy tylko przekroczą próg, od którego dzieliły mnie już zaledwie dwa metry.

Przystanąłem, nie mogąc znieść napięcia, materializującego się na mojej skórze w postaci swędzącego potu. Dłonie też miałem spocone – tak bardzo, że utrzymanie pewnego uchwytu na stylisku broni graniczyło teraz z niemożliwością. W końcu moje baterie wyczerpały się i nadszedł pierwszy atak strachu. Przyszło mi na myśl, by zawrócić i spróbować swoich sił na dole lub w ogóle postawić wszystko na jedną kartę, podpalić budynek i czekać, aż ta dwójka będzie musiała w końcu uciec. Nic by mi to jednak nie dało, jeśli wierzyć słowom bladej zjawy, a nie miałem powodu, żeby nie wierzyć.

To jednocześnie zabawne i straszne, że znajdowałem się w położeniu, w którym największą nadzieję pokładać musiałem w słowach półmaterialnego widma. Groteska tej sytuacji również nie dodawała mi animuszu niezbędnego do pokonania ostatnich stopni. Dobrych opcji

jednak tu nie było. Mogłem jedynie wybrać najmniej złą, znajdującą się już niemal na wyciągnięcie dłoni.

Pierwszy krok przyszedł z wahaniem i musiałem walczyć sam ze sobą, by w ogóle go wykonać. Organizm zaczął się buntować przeciwko psychice, nie chciał dać sobie wmówić, że za wszelką cenę musi tam wejść. W sytuacjach skrajnych ciało pragnie ucieczki. To błąd, naturalnie, ale błąd, którego nie da się nie popełnić.

Co należy zrobić, gdy napadną cię dzikie psy? Specjalista powie, że koniecznie stać w miejscu i okazać swoją przewagę, patrząc im w oczy. Podobnie z atakiem wielkich kotów, przed którymi chronić ma podniesienie rąk w górę i przyjęcie groźnej pozy. Gdy zaatakuje was niedźwiedź, powiedzą, połóżcie się na ziemi i udawajcie martwych, bo zwierzęta te nie dotykają padliny. Co jednak zrobisz naprawdę? Będziesz się trząść, zesrasz się w spodnie, a potem rzucisz do karkołomnej ucieczki, sprowadzając na siebie zagładę.

Gdy wpadniesz w głęboką wodę, najlepiej jest pozostać nieruchomo i pozwolić, by sama wynosiła nas na powierzchnię. Podobnie wówczas, gdy zaczynamy się topić, a ktoś próbuje nas ratować. Jak będzie w rzeczywistości? Będziesz szamotać się jak złapana w sieć ławica śledzi, dodatkowo utrudniając i tak już trudną sytuację.

Stojąc w ciemności hotelowego zaplecza, gdzie moją jedyną broń stanowiła stara siekiera, zacząłem sobie boleśnie zdawać z tego sprawę. Furia, którą odczuwałem jeszcze przed chwilą, tutaj, w mroku starego domu, musiała wyparować ze skóry wraz z potem. Świadomość tych oczywistych rzeczy w niczym mi jednak nie pomogła. Wręcz przeciwnie, pobudzała jedynie wyobraźnię, podsuwając najgorsze i najstraszniejsze scenariusze.

Miarą wielkości człowieka jest jego zdolność do walki z samym sobą. Wtedy, wspinając się po schodach, każdym krokiem pokonując odwieczny ewolucyjny strach, byłem człowiekiem wielkim jak nigdy wcześniej i nigdy później.

Półtora metra, metr, pół metra; każdy stopień zbliżał mnie do niepokojącego otworu w ścianie, za którym mogło się kryć absolutnie wszystko. Wreszcie nie wytrzymałem napięcia i z krzykiem zerwałem się do biegu, dwa ostatnie stopnie pokonując jednym susem. To prawdopodobnie uratowało mi życie.

Ktokolwiek chował się za futryną, nie był na to przygotowany. Spodziewał się, że wejdę do środka powoli i ostrożnie, a nie że zaszarżuję niczym przerażony dzik.

Dośłownie na kilka centymetrów obok mojej głowy świsnęło długie ostrze tasaka. Poczulem, jak odcina mi pęk włosów, które poderwały się do lotu, zawirowały w powietrzu.

Wewnątrz było przeraźliwie ciemno, ale to wcale nie musiało działać

na moją niekorzyść. Pamiętałem, że przynajmniej jednym z moich wrogów jest starszy mężczyzna, który niekoniecznie dobrze widzi po ciemku. Stał gdzieś obok, wyczuwałem go, wyczuwałem jego smród, jakże podobny do cuchnących wyziewów wydostających się z pokoju numer jeden na drugim piętrze.

Nie widzieliśmy się wzajemnie, błędziliśmy po omacku, czekając na błąd drugiej strony. Cała przewaga, jaką miała pozostała dwójka, momentalnie stopniała, gdy nie udało im się wykorzystać elementu zaskoczenia. Słyszałem, jak w ciemności ktoś przestępuje z nogi na nogę, szukając lepszego oparcia. Słyszałem przytłumiony oddech i gotów byłem teraz postawić na to, że w pokoju nie ma Sandry. Byliśmy tutaj sami – ja i on. Ten, który w mojej wizji tak skutecznie pozbawił życia matkę Dawida.

Bardzo, bardzo powoli moje oczy zaczęły przyzwyczajać się do braku światła. Udawało mi się wychwycić w ciemności coraz więcej szczegółów, szarych konturów mebli i sprzętów. W końcu dostrzegłem także mężczyznę. Stał w kącie pomieszczenia, opierając się o ścianę. Rozglądał się w afekcie, byłem jednak przekonany, że w tych okolicznościach nie widzi nawet w połowie tak dobrze jak ja. Powoli, najciszej jak potrafiłem, zacząłem skradać się w jego kierunku. Gdy byłem już właściwie w zasięgu uderzenia – on dalej mnie nie dostrzegał – postanowiłem uciec się do fortelu.

Zamiast ryzykować zadanie ciosu, który mógłby z racji przybranej przez gościa pozycji chybić, sięgnąłem do kieszeni po telefon, cały czas nie spuszczać oczu z mężczyzny, a następnie rzuciłem nim w prawą stronę. Podziałało.

Facet odwrócił się w tamtym kierunku, a ja złożyłem się do ataku siekierą. Zamachnąłem się z całej siły, a wtedy...

Sukinsyn!

Nie wiem, jak to zrobił, ale udało mu się wykonać unik niemal w ostatnim momencie. Ostrze siekiery, zamiast zagłębić się w ciele, uderzyło o ścianę, krzesząc iskry. W tej żalostnej parodii światła zobaczyłem, jak ten drugi odwija się i trzymanym w ręce tasakiem celuje w moją szyję.

Odkoczyłem, ale nie dość daleko i nie dość szybko. Tasak drasnął mnie w ramię, przeciął warstwy ubrań i zrobił paskudną dziurę w ciele. Zawyłem z bólu. Błąd. Tym samym podpowiedziałem mężczyźnie, w którym miejscu się znajduję. Usłyszałem świst powietrza i w przerażeniu wyciągnąłem przed siebie trzonek siekiery. Tasak uderzył w drewno, wyrzucając w powietrze pęk drzazg, a potem zjechał po nim, cudem tylko nie ucinając mi palców.

Natychmiast odsunąłem się dalej, wykorzystując stół stojący na środku pomieszczenia jako rodzaj tymczasowej barykady. W mroku z

trudem udało mi się dostrzec zwyrodnialca, który – niczym dzikie zwierzę – węszył i smakował powietrze, nie mogąc zarejestrować mojej obecności w inny sposób.

– Czuję cię – powiedział przerażający dziadyga. – Pachniesz strachem i krwią. Znam ja te zapachy doskonale, znam ja. Nie ty pierwszy tak śmierdzisz.

Głos miał charczący, przepalony tytoniem i przetrawiony alkoholem. Nie odpowiedziałem mu, nie chcąc dać się sprowokować. Zastanawiałem się, dlaczego facet po prostu nie zapalił światła. Może nie zdawał sobie sprawy z tego, że w ciemności widzę lepiej niż on i liczył na przewagę terenu? Kanibal nie dawał jednak za wygraną, wciąż próbując mnie nakłonić do ataku:

– Wiesz, kto jeszcze tak śmierdział? Strachem i krwią? Twoja mała siostrzyczka. Powinieneś usłyszeć, jak błagała o litość. – Zaśmiał się.

– Już to słyszałem. Od twojej żony. Ona też błagała o litość – skłamałem.

Okazało się, że miałem rację – facet nawigował po dźwięku. Gdy tylko się odezwałem, ruszył w moją stronę, z właściwym sobie doświadczeniem okrążając stół. Ja podążyłem w przeciwnym kierunku, najciszej jak potrafiłem, w zdumieniu obserwując, jak mężczyzna przecina tasakiem powietrze dokładnie w tym miejscu, w którym znajdowałem się przed chwilą.

– Spryciarz – powiedział. – Moja żona? Pies ją jebał. To stare babsko i tak już zasłużyło na odpoczynek. Twoja siostra to co innego. Bardzo była delikatna. Jako mięso i wcześniej też. Jej kości łamały się jak zapalki! Trach, trach, trach! A gdybyś widział jej cycuszki! Takie piękne, takie smakowite!

Zemdliło mnie od tej obrzydliwej gadaniny, ale facet jedynie coraz bardziej się nakręcał.

– Zanim jej skręciłem karczek, to trochę się rozerwałem. Fajniutka była, ciasna. Od dawna się taka nie trafiła, oj nie.

W tym momencie wiedziałem już, że facet nie umrze szybką śmiercią. Będzie cierpiał i to cholernie mocno. Pragnąłem mu to zagwarantować.

Trudno było mi się do niego zakraść, musiałem więc zmienić taktykę. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, próbując znaleźć cokolwiek, co można wykorzystać do walki na odległość. Pod ręką miałem parę ciężkich, mosiężnych świeczników. Postanowiłem zrobić z nich użytek. Nie spuszczać oczu z mężczyzny po drugiej stronie stołu, podniosłem delikatnie lichtarz, wycelowałem i... rzuciłem z całej siły.

Wszedł idealnie, zaostrzonym końcem trafiając prosto w czoło. Mężczyzna krzyknął, warknął, ale nie upuścił trzymanego przez siebie tasaka. Z furią rzucił się w moim kierunku, a ja, korzystając z oczywistej

przewagi, porwałem kolejny świecznik i przeskoczyłem na drugą stronę stołu. Sytuacja zmieniła się, dosłownie, o sto osiemdziesiąt stopni. Widziałem, że mężczyzna krwawi dość obficie. W jego czole ziała niewielka dziurka, szpikulec na szczycie lichtarza miał jednak przynajmniej dwa centymetry długości. Tak silny cios na pewno nieźle poturbował mu czaszkę, ale ja przecież dopiero się rozkręcałem.

Przełożyłem siekierę do lewej ręki, w prawą biorąc swoją pomocniczą, improwizowaną broń. Ponownie wymierzyłem, rzuciłem i... znów celnie! Tym razem mosiężna ozdoba trafiła mężczyznę drugą stroną, prosto w zęby. Usłyszałem paskudne chrupnięcie i zobaczyłem, jak kanibal zwała się na plecy, wypuszczając z rąk tasak. To była moja szansa. Czym prędzej podbiegłem, kopnąłem jego broń nieco dalej, po czym wziąłem zamach i odrąbałem siekierą prawą dłoń wijącego się na ziemi robaka.

Czy krzyczał? Oczywiście, że tak. Głośno, zdecydowanie zbyt głośno jak na tak niewielkie pomieszczenie. Od tego wrzasku rozboleła mnie głowa. Nie zamierzałem jednak spoczywać na laurach. Widziałem, że dziad drugą dłonią zaciska kikut w nadgarstku, by powstrzymać upływ krwi. Jego żalosna próba ratowania sytuacji nie wytrzymała zderzenia z rzeczywistością w postaci kolejnego zamachu siekierą, której ostrze pozbawiło go także i drugiej dłoni.

Mężczyzna wił się na ziemi jak przygniecione butem robactwo. Nie stanowił już żadnego poważnego zagrożenia, zabrałem mu wszystkie jego atuty. Podniosłem wyrzucony wcześniej telefon, uruchomiłem latarkę i znalazłem włącznik światła, którego dotychczas nie miałem okazji poszukać. Pomieszczenie wypełnił delikatny, choć po całym tym czasie spędzonym w ciemności, wciąż oslepiający poblask.

Spojrzałem na leżącego na podłodze gada – wyglądał dokładnie tak samo jak w mojej wizji. Łysiejący, żylasty, z kępką włosów nad uszami. Momentalnie skojarzył mi się z bohaterem starej serii gier, doktorem Boskonovitchem. Nigdy nie lubiłem tej postaci.

Zorientowałem się teraz, że jesteśmy w czymś na kształt niewielkiego salonu, prezentującego się bardziej jak pokój do gier lub jadalnia. Naprzeciwko wejścia na klatkę schodową znajdowały się drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia, póki co jednak postanowiłem je zignorować. Moją uwagę przykuło coś innego. Przy jednej ze ścian stał kominek, a obok niego stojak z ostro zakończonym pogrzebaczem. Ucieszył mnie ten widok, nie powiem, bo dokładnie czegoś takiego szukałem.

Związałem ze sobą nogi leżącego na podłodze delikwenta, wszak nie chciałem, żeby udało mu się uciec, gdy będę zajęty przygotowaniem dalszego punktu programu. W szafkach udało mi się znaleźć całkiem pokaźny stos papierów, którego potem użyłem do rozpalenia ognia.

Trochę to trwało. Dorzuciłem do środka polana i cierpliwie poczekałem, aż rozżarzą się do czerwoności. W międzyczasie zawiązałem na nadgarstkach mężczyzny prowizoryczne opaski uciskowe. Nie chciałem, by przypadkiem się wykrwawił, zanim przejdziemy do sedna.

– Jak masz na imię? – zapytałem go, wkładając pogrzebacz w ogień. – Chciałbym, żeby cokolwiek po tobie zostało w mojej pamięci. Bo gdy już z tobą skończę, z ciała nie pozostanie zbyt wiele. – Jakby na potwierdzenie tych słów, wrzuciłem do kominka jego obie odcięte dłonie. Zaskwierczały obrzydliwie.

– Chuj ci w dupę – zawarczał w odpowiedzi.

– Brzydkie imię, nie nazwałbym tak syna. A co do chujów w dupie, to zaraz przekonasz się, że są dużo gorsze rzeczy, jakie mogą się tam znaleźć.

Sprawdziłem temperaturę pogrzebacza. Sporo mu jeszcze brakowało do perfekcji. Będę musiał poczekać, aż całkowicie poczerwienieje od żaru.

– Powiedz mi, gnido, kto wystartował z takim pomysłem? Kto pierwszy wpadł na to, żeby zjadać ludzi? Ty, czy twoja paskudna małżonka? Jak w ogóle zostaje się kanibalem? Pewnego dnia wpadasz na pomysł, że zaczniesz jeść ludzkie mięso? Bardzo to wszystko niezrozumiałe – mówiłem spokojnie, choć w środku czułem, że moje ciało dosłownie pali się do zemsty.

Ale powolutku. To nie ja tutaj będę *naprawdę* płonął od środka.

Mężczyzna nie odpowiadał. Był zbyt osłabiony utratą krwi, a może po prostu wiedział, że nic mu to nie pomoże. Spojrzałem w jego oczy i zauważyłem, że są dziwnie mętne, jakby zamglone. Wyjaśniła się tajemnica ze światłem. Nasz koleżka był ślepy jak kret.

– Czasem trzeba umieć się wycofać – oznajmiłem. – Czasem trzeba umieć docenić przeciwnika i wiedzieć, kiedy odpuścić. Nie potrafiliście odpuścić, co? Zły pomysł. Nie trzeba było ze mną zadzierać. Bo widzisz, dziadku, ja też jestem z tych pojebanych. Zaraz pożałujesz każdej sekundy swojego marnego życia, obiecuję ci to.

Ponownie sprawdziłem temperaturę pogrzebacza. Był idealny. Mogłem więc zabrać się do roboty. Najpierw użyłem tasaka do pocięcia spodni i bielizny mężczyzny. Chciałem mieć dobry, nieograniczony niczym dostęp. Pewnie już dawno domyśliliście się, jaką rozrywkę dla niego zaplanowałem, prawda?

Moim oczom ukazały się obleśne, pokryte ekskrementami gacie, które zdarłem z niego z trudem, powstrzymując wymioty.

– Ty diable! Nie daruję ci tego! Nie daruję ci! – zawołał.

Spojrzałem na leżącego na dywanie dziada z politowaniem. Tak jakby miał jeszcze coś w tej kwestii do gadania. Przyniosłem sobie pogrzebacz i przeszedłem do rzeczy.

Najpierw rozszerzyłem pośladki mężczyzny butem; wierzgał przy tej czynności jak stary cap, ale niewiele mu to pomogło. Wymierzyłem dokładnie, a potem wepchnąłem rozżarzony do czerwoności pogrzebacz prosto w jego odbyt.

Pomieszczenie wypełniła symfonia wrzasków, która brzmiała dla moich uszu jak prawdziwa muzyka. Mężczyzna (a może jednak już nie?) wył na zmianę falsetem i basem, trzepotał się i próbował czołgać się na pozbawionych dłoni rękach, ale skutecznie uniemożliwiłem mu to, przygważdżając go pogrzebaczem do podłogi, jak gdyby był motylem przybitym szpilką do korkowej tablicy.

Nie wyciągałem pogrzebacza przez dobrych kilkanaście sekund, w końcu więc wycie starca przeszło w buczenie, a potem gulgoczący dźwięk, jaki wydają z siebie koty, gdy przypadkiem nadepnąć im na ogon.

The pain is real, pomyślałem sobie, wyciągając pogrzebacz, utyłany w gównie, krwi i roztopionej skórce. Smród, jakiego człowiek nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić. Wiedziałem, że skurwysyn nie wytrzyma już długo, musiałem się więc śpieszyć. Ponownie włożyłem pogrzebacz do ognia i – korzystając z okazji, że moja ofiara jest skutecznie unieruchomiona – postanowiłem sprawdzić, co kryje się za jedynymi w pomieszczeniu drzwiami.

Okazały się one zamknięte, a ponieważ nie miałem ochoty przeszukiwać kieszeni dziada, poradziłem sobie przy pomocy siekiery. Kilka mocnych uderzeń obuchem w zamek załatwiło sprawę. Otworzyła się przede mną prywatna sypialnia właścicieli, a tak przynajmniej mogłem domniemywać. W centrum znajdowało się sporych rozmiarów łóżko, na lewo szafa, na prawo stolik z nocną lampką. Sielski obrazek, który nigdy nie miał już wyglądać inaczej. Nikt i nigdy już tego łóżka nie użyje, sam o to zadbałem.

Przetrzęsnałem pobieżnie szafę, gdzie udało mi się znaleźć pudło pełne biżuterii i banknotów. Zebrałem większość do kieszeni, co wzbudziło we mnie większe wyrzuty sumienia niż topienie pogrzebacza w tyłku faceta w sąsiednim pokoju. Po co jednak miało się marnować?

Gdy wróciłem, pogrzebacz zdawał się już gotowy do dalszej zabawy. Gdybym to ja leżał na podłodze, słowo daję, już dawno modliłbym się o śmierć. Mężczyzna nie był jednak martwy. Pochrapywał i jęczał cicho, a przerażenie wyciekało z niego jak woda z dziurawego wiadra.

– Tym razem znajdziemy jakiś inny otwór – pocieszyłem go. – No chyba, że powiesz mi, gdzie jest Sandra, dziewczyna z kuchni.

– Powiem... Wszystko powiem! – wystękał.

Zabawne, jak szybko ludzie tracą animusz, gdy poczęstować ich *per rectum* gorącym pogrzebaczem. Jak bardzo robią się rozmowni.

– No to mów. Gdzie ona jest?

Kanibal spojrział na mnie jakoś tak dziwnie, z satysfakcją, której nie spodziewasz się zobaczyć po kimś leżącym w kałuży własnego moczu, kału i krwi; po kimś, kto przed chwilą doświadczył jednej z najgorszych możliwych tortur.

Coś jest nie w porządku, pomyślałem, a potem moich uszu dobiegła wycharczana z poziomu podłogi odpowiedź:

– Za tobą.

Odwrociłem się, ale zbyt wolno. Cios nadszedł z prawej strony, trafił tuż powyżej ucha. Straciłem równowagę i runąłem na spotkanie parkietu. Ostatnim, co zauważyłem, zanim opuściła mnie świadomość, był czubek oglądanego z bardzo bliska buta.

* * *

Gdy się ocknąłem, okazało się, że siedzę na krześle z dłońmi przywiązany za plecami. Właściwie to nie można powiedzieć, żebym siedział – bardziej zwiisałem na więzach, boleśnie obciążając sobie stawy, które protestowały tęnym bólem. Dopiero po odzyskaniu przytomności z trudem poprawiłem pozycję – z wyjątkowo kiepskiej na zwyczajnie kiepską.

Rozejrzałem się i doszedłem do wniosku, że jestem w jakimś rodzaju pomieszczenia gospodarczego. W spiżarni, składnicy lub innym niewielkim kantorku, w którym z reguły przesiadują pracownicy w przerwie pomiędzy poszczególnymi obowiązkami. Pracownicy, a raczej, w tym wypadku, jedna pracownica.

Ona już czekała, nie spuszczając ze mnie wzroku. Trzymała między palcami cienkiego mentolowego papierosa, którym zaciągała się z wypisanym na twarzy wyrazem tępego stuporu. Wyglądała tak, jakby zastanawiała się nad dzisiejszym jadłospisem. Wcale mnie to nie ucieszyło.

Przez dłuższą chwilę tkwiliśmy w ciszy, wzajemnie badając się spojrzeniami. Ona siedziała przy wysokim stołku i patrzyła na mnie z góry, niczym sędzia na niedoszłego skazańca. Ja, by utrzymać kontakt wzrokowy, musiałem zadzierać głowę, co w moim położeniu wyglądać musiało wyjątkowo żałośnie.

– Nie żyje, jeśli cię to interesuje – powiedziała w końcu Sandra.

Pewnie chodziło jej o starca.

– Wykrwawił się?

– Nie. Urznęłam mu łeb, żeby się nie męczył.

Przemilczałem ewentualne uwagi na temat pracowniczej lojalności.

– A ja? – zapytałem, próbując niepostrzeżenie poluzować więzy. Bez szans. Trzymały mocno, profesjonalnie zawiązane. – Co teraz będzie ze mną? Trafie na stół?

– Nie wiem – odpowiedziała dziewczyna z zadziwiającą szczerością,

gasząc jednocześnie peta w kryształowej popielniczce. – Wszystko się skomplikowało. Pojechało się trochę.

– No – przyznałem – ale pewnie nie doszłoby do tego, gdybyście nie zjadali ludzi. Pieprzone potwory.

Skorzystałem z faktu, że chwilowo nie jestem w stanie skrócić jej karku i postanowiłem przynajmniej wyżyć się werbalnie.

– Ja tam nie chciałam nikogo jeść, ale nie było wyjścia.

– Co masz na myśli? Ktoś ci kazał zabijać ludzi i ich jeść, co?

– Można tak powiedzieć. Próbowaleś może się stąd wydostać? Powodzenia – prychnęła. – Myślisz, że ja nie próbowałam uciec? Próbowalam chyba ze dwadzieścia razy. Za każdym razem to samo. W którymkolwiek kierunku nie szłam, zawsze wracałam pod drzwi hotelu. To miejsce jest przeklęte. Nie da się stąd wyjechać, można najwyżej przyjść. I czasem przychodzili. Zjawiali się, różni tacy... dziwni ludzie. Jakby hotel... – zamilkła.

– Jakby co?

– Jakby hotel sam ich sprowadzał. Was, paru innych. A my musieliśmy tu siedzieć i czekać na kolejne porcje mięsa. Możesz sobie pierdolić, co tam chcesz, ale ty też pewnie zrobiłbyś to samo, gdyby głód zajrzał ci w oczy. Tu są tylko dwie rzeczy do jedzenia. To, co pozbierasz w lesie i to, co przyjdzie – powiedziała, odpalając nowego papierosa.

Kurewsko chciało mi się palić.

– Możesz mnie rozwiązać? Też bym sobie zapalił – zaproponowałem pół żartem, pół serio.

– Jasne. Już się robi. Żebyś mógł mi urznąć łeb albo zrobić jeszcze coś lepszego? Nie, dziękuję.

– Nie zamierzam urznąć ci łba – oznajmiłem dobrodusznie. Była to prawda. Dużo bardziej wolałem w tamtym momencie zatłuc ją na śmierć, żeby cały proces trwał możliwie jak najdłużej.

Dziewczyna spojrzała na mnie z politowaniem, wypuściła dym nosem. Nie musiała niczego mówić, jej mimika wyraziła wszystko perfekcyjnie. Okazało się, że wcale nie była aż tak tępa, za jaką wziąłem ją z początku. Gdy widzisz mocno opaloną dziewczynę z tatuażami i kolczykami na twarzy, to zaczynasz o niej myśleć stereotypowo, jak o niezbyt rożgarniętej dziuni. Takiej blacharze, która zajmuje się głównie żuciem gumy i jeżdżeniem jako pasażer w BMW swojego chłopaka-dresiarza. Tutaj, zdaje się, sprawa wyglądała nieco inaczej.

– Wiesz co... – zacząłem, odkładając na chwilę topór wojenny. – Masz rację. Próbowaliśmy się stąd wydostać i zatoczyliśmy kółko. Nawet śnieg był nienaruszony, jakbyśmy w ogóle nie wyszli z hotelu. Tyle że, widzisz, ja już wiem dlaczego. I wiem, co trzeba zrobić, żeby się stąd wydostać.

Sandra zmrużyła oczy, węsząc podstęp, nie mógłbym jednak powiedzieć, że nie trafiłem w sedno. Ona też chciała desperacko stąd

uciec i jeśli istniała jakakolwiek szansa, nie mogła jej zignorować. Zamiast od razu zapytać o mój tajemniczy sposób na opuszczenie hotelu, dziewczyna wypaliła kanonadą żalu:

– To nie tak! – zachrypiała. – To nie jest tak, że ja chciałam tu być, rozumiesz? Nie, nikt mnie nie zmuszał do pakowania sobie do ust ludzkiego mięsa. Nikt nie musiał mnie zmuszać. Gdy jesteś tak bardzo głodny, że zaczynasz trawić sam siebie, po prostu zjesz wszystko, co się napatoczy. Trawę, robaki i ludzi też. I co? Mam przepraszać za to, że chciałam żyć? No to bardzo, cholera, przepraszam.

– Czy ty właśnie usprawiedliwiasz się przed kotлетem? – Nie mogłem się ironicznie nie uśmiechnąć, nawet pomimo świadomości swojego beznadziejnego położenia.

Sandra zignorowała moje pytanie.

– Pewnego dnia próbowałam wyjechać do miasta na zakupy i hotel przyciągnął mnie z powrotem. Nie wiem czemu. To po prostu się stało. Jakbyśmy się wszyscy nagle znaleźli w jakimś...

– Innym świecie? – podpowiedziałem.

– Innym świecie. – Pokiwała głową. – Potem zaczęłam dzwonić. Do rodziny, do znajomych, nawet na policję. Wszędzie słyszałam to samo.

– „To miejsce nie istnieje”. „Nie mamy pojęcia, gdzie jest taki pensjonat” – zacytowałam.

– Tak – potwierdziła. – Wszyscy myśleli, że robię sobie jaja. Matka i ojciec mieszkają w Rzeszowie. Próbowali mnie szukać, ale ostatecznie chyba uznali, że zwariowałam albo zostałam ćpunką. Po jakimś czasie przestali nawet odbierać moje telefony. To ich przerosło. Córka błagająca o pomoc, podczas gdy nie można jej nijak pomóc. Tylko tyle mieliśmy. Telefony. Zanim jeszcze urwał się nam kontakt, mówili mi, że zgłosili sprawę na policję i nawet przeprowadzono poszukiwania w okolicy. Nic nie znaleźli. Jakby pewnego dnia, po prostu... Nie wiem? Wszystko dookoła się przewróciło do góry nogami. Dla nas to był dalej ten sam hotel, ale dla innych tak jakby nigdy go nie było. Kiedyś mieliśmy od cholery klientów, ale nagle jak uciąć nożem. Nic. I jeśli ktokolwiek tu trafiał, to tylko przez przypadek. Niektórzy nie wierzyli, że tu w ogóle stoi jakiś pensjonat. Przekraczali granicę, a potem stawali się jakby... częścią tego czegoś. I już nie mogli wrócić.

– I kończyli na talerzu – powiedziałem, zadziwiająco spokojny.

Pokiwała głową, a potem spuściła wzrok, nie dostrzegając mojej ironii lub w ogóle ją ignorując.

– Ja wiem, kiedy to się zaczęło – oznajmiłem.

Sandra podniosła spojrzenie, utkwiała je w mojej poobijanej twarzy.

– Kiedy?

– Martwy mężczyzna w śniegu. Uduszone poduszką dziecko. Matka ze skręconym karkiem. Coś świta?

– Nie.

– Nic? – zdziwiłem się, nie dowierzając. – Gruba udusiła wyziębione dziecko, spokojnie, jakby robiła to codziennie. A potem ten stary sukinsyn skrzył kark jego matce.

– Skąd to wiesz?

– Powiedzmy, że mam swoje dojścia. Rozmawiałem z nimi. Z zabitą matką i jej synem. Wierz mi albo nie, ale oni dalej są w tym hotelu. – Z początku nie chciałem wspominać o rozmowie z duchami, bo to zawsze brzmi absurdalnie, ale, prawdę mówiąc... Czy cokolwiek mogło ją jeszcze zaskoczyć? – Nie musisz mi wierzyć, jeśli nie chcesz – kontynuowałem – ale to wówczas wszystko się zaczęło. Rozmawiałem z nią, z matką Dawida, bo tak miał na imię ten chłopiec. Ona nazywała się...

Alicja.

Imię pojawiło się w mojej głowie zupełnie znikąd. Byłem pewien, że nigdy wcześniej go nie poznałem. Zrozumiałem, że to nie moja myśl, lecz zewnątrz interwencja.

– Nazywała się Alicja – dokończyłem.

– Wierzę ci, że tak było – zapewniła Sandra. – Wierzę ci, bo chyba po prostu chcę ci wierzyć. Bo dajesz mi jakieś wytłumaczenie. Wierzę ci, ale tego nie pamiętam.

Doskonale wiedziałem, co ma na myśli. Ja też jeszcze niedawno chciałem wierzyć. Wszystkim i we wszystko.

– Pewnie ukryli to przed tobą. Może to miał być jednorazowy wyskok. Zabić całą trójkę, ukryć zwłoki, obrabować plecaki. Może... chcieli sobie dorobić na trupach. Nie wiem, co tam się wydarzyło, ale mam swoją wersję. Myślałem nad tym dłużej, niżbym chciał.

– Jaką?

– Stary rozkłada w lesie potrzaski, potem o nich zapomina albo po prostu ma je w dupie. Nie spodziewa się, że jakiś człowiek na nie trafi, ale spada śnieg, dużo śniegu, który ukrywa zasadzki. Pewnego dnia w okolicy pojawia się zagubione małżeństwo z dzieckiem. Facet ma pecha, wpada w pułapkę, która masakruje mu nogę i zaraz potem gość wykrwawia na śniegu. Kobieta z dzieckiem przybiega tutaj, opowiada, co się stało, prosi o pomoc, a w głowach właścicieli zachodzi nieskomplikowana matematyka. Przypominają sobie, że to oni zastawiali paści. Mają teraz jednego trupa na sumieniu i jeśli pomogą kobiecie, to prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Pojawią się pytania i pojawi się policja. A oni bardzo nie chcą odpowiadać za kłusownictwo i zabójstwo. Wniosek jest prosty. Zamieńmy jednego trupa na trzy, a potem pierdolniemy zwłoki do chłodni i niech leżą. Nikt się nie dowie. A na wiosnę się pomyśli, gdzie wykopać groby. Tyle tylko...

– Tyle tylko, że od tej pory coś się zmienia – weszła mi w słowo Sandra. – Hotelu nie da się opuścić. Nie ma gdzie zdobyć jedzenia, a zbierane w lesie rośliny i resztki zapasów przestają wystarczać.

– Dokładnie. A trupy dalej leżą w chłodni. Z początku nie biorą takiej możliwości pod uwagę, ale dni mijają, a żołądek coraz bardziej domaga się jedzenia. I w końcu przestaje im to przeszkadzać. Przestaje wam to przeszkadzać. Mięso to mięso. Zaspokaja głód. Nie zadajesz pytań, tylko jesz. – Splunąłem z obrzydzeniem. – Tak było?

Sandra pokiwała głową, a na jej policzkach dostrzegłem łzy, żłobiące głębokie bruzdy w nieudolnie zrobionym makijażu. Jeśli faktycznie stała się ofiarą, zakładnikiem nie swojej decyzji, to nawet było mi jej trochę żal.

– Ile to trwało? Jak długo żarliście ludzi?

– Rok, może dwa. Nie wiem. Tu czas płynie zupełnie inaczej. Wiem tylko, że było ich kilkunastu. Wszyscy oni leżą teraz w chłodni.

– Gdzie jest ta chłodnia?

Dziewczyna wykonała bliżej nieokreślony gest w kierunku drzwi po swojej prawej.

– Pierwsza przekonała się ta stara raszpla, matka właścicielki – powiedziała jeszcze, szlochając. – Jej było właściwie wszystko jedno. Żarła, aż się uszy trzęsły. Obrzydliwa stara suka.

Czyli miałem rację. Stara kobieta kłamała jak z nut, mówiąc, że wcale tego nie chciała. Ulżyło mi, poczułem się chociaż trochę usprawiedliwiony.

– To ja wsunęłam wam kartkę pod drzwi – przyznała się Sandra.

Interesujące. W końcu rozwiąże się jedyna nierozwiązana do tej pory zagadka.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Nie wiem. Chyba liczyłam na to, że... że może chociaż wam uda się uciec. Chciałam was ostrzec i zobaczyć, czy inni ludzie mogą się stąd wydostać, ale nie mogłam napisać zbyt wiele. Pisałam jak dziecko, żeby nie wydało się, że to ja. To jedyne, na co wpadłam, przepraszam. – Rozpłakała się na dobre.

Naprawdę było mi jej żal, ale nie znajdowałem się w zbyt dobrej pozycji do okazywania współczucia. Musiałem ją przekonać, żeby mnie rozwiązała. Jeśli jednak postanowi mnie zabić i zjeść – postępując zgodnie z dotychczasową praktyką – to wszystko pójdzie na nic.

– Nie płacz, tylko mnie rozwiąż – powiedziałem pewnym siebie głosem, a przynajmniej głosem, który wydawał mi się wówczas pewnym siebie. – Mówiłem już, że wiem, co trzeba zrobić. Jeszcze możemy się stąd wydostać.

– Co trzeba zrobić? Jak?

– To istotnie jest kłątwa, rzucona przez umierającą Alicję, ducha, z

którym rozmawiałem. Dała mi jeden warunek, po spełnieniu którego będziemy mogli odejść.

– Jaki?

– Muszę pochować ich zwłoki. Znaleźć je i pochować, bo w przeciwnym razie będą tu uwięzieni na zawsze, a my razem z nimi.

Widziałem, że dziewczyna mocno się waha. To była moja szansa. Muszę przemówić jej do rozumu, teraz albo nigdy.

– Obiecuję, że nie zrobię ci żadnej krzywdy – przyrzekłem. – Teraz już wszystko pojąłem. Jesteś taką samą ofiarą jak i my, ale jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze możemy się stąd wydostać. Nie musisz tu być uwięziona na wieczność i nie musisz więcej jeść ludzi, żeby przeżyć. Wydostaliśmy się stąd, Sandra! Ja też jadłem to mięso! Jadłem mięso swojej... Niech to szlag! Nie chcesz w końcu zobaczyć rodziców?! Bo ja chcę zobaczyć swoich!

Chyba się trochę zagalopowałem, bo dziewczyna znowu wybuchnęła płaczem, tym razem krótkim. Wzięła do ręki leżący na stole nóż i wstała, kierując swoje kroki w moją stronę.

Teraz się wszystko okaże. Albo gardło, albo...

Więzy!

Dziewczyna przecięła sznurki krępujące moje dłonie i ramiona, a potem padła mi w objęcia i rozplakała się po raz kolejny. Zgrabialiśmy, posiniaczonymi rękoma głaskałem ją po plecach, a gdy trochę się uspokoiła, poprosiłem, żeby oddała mi nóż. Nie próbowała nawet oponować. Odłożyłem ostre narzędzie na bok.

– Pomóż mi wstać – powiedziałem, czując, że po całym tym wysiłku moje nogi mogłyby odmówić posłuszeństwa.

Zarzuciłem ramię na jej szyję, wstałem i przez długi czas próbowałem samodzielnie złapać równowagę. Gdy w końcu mi się udało, wskazałem drzwi skrywające za sobą chłodnię. Wiedziałem przecież, co jeszcze musimy zrobić. Musimy tam wejść. Wejść do jaskini lwa, przekroczyć bramy Hadesu, trafić do miejsca, którego za nic w świecie nie chciałem oglądać, bo wiedziałem przecież, że ONA tam jest. Jej rozczłonkowane ciało, być może wiszące pod sufitem, na haku, jak sztuka wieprzowiny.

– Zróbmy to, co trzeba zrobić, a potem spieprzajmy stąd w cholerę – rozkazałem, a Sandra nie protestowała.

* * *

Gdy dziewczyna otworzyła drzwi do chłodni, dobiegł mnie charakterystyczny smród miejsc, w których przez długi czas przechowywano mięso. W powietrzu unosił się zapach krwi, którym na stałe, na wieczność już przesiąkły ściany niewielkiego magazynu.

Sandra włączyła światło. Było zimne, blade, przerażająco jasne.

Wypełniło każdy kąt pomieszczenia, rozwiało wszelkie wątpliwości i niedopowiedzenia. Najbardziej przerażające miejsce w tym budynku stanęło przed nami otworem.

Muszę jednak przyznać, że spodziewałem się czegoś zupełnie innego. Przekonany byłem, że zobaczę podwieszane płyty mięsa, porozrzucane wszędzie ludzkie kończyny i gigantyczny stół z piramidą czaszek, na szczycie której...

Nic z tych rzeczy. Pomieszczenie było schludne i dobrze utrzymane. W centrum faktycznie tkwił stół wraz ze sporych rozmiarów tasakiem do kompletu, jednak zarówno mebel jak i narzędzie lśniły czystością. Doskonale wyszorowany blat równie dobrze mógłby być zwykłym kuchennym stołem lub nawet spełniać rolę warsztatowej pracowni. Goła podłoga także była perfekcyjnie zamieciona i czysta – żadnych zalegających na niej plam z krwi i flaków. Po lewej stronie od wejścia, tuż przy ścianie, stały trzy sporych rozmiarów prostokątne zamrażarki, których producent z pewnością nie domyślał się, do czego zostaną kiedyś wykorzystane.

Postanowiłem póki co do nich nie zaglądać, a potem przeniósłem spojrzenie dalej, wzdłuż ściany na prawo, gdzie równiutkim rzędem stało pięć niebieskich plastikowych beczek, w jakich w supermarketach trzyma się kiszone ogórki i kapustę. Tu nie było kiszonych ogórków i kapusty. Dobrze zabezpieczone beczki najprawdopodobniej mieściły w sobie coś, czego nie chciałbym oglądać, a co niemal na pewno nie przypominało już ludzkich istot.

Spojrzałem na Sandrę, a ona, jakby wyczuwając niezadane jeszcze pytanie, pokiwała głową.

– W nich trzymali...śmy... resztki.

Resztki.

Cóż za niewinne słowo do określenia tak przerażających rzeczy. *To tylko resztki po obiedzie. Niedojedzone ziemniaczki i kawałek kurczaczka, który nie zasmakował. No i oczywiście kilka kostek, których przecież nie da się zjeść. Szkoda, że nie mamy pieska, bo też by sobie pojadł.*

– Pięć beczek to nie za dużo – zauważyłem, czując, że ten komentarz napawa mnie obrzydzeniem do samego siebie.

Sandra ponownie przytaknęła.

– Był plan, żeby na wiosnę je opróżnić. Wykopać dziurę w ziemi i wrzucić tam zawartość.

To zabawne, jak bardzo siliła się na używanie bezokoliczników. Jak bardzo próbowała zrobić, co tylko w jej mocy, aby nie stać się częścią tego proceduru, a którą przecież niezaprzeczalnie i nieodwołalnie była.

– Wygląda na to, że nie zamierzamy czekać do wiosny. Kopanie o tej porze roku to będzie piekło – syknąłem. – Gdzie jest...?

Nie musiałem kończyć pytania, Sandra znów doskonale zdawała

sobie sprawę z tego, co mam na myśli. Wskazała na pierwszą od strony drzwi lodówkę.

Nie zaglądam tam, nie zaglądam tam, powtarzałem sobie w myślach jak mantrę, ale czułem, że przegrywam z tym perfidnym, paskudnym, na wskroś obrzydliwym i antyludzkim – a może właśnie: arcyludzkim? – rodzajem ciekawości, który naszemu gatunkowi każe zerknąć w każdą dziurę i pod każdy kamień. Który sprawia, że podchodzimy bliżej, gdy widzimy martwe zwierzę rozjechane na ulicy.

Tam jednak nie będzie martwych zwierząt. Tam będzie Natalia. Moja porcelanowa lalka. Moja kilkudniowa miłość, którą zaledwie przed dwoma dniami tuliłem do snu. Której ciepło czułem przez skórę i której bicie serca wyznaczało rytm mojego oddechu, gdy próbowałem zasnąć. A teraz nie ma już żadnego ciepła. Jest tylko lód i trup zamieniony w kamień. Zamarznięte na kość oczy, o ile jeszcze w ogóle miała oczy.

Ruszyłem w stronę zamrażarki.

– Nie rób tego... – ostrzegła mnie dziewczyna, ale nie posłuchałem.

Podniosłem wieko.

Była tam, oczywiście. Zapakowana jak gumowa lala ze sklepu dla dorosłych. Nie było w niej już niczego z człowieka, którego zapamiętałem, jedynie pusta forma. Oczy, na szczęście, miała zamknięte.

Zatrzasnąłem wieko i zwymiotowałem na podłogę, czując, że jeśli zrzygam się jeszcze kilka razy, moje wnętrzności po prostu nie wytrzymają i rozleją się po otrzewnej jak zmiksowane podroby.

Sandra stała w kącie, blada jak ściana. Patrzyła na mnie z wyrazem twarzy, który utknął gdzieś pomiędzy przerażeniem i niedowierzaniem. Nie chciałem nawet myśleć o tym, co musiała teraz przeżywać. Podejrzewam jednak, że ona również nie chciałaby być obecnie w mojej skórze.

– Która jest najstarsza? – zapytałem, wycierając twarz i wskazując na beczki.

Sandra powoli podeszła do rzędu pojemników i zatrzymała się przy tym najbardziej na prawo.

– Ta. – Pokazała.

– Bierzemy ją i wychodzimy na zewnątrz. A potem znajdziesz nam jakąś łopatę, przygotujesz jak najwięcej ciuchów i pieniędzy. I coś do podpalenia tego pierdolonego pensjonatu. Zabieramy się stąd.

– Nie chciałbyś jej...?

– Nie – uciałem wszelką dyskusję. – Nie chciałbym.

* * *

Mógłbym opowiedzieć o tym, jaką katorgą było taszczenie po schodach beczki wypełnionej ludzkimi szczątkami, ale z pewnością możecie się tego domyślić. Mógłbym opowiedzieć także o tym, że

niewykonalną robotą okazało się wykopanie grobu w zamrożonej glebie. Po odgarnięciu blisko metrowej warstwy śniegu spróbowaliśmy kopania – bezskutecznie. Natura splunęła nam w pysk. Łopaty odbijały się od ziemi, jakby była warstwą betonu. Wróciliśmy więc do piwnicy, tym razem niosąc beczkę w drugą stronę; wyglądałoby to nawet zabawnie, gdyby nie było tak groteskowe. Gdy ponownie znaleźliśmy się pod domem, po moich plecach spływał prawdziwy wodospad potu. A przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

Skoro nie dało się wykopać grobów na zewnątrz, musieliśmy podjąć próbę w piwnicy. Na szczęście właściciele nie wyłożyli niczym podłogi na najniższej kondygnacji; była po prostu ubitą ziemią. Kopanie w niej było potwornie trudne, ale przynajmniej wykonalne.

Mógłbym też dokładnie opowiedzieć o tym, jaki smród buchnął z otwartej beczki i opisać dźwięk, jaki wydają ludzkie kości sypiące się do płytkiego rowu, ale zwyczajnie nie miałem na to ochoty.

Pod koniec byliśmy już tak bardzo zmęczeni, że ślanialiśmy się na nogach, wspierając na sobie wzajemnie.

Nie wiem, jak powinien wyglądać prawdziwy pogrzeb, nie wiem też, czy takiego właśnie życzyłaby sobie Alicja, ale uznałem, że coś wypada zrobić i coś wypada powiedzieć. Zbiłem ze sobą dwie znalezione naprędce deski, które utworzyły prymitywny krzyż i wydrapałem na nich imiona tragicznie zmarłych. Mężczyzna miał na imię Mikołaj. Skąd to wiedziałem? Po prostu wiedziałem.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen – powiedziałem, gdy praca dobiegła końca.

Potem wróciliśmy na górę i powolną procesją obeszliliśmy wszystkie pomieszczenia na parterze, podpalając, co tylko się dało.

– Czy to koniec? – zapytała Sandra, gdy staliśmy w drzwiach, patrząc, jak języki ognia liżą dywany, drewniane ściany i sprzęty wewnątrz.

– Tak myślę – odparłem.

Spojrzała na mnie z nadzieją, że teraz już wszystko będzie dobrze; że jej koszmar wreszcie dobiegnie końca.

Miała rację.

Wyciągnąłem przemycony z piwnicy nóż, a potem po prostu wbiłem ostrze w bok jej szyi. Raz, drugi i trzeci. Sandra spróbowała poderwać się do ucieczki, ale przytrzymałem ją mocno i tłukłem nożem wszędzie, gdzie tylko dałem radę sięgnąć. Kark, nerki, płuca, twarz, brzuch i serce; uderzałem raz za razem, dopóki dziewczyna nie przestała krzyczeć; dopóki nie przestała się ruszać. Dopiero wówczas wypuściłem ją z rąk i pozwoliłem opaść zwłokom na drewnianą podłogę. A potem obrabowałem ją ze wszystkich pieniędzy.

Spojrzałem na twarz Sandry – malowały się na niej nieme zaskoczenie i pretensja. „Dlaczego to zrobiłeś?” – zdawała się pytać.

„Zaufałam ci”. Jej błąd.

Nie mogła pozostać przy życiu. Wiedziałem już, że gdy opuszczę to miejsce, nie może pozostać ani jeden dowód na istnienie „Czarnej Polany”. Gdyby nagle, po dwóch latach Sandra wróciła, ludzie zaczęliby zadawać pytania. Pojawiłaby się policja. A potem, po nitce do kłębka, trafiliby tutaj. Do miejsca, w którym czekałyby na nich zwęglone zwłoki trójki zabitych brutalnie osób i kilkanaście dodatkowych trupów w piwnicy.

„Ty ich zabiłaś?” – zapytaliby Sandry, a ona pokręciłaby głową. „Ja nic nie zrobiłam. Jestem niewinna. To ten facet, który przyjechał z nastolatką” – powiedziałyby. A wtedy zaczęłoby się dochodzenie. Żmudne i męczące, ale w końcu udałoby się im mnie znaleźć, a na to nie miałem ochoty pozwalać. Im mniej osób wie o tym miejscu, tym lepiej. Najlepiej więc, gdy będę jedyną taką osobą.

Wiecie, jak to mówią: dwie osoby potrafią utrzymać sekret tylko wtedy, gdy jedna z nich jest martwa.

Poza tym, chcąc lub nie, Sandra również doprowadziła do śmierci Denatki, a może już po prostu: denatki. Okłamała mnie bez mrugnięcia okiem. Sprawiała, że stałem się jednym z nich, jednym z kanibali. Gdyby mnie wtedy ostrzegła, być może to wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ludzie z miasta to chyba nie wiedzą, skąd się bierze dziczyzna, co? Dobre młode mięso. Nie ma co wybrzydzać. Czasem jakiś śrut się uchowa.

A czasem się nie uchowa.

– Dobranoc, koleżanko – powiedziałem, wychodząc z pomieszczenia, w którym płomienie zaczęły już siać prawdziwe spustoszenie.

Opatuliłem się ciasniej szalem, sprawdziłem, czy na pewno mam w kieszeni wszystkie ukradzione pieniądze. Miałem. Czekala mnie długa i trudna droga powrotna, ale wiedziałem, że tym razem pójdzie łatwiej niż ostatnio.

EPILOG

– Tomek, weź ty mi powiedz jedną rzecz, dobra? Gdzie ty tak właściwie byłeś, jak cię nie było? Męczy mnie to jak jasna cholera, choć niby przecież nie powinno mnie obchodzić. – Magda wsadziła sobie do ust ogromny kawałek pizzy i przeżuwała go niczym krowa.

Nie zeszliśmy się ze sobą, ale pozostaliśmy na koleżeńskiej stopie. Ostatecznie Magda była całkiem fajną dziewczyną i lubiłem z nią spędzać czas. No i nie musieliśmy już ze sobą mieszkać, co znacznie wszystko ułatwiło i zażegnało większość konfliktów.

Gdy wróciłem do miasta z zapasem gotówki, jakimś cudem czekały już na mnie trzy oferty pracy, jedna lepiej płatna od drugiej. Teraz jestem grafikiem w agencji reklamowej. Zarabiam nienajgorsze pieniądze, ale zawsze znajdzie się przecież jakiś powód do narzekań. Sami wiecie, jak jest.

– A czemu to cię w ogóle tak bardzo obchodzi, co? Zazdrosna jesteś? Po tylu miesiącach? – zaśmiałem się.

– Nie, ale martwiłam się o ciebie. Twoi rodzice też nie wiedzieli, co się z tobą dzieje. Myślałam nawet, żeby zadzwonić na policję, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam.

– Dlaczego się powstrzymałaś?

– Bo jeszcze by cię przyprowadzili z powrotem – zażartowała.

Był piątek wieczór, siedzieliśmy w zatłoczonej knajpie. Wypiłem już dwa piwa i wieczór zapowiadał się nie najgorzej. Zastanawiałem się, czy nie zaprosić Magdy na noc, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie mam potrzeby pakować się w kolejne kłopoty. To se ne vrati, jak mawiają Czesi. Mądry naród.

– Pojechałem w góry, do Zakopanego – wyznałem po dłuższej chwili.

– I co tam robiłeś?

– Wyrywałem dupy i piłem wódkę. A co innego miałbym robić w Zakopanem?

Marta przyjrzała mi się badawczo.

– A nie pisałeś mi czasem, że jesteś gdzieś w Bieszczadach?

– Napisałem to dla jaj. Wiesz, żeby było, że niby rzuciłem wszystko i pojechałem w Bieszczady.

– Jesteś straszną gnidą czasem, wiesz?

– Wiem. – Jednym łykiem dopiłem piwo i zamówiłem następne.

– A tak w ogóle to masz kogoś nowego? – zainteresowała się Magda.

– To znaczy?

– No... Znalazłeś jakąś dziewczynę, jak się rozstaliśmy?

Uśmiechnąłem się półgębkiem.

– Można tak powiedzieć. Miałem swoją krótką i intensywną

wakacyjną miłość.

– I co to była za dupa? Czemu nie jesteście dalej razem?

– No cóż – odpaliłem papierosa – można powiedzieć, że nam nie wyszło. Ale wiesz, jakby to romantycznie ująć...

– No?

– Zawsze noszę w sobie jakiś jej kawałek.

Magda się uśmiechnęła, ja też się uśmiechnąłem.

Zmieniliśmy temat.

MARCIN MAJCHRZAK

Urodził się w 1990 roku w Tarnowskich Górach, obecnie wciąż cieleśnie i mentalnie związany ze Śląskiem, gdzie mieszka, pracuje i tworzy. To właśnie Górny Śląsk, ze wszystkimi swoimi zaletami i wadami, obudził w nim literacki i pozaliteracki pesymizm. Debiutował powieścią *Stacja*, wydaną nakładem wydawnictwa Dom Horroru, w 2021 roku ukazała się kolejna jego powieść z gatunku horroru – *Głód*. Wielokrotnie publikował w polskich czasopismach związanych z fantastyką i horrorem. W chwilach wolnych od twórczości literackiej funkcjonuje jako fotograf-amator, kiper tanich trunków i balkonowy ogrodnik.

1

*Pomiędzy powierzchnią
Kolejnego idealnego cudu,
Gdzie wszystko jest białe jak śnieg.
Biegnę przez pole,
To, na którym wszystkie moje ścieżki zostaną ukryte
I nie ma dokąd pójść.*

SPIS TREŚCI

Część pierwszaPodróż

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Część drugaRzeź

Rozdział VI

Rozdział VII

Epilog

MARCIN MAJCHRZAK